tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 33 (1284)
12-18.08.2024
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Janusz Reykowski
Jak nas psują politycy

Prof. Andrzej Leder
Izrael i Palestyna. Dwa państwa?

Roman Wilhelmi
Jedyny taki Dyzma

Znikający kurierzy, bezradni klienci

WOJSKO OD PIKNIKÓW

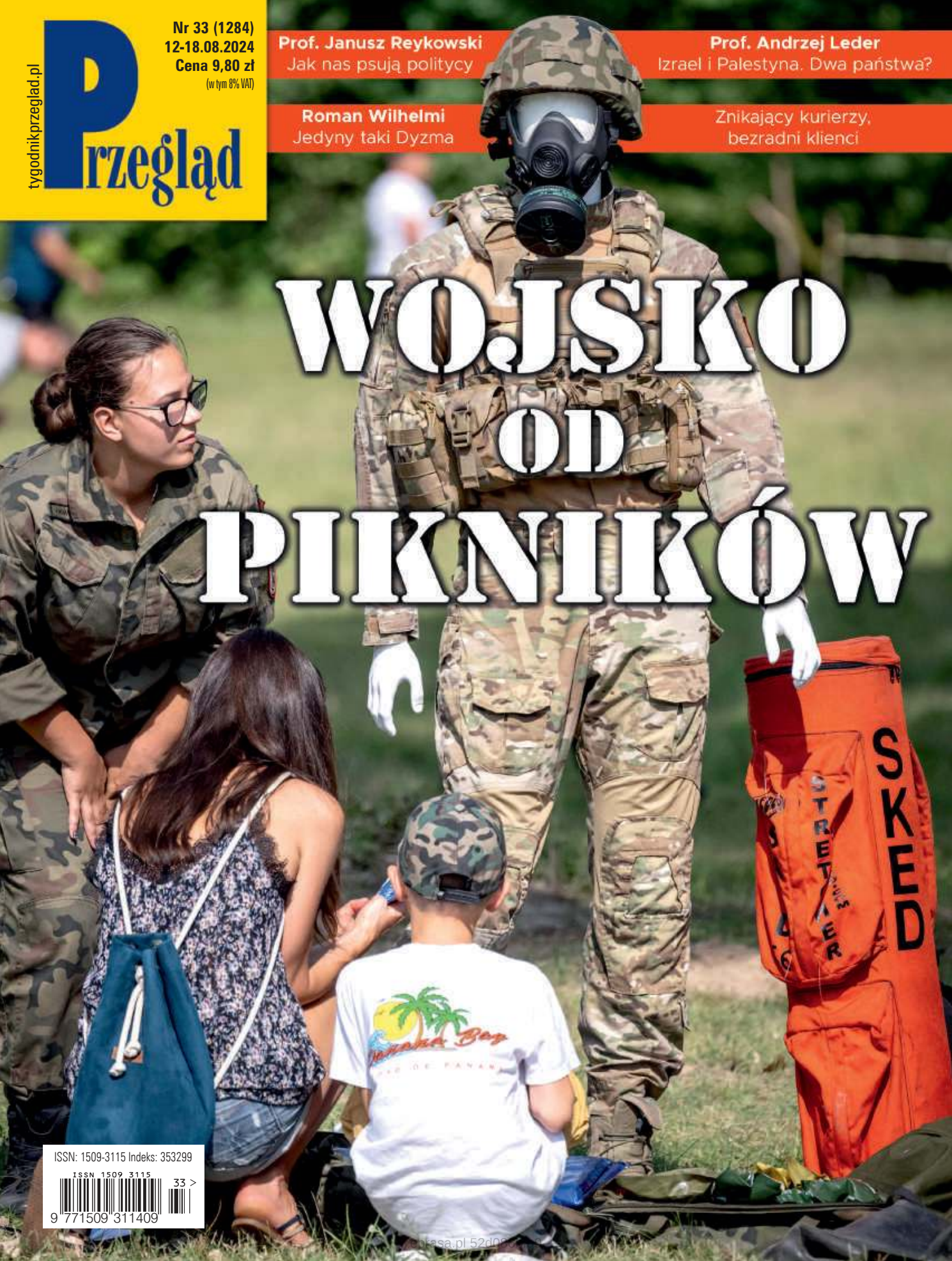

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
33 >
9 771509 311409

plasa.pl 52d0

GOLDEN GLOBE AWARDS

OSCARS® NOMINACJA

NAJLEPSZY FILM NIEANGLOJĘZYCZNY

SATELLITE AWARDS™

EUROPEAN FILM AWARDS

SSIFF

80

MOSTRA INTERNAZIONALE D'ARTE CINEMATOGRAFICA LA BIENNALE DI VENEZIA 2023

SREBRNY LEW

JA, KAPITAN

NAJNOWSZY FILM

MATTEO GARRONE

(„DOGMAN", „GOMORRA")

WSPÓŁCZESNA ODYSEJA
OPOWIADAJĄCA O POGONI ZA MARZENIEM
ZWANYM EUROPĄ

W KINACH OD 16 SIERPNIA

Kreatywna Europa MEDIA

AURORA

eprasa.pl 52d086bfa9

Robert Walenciak

Z czego jesteśmy dumni, a z czego nie?

„Rzeczpospolita" zamówiła w pracowni IBRIS sondaż, w którym zapytano Polaków o to, które z wydarzeń w historii Polski jest naszym powodem do dumy. Okazało się, że z powstania warszawskiego, które też umieszczono na liście, dumnych jest ledwie 3,3% Polaków. Wydarzenie to znalazło się na ostatnim wskazanym miejscu. Słusznie. Powstanie było klęską militarną i polityczną, żadnych celów nie osiągnęło. Ogłaszając wybuch, jego przywódcy wykazali brak podstawowych kompetencji. Warszawa została zniszczona, wymordowano 180-200 tys. jej mieszkańców. Z czego być dumnym?

Sondaż pokazał jednocześnie, jak bardzo Polacy są odporni na propagandę, jak – w przeciwieństwie do świata mediów i polityki – potrafią zachować rozsądek. Powstanie warszawskie jest przecież jednym z kamieni węgielnych obozu solidarnościowego i polskiej prawicy. Pamięć o nim, jego „sukcesie" i „przesłaniu" legitymizuje polską prawicę. Lech Kaczyński zbudował, w stylu Disneylandu, jego muzeum. Co roku zalewa nas tandetna popkultura cukierkowego i fałszywego obrazu tamtych wydarzeń.

A sondaż pokazuje, że ludzie tej propagandzie nie ulegają. Wszystkiego wmówić im się nie da. Andrzej Duda może więc wołać w Muzeum Powstania Warszawskiego: „I popatrzcie, co stało się ostatnio: już nie słychać żadnych głosów, które próbowałyby kwestionować zasadność, słuszność tamtego wielkiego czynu zbrojnego". Ale gdy to woła, to znaczy, że jest we wspomnianej grupie 3,3% Polaków albo nie rozumie tego, co mówi.

Jeżeli więc Polacy jednoznacznie odrzucają kult powstania warszawskiego, jego rzekomego zwycięstwa, które chce nam wepchnąć do gardeł prawica, to z czego są dumni? Sondaż to pokazuje – najwięcej Polaków dumnych jest z odzyskania niepodległości w 1918 r. A w dalszej kolejności z wyboru Jana Pawła II oraz z wejścia do Unii Europejskiej i do NATO. Przy czym z wyboru Wojtyły na papieża dumni są wyborcy prawicy, podkreślający związki z Kościołem, a ci z obozu demokratycznego – już nie. Natomiast jeśli chodzi o wejście do Unii i NATO, jest dokładnie odwrotnie.

To pokazuje, jak Polska jest podzielona. Ale i pokazuje, że Polacy mają swoją tożsamość, swoje aspiracje, trzeźwo patrzą na rzeczywistość. Ich ocena polskiej historii, także tych wydarzeń, o których w sondażu IBRIS nie wspomniano, różni się od tego, co suflują główne media. Są odporni na pouczanie. Jest inaczej niż w gazetach i telewizji. Można wręcz odnieść wrażenie, że egzaltowane media to najgłupsza część polskiej rzeczywistości. Warto o tym pamiętać.

Wpłaty na konto fundacji bardzo wspomagają PRZEGLĄD
Fundacja Oratio Recta
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

BĄKOWSKI

eprasa.pl 52d086bfa9

W NUMERZE

KRAJ

8 **Jak nas psują politycy**
– rozmowa z prof. Januszem Reykowskim

11 **Wojsko od pikników**
Dobrzy tylko na defiladach

13 **Gra na czas**
Armia coraz słabsza

20 **Kurierskie przeciążenie**
Walki dostawców i klientów

24 **Gazety skażone PiS (część 3)**
Czystki w prasie lokalnej

28 **Znowu na szparagi do Niemca?**
Co dalej z płacą minimalną

OPINIE

16 **Dwa państwa?**
– rozmowa z prof. Andrzejem Lederem

ZAGRANICA

30 **Wiceprezydent (z) rozsądku**
Tim Walz u boku Kamali Harris

34 **Misja pod ochroną**
Niezależność austriackich mediów

IGRZYSKA

36 **Polki potrafią**
Triumf sportowczyń

HISTORIA

38 **Gra Stalina**
Polacy i Słowacy – dwa powstania

KULTURA

42 **Filmy dokumentalne zmieniają ludzkie losy**
– rozmowa z Agnieszką Zwiefką

46 **Wojciech Fangor, czyli sztuka malowania bez opamiętania**

48 **Kariera Romana Wilhelmiego**
Anioł i twardziel

52 **Qulturalia**

66 **Wybrane dyplomy ASP w Warszawie**

NAUKA

54 **Hormon, który przyćmiewa inne**
Szympansy a testosteron

OBSERWACJE

58 **U Madziarów na Żytniej Wyspie**
Korespondencja ze Słowacji

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Robert Walenciak**
Z czego jesteśmy dumni, a z czego nie?

27 **Jan Widacki**
Jedna z zapomnianych rocznic

33 **Roman Kurkiewicz**
Casting na Pierwszego Pięknisia RP

45 **Tomasz Jastrun**
Olimpijskie mordobicie

53 **Wojciech Kuczok**
Do lasu (odc. 7)
Delirio amoroso

20
KRAJ

KURIERSKIE PRZECIĄŻENIE
Walki dostawców i klientów

36
IGRZYSKA

POLKI POTRAFIĄ
Triumf sportowczyń

54
NAUKA

HORMON, KTÓRY PRZYĆMIEWA INNE
Szympansy a testosteron

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. TYTUS ŻMIJEWSKI/PAP

eprasa.pl 52d086bfa9

Donald Tusk nie ma wyboru

A lasy jak cięli na potęgę, tak tną. Nic się też nie zmieniło na granicy polsko-białoruskiej. Ustawa o związkach partnerskich przepadła, w sprawie aborcji również. Widać, że tu nie ma żadnego sporu cywilizacyjnego. Bo nie ma żadnego sporu, jest tylko chęć władzy. I w tym sporze chodzi tylko o to, czy to będzie PiS, czy PO, jakby była tu jakaś cywilizacyjna różnica.

Można jeszcze wymienić VAT na żywność, wzrost cen prądu i to, że żadna z decyzji PiS, które ono podjęło, nie została dotychczas anulowana, zmieniona, poprawiona, chociaż ponoć były takie złe. To dla tych wymienionych wcześniej spraw ludzie stali w kolejkach wyborczych, a PO jak zwykle pokazała, że ma gdzieś swoich wyborców. PiS przynajmniej ma jaja, żeby robić to, co znajdzie poklask u jego wyborców. PO nie robi nic.

Valdi Dotter

Fenomen KTT

W książce o Krzysztofie Teodorze Toeplitzu (PRZEGLĄD nr 31) Jarosław Grzechowiak pisze: „Jego ojciec, Kazimierz, z zawodu demograf, tworzył Warszawską Spółdzielnię Mieszkaniową, to również wieloletni członek Polskiej Partii Socjalistycznej”. Autor myli się, gdyż: 1. Ojciec KTT, Kazimierz Leon Toeplitz, nie był z zawodu demografem, ale ekonomistą ze specjalnością rolniczą. Po wojnie zajmował się urbanistyką; 2. Współtwórcą WSM był dziadek KTT, Teodor Toeplitz (ma na Żoliborzu ulicę), wieloletni członek PPS i radny Warszawy z ramienia tej partii. Te informacje można znaleźć choćby w Wikipedii albo w bardzo ciekawej książce „Rodzina Toeplitzów” autorstwa KTT.

Halina Bińczak

Przywróćmy pamięć o „patronach wyklętych”

Manipulowanie pamięcią naszego narodu przejawia się we wspomnieniu o tragedii polskich oficerów w Katyniu. Powoli słowo Katyń wielu osobom zaczyna się kojarzyć tylko z tragiczną i bezsensowną katastrofą rządowego samolotu. Apoteoza niektórych jej ofiar, bo nie wszystkich, przebija śmierć polskich oficerów. A tam w Katyniu nikt już nie kładzie kwiatów i nie zapala zniczy. Ot, IPN!

Tadeusz Żyła

W Europie zaraza

Jaki jest Trump, każdy widzi, ale chyba jako jeden z niewielu mówi o tym, że trzeba zakończyć konflikt na Ukrainie. Pytanie teraz brzmi, co zrobią w wypadku przerwania dostaw pieniędzy i sprzętu z USA nasi oszaleli z rusofobii politycy. Oby tylko nie zechcieli wysłać naszych wojsk na odsiecz Ukrainie na mocy porozumień dwóch krajów, a nie jako państwa członkowskiego NATO. Jedyna nadzieja, że inne kraje NATO nie dopuściłyby do tego. A obawy można mieć duże, słuchając niektórych wypowiedzi z ław parlamentarnych.

Michał Czarnowski

•

Według danych Institute for Crime & Justice Policy Research na Uniwersytecie Londyńskim, w pierwszej dziesiątce krajów, w których jest najwięcej więźniów na 100 tys. mieszkańców, są Salwador, Kuba czy Rwanda. Jednak największą liczbę więźniów na 100 tys. osób notuje się w USA. Oto, jak wygląda liczba więźniów na 100 tys. mieszkańców: USA – 639, Rosja – 289, Polska – 202, Węgry – 199, Chiny – 122, Francja 111, Niemcy – 69, Holandia – 65, Finlandia – 51.

Marek Karczewski

ZDJĘCIE TYGODNIA

Na audiencji generalnej u papieża Franciszka. Watykan, 7 sierpnia 2024 r.

FOT. ABACA/EAST NEWS

eprasa.pl 52d086bfa9

Tylko 3,3% ankietowanych przez IBRIS dla „Rzeczpospolitej" uważa, że powstanie warszawskie jest w historii Polski największym powodem do dumy. Na czele jest odzyskanie niepodległości w 1918 r. (30,6%). **Z klęski nie jesteśmy dumni.**

•

We wrześniu dotrze do Polski **nowa, zmodyfikowana szczepionka przeciw COVID-19.** Najwyższa pora, bo już zanotowano dziesięciokrotny wzrost zachorowań.

•

4,2 % wyniosła inflacja w lipcu i była wyższa niż w czerwcu.

•

Nie żyje Waldemar Marszałek, w latach 1976-1996 wielokrotny mistrz świata i Europy w sportach motorowodnych. 40-krotnie był mistrzem Polski. W 1982 r., po wypadku na jeziorze Gatow na obrzeżach Berlina, przeżył śmierć kliniczną, ale wrócił do sportu. W latach 1998-2018 był radnym Warszawy z ramienia SLD. Skromny, charyzmatyczny sportowiec o niezwykle silnym charakterze.

•

Witold Kornicki, brat Zbigniewa Ziobry, który zmienił nazwisko, **zarobił w Pekao 4,6 mln zł.** Był jednym z 18 doradców zarządu banku. Pekao wydało 23 mln zł na sponsorowanie przedsięwzięć związanych z PiS.

•

Agnieszka Wołk-Łaniewska, konsekwentnie lewicowa, błyskotliwa publicystka **została redaktorką naczelną tygodnika „Nie"** (wydawnictwo URMA), z którym związana jest od 2000 r. Gratulujemy.

•

Stefan Niesiołowski, po oddaleniu przez Sąd Najwyższy kasacji prokuratury, został skutecznie uniewinniony od zarzutów rzekomego przyjmowania łapówek.

•

Około 4,5 mln turystów odwiedziło polską część Tatr w 2023 r. Do Morskiego Oka dotarło prawie 700 tys. osób, a na Kasprowy Wierch kolejką linową wjechało ponad 664 tys.

•

Były wiceminister spraw zagranicznych **Paweł Jabłoński z PiS**, jak wynika z kontroli NIK, **miał rozdać 7,2 mln zł** w programie „Pomoc humanitarna 2023", zrobił to wbrew rekomendacjom komisji konkursowej. Pieniądze dostali m.in. działacz partii Bielana i projekt, który od komisji dostał zero punktów na 100 możliwych.

•

Prokuratura bada, czy oferta trzech dyskontów (Biedronka, Lidl i Kaufland), które zaproponowały wódkę po 8,99 zł i 9,99 zł jest nielegalną promocją alkoholu i tzw. zmową cenową.

•

Do 656 strzelanin w miejscach publicznych doszło w USA w 2023 r.

•

81 tys. pozwów rozwodowych wpłynęło do sądów okręgowych w 2023 r., a w pierwszym półroczu br. już 39,7 tys.

•

Max Mara Fashion Group ogłosiła, że przestaje sprzedawać w swoich kolekcjach produkty wykonane z futra. Decyzja dotyczy 2,5 tys. sklepów w 105 krajach. Z futer zrezygnowało już ponad 1,5 tys. marek i sprzedawców detalicznych.

PRZEBŁYSKI

Babiarz jak Sygut

Wysłanie Przemysława Babiarza do Paryża, by obsługiwał otwarcie olimpiady, nie miało krzty sensu. Babiarz ma dobry głos, ale o kulturze z wyższej półki wie tyle, co ze skryptów. Na wyrafinowane pomysły Francuzów to tak mało, że katastrofa była pewna. Przez ponad trzy godziny transmisji Babiarz z kolegą nie mieli do powiedzenia niczego sensownego. Tak bywa, gdy wyśle się specjalistę od drogi krzyżowej i pielgrzymek.

Jednak gdyby chodziło o kilka nieudolnych zdań, to pal licho. Jest o wiele gorzej. Rzecz dotyczy pełnej kompromitacji. W czasie inauguracji Babiarz wiedział mniej niż telewidzowie. I plótł, plótł. Rekordy pomyłek. Tak bywa, gdy TVP rządzi nieudolna ekipa Tomasza Syguta i bezmyślnie wysyła Babiarza.

Hajdasz z talibem pod rękę

Jak długo można żyć w świecie łgarstw? Zachowanie Jolanty Hajdasz, wiceprezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, jest wręcz klinicznym dowodem na to, że głoszenie absurdów może nie mieć granic. Pani Hajdasz ma jeszcze tytuł dyrektora Centrum Monitoringu Wolności Prasy, czyli czegoś, co obok wolności prasy nawet nie dreptało. Podobno to Hajdasz miał na myśli Kaczyński, gdy stwierdził, że „nikt nam nie wmówi, że białe jest białe itd." Trudno uwierzyć, że po złodziejskich ośmiu latach PiS i życia z kasy spółek skarbu państwa, można głosić, że „od grudnia są w Polsce niszczone media publiczne, w których za czasów PiS można było swobodnie (!) wymieniać myśli (!) i znaleźć wartościowe (!) treści". Hajdasz broni kuriozalnych rządów KRRiT i taliba Świrskiego. Ale tu się nie dziwimy. Łączy ich wspólnota ultraprawicowych duszyczek. Odrzucenie sprawozdania KRRiT przybliży koniec tego ponurego etapu.

Mecenas księdza O.

Gdy ksiądz O., egzorcysta kojarzony z używaniem salcesonu do wypędzenia diabła, ciągle siedzi, to jego obrońca lata. Po mediach. Obskoczył już wszystko, co ma w ręku dojna zmiana. Mecenas Krzysztof Wąsowski walczy, opowiadając różne rzeczy. W prawniczym języku nazywa się to mijaniem z prawdą. U Wąsowskiego przykładów nie trzeba długo szukać. To przecież gość, który świadczył usługi ekipie Ziobry. Za skromne pół miliona złotych. A do historii palestry przeszedł, wydając opinię prawną na temat wyborów kopertowych. O działaniach premiera Morawieckiego napisano, że „należy je oceniać jako działania konieczne, niezbędne i wyjątkowe". I tu Wąsowski był w bardzo mylnym błędzie. Bo NSA uznał, że Morawiecki rażąco naruszył prawo. A ks. O. jest w jeszcze gorszym położeniu.

Orzeł (czarny) w Krynicy-Zdroju

To nie jest wiadomość ornitologiczna. Nad Krynicą-Zdrojem nie lata czarny orzeł. Skąd więc ten ptak w pięknym kurorcie? Wypatrzył go nasz czytelnik, który tak kocha tę miejscowość, że jeździ tam co roku. A choć z zawodu jest menedżerem, to z pasji artystą. Maluje w różnych technikach tak udanie, że tylko podziwiać. I cóż wypatrzył w Krynicy? Czarną koronę na orle, domalowaną flamastrem na godle urzędu. Dzieło miejscowego artysty ma już swoje lata. Pisaliśmy o tym przed rokiem.

Generalnie pochwalamy oszczędność miejscowego ludu i jego nieufność. Bo gdy ustrój znowu się zmieni, to wystarczy szmatka i po koronie.

FOT. YOU TUBE (3), ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 52d086bfa9

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego tak szybko spadają notowania rządu?

DR MIROSŁAW OCZKOŚ,
specjalista od marketingu politycznego

Pierwsza przyczyna to działanie na polu minowym poprzedniego rządu. Nawet po 1989 r. nie było takiego przekazywania władzy, żeby oficjalnie oddawać klucze do ministerstwa, a pod spodem uruchamiać pułapki. Po drugie odzwyczailiśmy się, że koalicja to więcej niż dwie partie. Obecnie to cztery ugrupowania, ale 11 podmiotów partyjnych, co wymaga pogodzenia wielu stanowisk. W grę wchodzi też tzw. czas zużywania się przy rządzeniu. Zapewne już we wrześniu zaczną się pytania m.in. o rozliczenia PiS. Po trzecie, nadchodzą wybory prezydenckie. Nie można zapomnieć o ambicjach Szymona Hołowni, by je wygrać, a Kosiniaka-Kamysza, by wystartować. Mamy też Rafała Trzaskowskiego, którego może jeszcze zaskoczyć Radosław Sikorski czy sam Donald Tusk. Czwarty powód to problem komunikacji. Opozycja radzi sobie z nią dużo lepiej niż koalicja, wzmacniając przekaz dodatkowo fake newsami.

DR MATEUSZ ZAREMBA,
politolog, USWPS

Trzymając się przesłanki metodologicznej, widać, że obecny spadek poparcia jest na tyle mały – w porównaniu z czerwcem to ruch o zaledwie 2-3% – że na takiej podstawie nie można zbyt wiele stwierdzić, ponieważ te dane mieszczą się w granicach błędu pomiaru statystycznego. Trudno tym bardziej mówić o spadku.

Z drugiej strony maksymalny wynik zaufania do koalicji rządowej, jaki odnotowano w początkach roku, wynosił 41%. W stosunku do tych liczb rzeczywiście nastąpił zauważalny spadek. Jednak jest to naturalne zjawisko po kilku miesiącach od utworzenia rządu. Następuje pewien krótkotrwały wzrost poparcia, który później spada. Nie da się jednak ukryć, że tempo rozliczeń czy wprowadzania w życie obiecanych zmian może sprawiać, że nawet najzagorzalsi zwolennicy ekipy Tuska mogą dziś czuć ukłucie rozczarowania.

DR HAB. ANDRZEJ ZYBAŁA,
politolog, SGH

Obecne poparcie może nie wydawać się wysokie, ale trzeba wziąć pod uwagę poziom potężnej polaryzacji społecznej. Obóz rządzący ma pewien sufit poparcia, który utrzymuje się w granicach 40%. Podobne zjawisko dotyczy elektoratu obecnej opozycji, która również ma swoje zaplecze na poziomie maksymalnie 40%, ale dziś utrzymuje się w granicach 30%. Przy takich warunkach ekipa rządząca miałaby nawet szanse na reelekcję. Porównując sytuację z zestawieniem CBOS za lata 2010 i 2011, które również dotyczyło rządu Tuska, zadowolonych było 49% respondentów. Dziś są to jednak wartości, jakich żaden rząd nie jest w stanie osiągnąć. Odnośnie do dalszej dynamiki politycznej – znaczenie będzie miało to, czy rząd da radę podtrzymać poparcie, umiejętnie prowadząc spór z PiS również dzięki celnym działaniom na takich polach jak edukacja czy ochrona zdrowia.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl 52d086bfa9

Jak nas psują politycy

Sposób przedstawienia zarzutów wobec PiS nie przekonuje jego zwolenników. Przeciwnie, mobilizuje ich do solidarności

Rozmawia Robert Walenciak

PROF. JANUSZ REYKOWSKI
– zajmuje się psychologią społeczną i polityczną. W latach 1980-2002 dyrektor Instytutu Psychologii PAN. Współzałożyciel Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie. Od grudnia 1988 r. do stycznia 1990 r. członek Biura Politycznego KC PZPR. W czasie obrad Okrągłego Stołu współprzewodniczący (z Bronisławem Geremkiem) zespołu ds. reform politycznych.

Mamy sierpień, nie ma tygodnia, byśmy nie słyszeli o kolejnych aferach PiS, które wychodzą na światło dzienne. A PiS ciągle uzyskuje duży stopień poparcia. Dlaczego?

– Powody mogą być różne. Jednym z nich jest chyba brak wypracowanego sposobu i mechanizmów porozumiewania się z obywatelami. Przedstawiania im, co się robi, dlaczego się robi, a także dlaczego się nie robi tego, co miało się robić. Rząd powinien mieć także stały dopływ informacji dotyczącej stanu umysłów obywateli, sposobu widzenia jego polityki i nieporozumień, jakie z tym widzeniem mogą się wiązać. Być może powinien istnieć specjalny sektor, którego zadaniem byłoby całościowo spojrzenie na sferę porozumiewania się z obywatelami.

PiS komunikuje się lepiej?

– Inaczej. Jeśli jest jakiś aktualny problem przedstawiany przez media, np. poważne naruszenia prawa przez pracowników Ministerstwa Sprawiedliwości kierowanego przez ministra Zbigniewa Ziobrę, to PiS szybko przedstawia swoją narrację, która kwestionuje prawdziwość ustaleń i podważa ich legalność. Pyta: macie na to dowody? To oskarżajcie! A jak będzie wyrok sądu, to zobaczymy kto ma rację. A teraz wasze zarzuty są gołosłowne!

Albo na zarzut niezgodnego z prawem użycia środków państwowych na propagandę przedwyborczą PiS Mateusz Morawiecki odpowiada: „Nie robiliśmy nic innego niż to, co robiły inne partie". To znakomite usprawiedliwienia, które pozwalają im utrzymywać się w przeświadczeniu, że PiS jest w porządku. Bo rzeczywiście żadnych wyroków sądowych nie ma, są tylko oskarżenia prokuratorskie, ale to niczego nie przesądza. Zwolennicy PiS mogą więc pozostawać w przekonaniu, że „nasi mają rację"! A ze strony obozu demokratycznego nie ma na to żadnej racjonalnej odpowiedzi, jest tylko powtarzanie tych samych zarzutów.

Powinno być inaczej?

– Na znaczenie przemyślanej i systematycznej komunikacji między władzą a społeczeństwem wskazują różne przykłady historyczne. Jednym z nich jest prezydent Franklin Delano Roosevelt, który rozpoczynając w Stanach Zjednoczonych gruntowne reformy ekonomiczne i społeczne, wykorzystał nowy w owym czasie instrument masowej komunikacji – radio – do tego, aby regularnie spotykać się z obywatelami, tłumacząc im, co i dlaczego robi. Miał bardzo wielu słuchaczy. To radio okazało się ważnym instrumentem polityki. U nas w mediach często występują różni przedstawiciele obozu demokratycznego, ale można odnieść wrażenie, że ich głównym celem jest dezawuowanie PiS. Przedstawiając długą listę zarzutów i oskarżeń wobec tej partii, liczą zapewne na to, że w ten sposób zniszczą jej autorytet w oczach społeczeństwa. To jednak kiepski sposób komunikowania się w sprawach polityki. Atakowani przedstawiciele PiS sami odpowiadają atakiem. W ten sposób rozmowa przekształca się w kłótnię. A w kłótniach z reguły rację mają „nasi" lub nikt.

To stara zasada pojedynków medialnych – gdy się przegrywa, wszczyna się awanturę.

– Rzadko trafiam w debatach medialnych na polityka, który jest dobrze merytorycznie przygotowany.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 52d086bfa9

Takiego, który może wyraźnie powiedzieć, dlaczego uważa, że jego oponent się myli lub celowo wprowadza w błąd. W dyskusjach polityk raczej stara się „zniszczyć" rozmówcę, a nie wyjaśnić, na czym polega różnica i dlaczego tak krytycznie się do niego odnosi.

Jeżeli ludzie słuchają takich polityków, ich kłótni, to działają emocjonalnie – są za swoimi.

– No właśnie. Kłótnia lub awantura to sytuacja, która przyczynia się do zwarcia szeregów. Innymi słowy, do zwiększenia identyfikacji z własną grupą. Ale rzadko sprzyja dobremu zrozumieniu sytuacji i uznaniu argumentów jakiejś strony. Jeżeli była niemała grupa, która się identyfikowała z PiS, to ona automatycznie ma tendencję do obrony tej partii.

Bo jest otwarta tylko na argumenty, które bronią ich partii, ich punktu widzenia.

– Przeciwnicy PiS dziwią się nieraz, dlaczego wszystkie te oskarżenia kierowane przeciw PiS nie wpływają na postawy jego zwolenników i poparcie znacząco nie maleje. Można na to odpowiedzieć, że sposób przedstawienia zarzutów rozpowszechniony w mediach wcale nie przekonuje zwolenników PiS, że jest to partia zasługująca na negatywną ocenę, przeciwnie, zapewne mobilizuje ich do solidarności. Taka sytuacja nie stwarza warunków do tego, żeby po pierwsze, Polacy lepiej się porozumiewali, a po drugie, żeby lepiej rozumieli, co naprawdę się dzieje, co rząd robi, co może, a czego nie itd.

Ale elektorat PiS czy partii demokratycznych nie jest czymś stałym, on ewoluuje, ludzie się zmieniają, zmieniają poglądy, przechodzą.

– Nie jest to oczywiste, że ludzie przechodzą między tymi dwoma obozami. Jeżeli tak się zdarza, to raczej incydentalnie. A co się zmienia? Na przykład w obozie demokratycznym mogą zachodzić przepływy między partiami wchodzącymi w jego skład. Ale zmiana może polegać na osłabieniu czy wycofaniu poparcia. To jest główne zagrożenie dla obozu demokratycznego.

Ten obóz zmobilizował ogromne poparcie.

– Ale spełnienie oczekiwań elektoratu nie jest proste. Przecież obóz ten składa się z różnych grup o różnych roszczeniach i aspiracjach. Nie znaczy to, że oczekuję, iż premier Donald Tusk, tak jak prezydent Roosevelt, będzie co tydzień czy co miesiąc spotykał się z telewidzami, aby wyjaśniać swoją politykę, ale widzę potrzebę znalezienia formuły organizacyjnej, aby to zadanie było realizowane. Myślę też, że sytuacja PiS jest w pewnym sensie podobna. To znaczy, może być mało prawdopodobne, żeby członkowie tej partii niezadowoleni z jej polityki przenieśli się do innych ugrupowań (choć oczywiście nie jest to wykluczone), możliwe, że w takiej sytuacji wycofają poparcie dla PiS, nie popierając nikogo w zamian.

Te osoby raczej wybiorą absencję wyborczą, staną z boku?

– Panowie Sadura i Sierakowski w książce „Społeczeństwo populistów" piszą o dwóch typach poparcia dla PiS, o dwóch podgrupach jego elektoratu: jedni utożsamiają się z tą partią, jej ideologią i jej praktykami, drudzy głosują na nią, bo uznali, że to jest w ich interesie. Otóż tożsamościowy związek z organizacją nie ulega tak łatwej zmianie jak związek oparty na interesach.

I te grupy będą się zachowywać inaczej, gdy PiS popadnie w kłopoty?

– Tak. Na początku odchodzą ci, którzy uczestniczą w polityce, by realizować swoje cele osobiste, ale nie tylko. Mogą tu być też osoby, które mają pewne wyobrażenia o pożądanych formach ładu społecznego, np. mają autorytarne przekonania, a wśród nich niechęć do obcych i silną identyfikację narodową. Ci mogą się poczuć rozczarowani partią, która takich celów nie realizuje lub realizuje je niezadowalająco. Jeśli się to nie spełnia, chociażby przez to, że ich interesy osobiste nie będą tak dobrze zabezpieczone, jak były wtedy, kiedy władzę miało PiS, to powoli się oddalają. Ale są również tacy, którzy się zidentyfikowali z PiS. Nawet mówią o sobie: pisowcy. W ich przypadku zmiana jest o wiele mniej prawdopodobna.

Pytam o tych, którzy przestają głosować na swoją partię z prostego powodu – wyniki wyborcze pokazują, że następuje zmiana wśród wyborców. Ale co jest przyczyną tej zmiany? Rozum sprawia, że ludzie zmieniają preferencje czy emocje? Czy też świat zewnętrzny się zmienia, więc my też musimy się dostosować?

– Zmienia się np. wiek. W związku z tym zmienia się dostęp do informacji, zakres kontaktów społecznych, pojawiają się nowe doświadczenia – wtedy mogą się zmieniać myślenie i postawy polityczne. Bardzo ważnym czynnikiem utrzymującym stałość poglądów jest przekonanie, że inni z grupy, z którą czujemy się związani, myślą podobnie jak my. To jest czynnik, który silnie podtrzymuje stałość danego systemu deklarowanych poglądów. Jeżeli ta podstawa pęka z różnych powodów, bo nastąpiła zmiana środowiska, np. wskutek awansu, zmiany pracy, miejsca zamieszkania, wtedy mogą nastąpić poważne zmiany poglądów. Zmiana może także dokonać się dlatego, że do danej osoby dotarły nowe informacje, które gruntownie zmieniły jej obraz rzeczywistości, a więc zburzyły dotychczasowy obraz świata.

Reżim PiS dopuścił się praktyk, które w ramach porządku demokratycznego mają charakter przestępczy, a więc wymagają postępowań karnych.

Rzadko spotykam w debatach medialnych polityka, który jest dobrze merytorycznie przygotowany.

eprasa.pl 52d086bfa9

Czyli kampanie wyborcze są średnio skuteczne w takiej sytuacji?

– W 2012 r. kilku uczonych z Uniwersytetu Stanforda przeprowadziło badania na temat 40-letniej historii konfliktu między głównymi partiami politycznymi w Stanach Zjednoczonych, demokratami i republikanami. Badania dotyczyły przede wszystkim pogłębiającej się wrogości i niechęci między politykami a zwolennikami tych partii, czyli jak to określono – polaryzacji politycznej. Próbowano znaleźć odpowiedź, dlaczego ta polaryzacja coraz bardziej się nasilała. Jak się okazało, głównym czynnikiem nasilającym polaryzację były kampanie partyjne, w których dominowały narracje nienawiści i wrogości wobec przeciwnika. Ta nienawiść i wrogość przekazywana przez polityków wytwarzała nienawistne tożsamości partyjne. Chyba można powiedzieć, że gdyby takie badania zostały przeprowadzone w Polsce, ich wyniki mogłyby się okazać bardzo podobne.

Ale gdyby to była tak do końca prawda, nie byłoby zmian. A ponieważ raz wygrywają jedni, a raz drudzy, jakieś grupy wyborców muszą zmieniać poglądy, przechodzić na drugą stronę.

– Niekoniecznie. Zmiany mogą polegać na tym, że jakaś grupa jednego obozu rozczarowuje się do „swojej" władzy, do tego, co ona robiła, i przestaje ją popierać. Wtedy druga strona ma szanse na wygraną. Jednak przepływy między partiami stają się coraz mniej prawdopodobne, jeśli między nimi kształtuje się silna wrogość.

Zawsze popularna była teza, że partia, żeby wygrać, musi iść do centrum, by zebrać głosy niezdecydowanych. Z pańskich słów wynika, że partia musi przede wszystkim mobilizować swój twardy elektorat.

– To zależy od rozkładu postaw politycznych w społeczeństwie. W społeczeństwie głęboko podzielonym centrum się kurczy. Czyli pójście do środka sceny niewiele może dać. Ale jeśli rozkład w społeczeństwie jest normalny, wtedy najwięcej wyborców jest w centrum, a po bokach mniej – wówczas rekomendacja „idź do centrum" ma sens.

A jak jest w Polsce?

– O! Polska jest bardzo podzielona. Nie oglądałem danych z ostatnich lat, ale wydaje mi się, że w Polsce centrum się skurczyło.

W dyskusjach polityk raczej stara się „zniszczyć" rozmówcę, a nie wyjaśnić, na czym polega różnica.

W takim razie obecna władza musi iść drogą Kaczyńskiego, być coraz agresywniejsza wobec przeciwnika.

– Nie! To byłoby nieszczęście! Powinna być racjonalna. Słynny psycholog amerykański Morton Deutsch sformułował tezę, którą nazwał minimalnym prawem Mortona Deutscha. Jeśli jakaś osoba (lub grupa) postępuje w określony sposób wobec innej osoby (lub grupy), to ta osoba (lub grupa) w taki sam sposób będzie postępowała wobec niej. Można powiedzieć, że jest to naukowe sformułowanie dobrze znanej zasady: jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

Ważnym czynnikiem utrzymującym stałość poglądów jest przekonanie, że inni z grupy, z którą czujemy się związani, myślą podobnie jak my.

Czyli wyciąga pan z tego wniosek, że agresywnej polityce PiS musi odpowiadać agresywna polityka obozu demokratycznego.

– Otóż moim zdaniem teraz kraj wymaga zupełnie innej polityki: konsekwentnego wprowadzania zasad ładu demokratycznego i konsekwentnego przestrzegania zasad fair play. Niestety, w tej konkretnej sytuacji, w której obecnie znalazł się nasz kraj, nie jest to łatwe, ale jeśli się o tym w ogóle nie myśli, to popadamy w pułapkę prostego rewanżu.

W czasach, gdy silny był SLD, dominował podział postkomunistyczny. Został on zastąpiony innym podziałem – na Polskę liberalną i solidarną. Czyli Tusk powinien znaleźć inny podział.

– Ten podział jest nieaktualny, ponieważ partie obozu demokratycznego troszczą się o politykę socjalną, czyli nie ma podziału liberalne versus socjalne. Ale dodałbym jeszcze jedno. Otóż obecna sytuacja polskiej demokracji jest o tyle trudna, że przeciwnik obozu demokratycznego nie jest inną partią demokratyczną (choć głośno zapewnia, że jest). Prowadzona przez nią polityka wykazała, że jest ona partią populistyczną, neoautorytarną, czyli stanowi zagrożeniem dla ładu demokratycznego. PiS pozostawiło po sobie liczne deformacje instytucji demokratycznych. Tworzy to pewien trudny dylemat. Reżim PiS dopuścił się praktyk, które w ramach porządku demokratycznego mają charakter przestępczy, a więc wymagają postępowań karnych. Trzeba osądzić tych, którzy złamali prawo i aktywnie przyczynili się do demontażu państwa prawa.

Państwo musi być państwem. Jeżeli tego nie zrobi, to znaczy, że abdykuje.

– Ale z drugiej strony trzeba pamiętać o ważnej zasadzie teorii ładu demokratycznego. Teoria ta mówi, że istotnym wymogiem demokracji jest regularna zmiana władzy, a staje się ona możliwa dzięki temu, że ci, którzy tracą władzę, nie muszą się bać, że przez nową władzę będą prześladowani. Jest to więc bardzo ważne wyzwanie dla władzy demokratycznej – dopilnowanie, aby odpowiedzialność karna nie mieszała się z odpowiedzialnością polityczną. Dotyczy to zarówno płaszczyzny praktycznej, jak i komunikacyjnej.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 52d086bfa9

WOJSKO OD PIKNIKÓW

Kto sprawdzał, jak działają na wojnie w Ukrainie nasze kraby? Nie było takich zespołów

Robert Walenciak

Gen. Wiesław Kukuła, szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, to teoretycznie najważniejszy generał. Edyta Żemła, dziennikarka pisząca o wojsku od 20 lat, nazwała go w swojej książce „Armia w ruinie" „Nikodemem Dyzmą polskiej armii"*. Trudno z tą opinią polemizować. Kukuła – jak zaznacza Żemła – „nie był nawet żołnierzem wojsk specjalnych. Nie przeszedł selekcji, nie ma szlaku bojowego. Był łącznościowcem. Jako dowódca pułku nigdy nie był też na szczeblu wyższym, operacyjnym, strategicznym".

Jest produktem armii PiS – bo takich ludzi lubili wyciągać do góry pisowscy szefowie MON Antoni Macierewicz i Mariusz Błaszczak. Poszło im o tyle łatwiej, że Antoni Macierewicz, przejmując MON, zlikwidował Akademię Obrony Narodowej (AON) w Rembertowie, w jej miejsce powołując Akademię Sztuki Wojennej (ASW). To nie była prosta zmiana szyldu – likwidując AON, zwolniono jej kadrę, pozbyto się profesorów belwederskich.

Rektorem ASW został ppłk Ryszard Parafianowicz, który obronił dwa lata wcześniej doktorat o żołnierzach wyklętych na Suwalszczyźnie. Zmianę komentuje jeden z rozmówców Edyty Żemły: „Podpułkownik, bez znajomości języka angielskiego, bez doświadczenia dowódczego, ze świeżym doktoratem o żołnierzach wyklętych, zastąpił płk. Kozerawskiego, profesora belwederskiego, cenionego na świecie fachowca z dziedziny bezpieczeństwa międzynarodowego oraz konfliktów zbrojnych, który brał udział w misjach wojskowych w Kosowie, Bośni, Mołdawii, Iraku i Afganistanie. Przecież to kpina".

Zmiana rektora i kadry wykładowców miała swoje konsekwencje. Zlikwidowano m.in. roczne studia „generalskie", składające się z pogłębionych kursów i z podróży studyjnych do państw NATO. Co w zamian? W zamian wprowadzono podyplomowe studia polityki obronnej ze zredukowanymi godzinami szkoleń, które można było ukończyć zaocznie. A przyszłych generałów na sobotnio-niedzielnych kursach „uczyli" porucznicy i kapitanowie. Tak się zaczęła wielka wymiana w polskich siłach zbrojnych. I podział na „weekendowych generałów PiS" oraz na „starych generałów PO".

Rzecz zresztą dotyczyła nie tylko generałów. Czasy PiS w wojsku zaznaczyły się też tym, że pojawiła się grupa oficerów, którzy zaczęli notować błyskawiczne awanse, w ciągu trzech lat przeskakując o trzy stopnie. Kukuła pierwszy stopień generalski otrzymał z rąk Andrzeja Dudy w roku 2016. Od 9 listopada 2023 r. jest generałem czterogwiazdkowym, wyższej rangi już nie ma.

Ta polityka awansów, budowy „swojej" armii, zakończyła się klęską. Podwójną. Klęską dla PiS, bo jeżeli Macierewicz i Błaszczak wierzyli, że będą mieli swoich generałów, to przecież widać gołym okiem, że tak nie będzie. Bo dziś służą oni z zapałem nowemu ministrowi, a jeżeli zapału nie wykazali, stoją w kolejce do zwolnienia.

Ale ważniejsze jest, że klęskę poniosła Polska – bo tak szarpana przez polityczne gry armia, w której na dalszy plan zeszły sprawy kompetencji, doświadczenia, a na pierwszy wybiła się usłużność, nie może dobrze funkcjonować. Tak jak nie mógłby dobrze funkcjonować szpital, w którym ordynatorami zostaliby studenci piątego roku medycyny.

Przez osiem lat PiS rządziło armią, mając swojego ministra oraz swojego prezydenta – a czas tych rządów to ciągłe kadrowe awantury i intrygi. Wojny między ministrem a prezydentem, między szefem sztabu a ministrem i niespodziewane dymisje. Takie jak dymisje generałów Rajmunda Andrzejczaka, szefa Sztabu Generalnego, i Tomasza Piotrowskiego, dowódcy operacyjnego, na tydzień przed wyborami.

RYS. GRZEGORZ BĄKOWSKI

eprasa.pl 52d086bfa9

„Armię w ruinie" można potraktować jak klasyczną ścianę płaczu oficerów, którzy na własne oczy widzieli kadrowe ekscesy Macierewicza i Błaszczaka i nie mogli przejść obok tego obojętnie. Ale jest to też zapis wojskowych zaniechań. Zwłaszcza tych z czasów toczącej się od 24 lutego 2022 r. wojny na Ukrainie. Oto niektóre z nich:

„Do Ukrainy wysłaliśmy masę naszego sprzętu. I co z tego, jaką mamy zwrotkę z doświadczeń z jego użytkowania na wojnie? Żadnej. Dlaczego tam nie było naszych doradców? Dlaczego nie sprawdzali, co się z naszym sprzętem dzieje?".

„Brytyjczycy konflikt na Ukrainie wycisnęli dla siebie jak cytrynę. Świetnie zorganizowali tam swoją placówkę. Mieli dwóch generałów, jeden był przy ukraińskim MON-ie, drugi w sztabie generalnym. Zbierali wiedzę, potem ją opracowywali, robili z tego podręczniki pokazujące, jak wojna przebiega, jakie są trendy, w którym kierunku idą. Przekazywali tę wiedzę na poziom armii. A u nas? Uczył Marcin Marcina.

Francuzi, tak jak my, obudzili się za późno, już po wybuchu wojny. Dziś są jednak przed nami o lata świetlne. Olbrzymią robotę zrobili też Niemcy. Poprzez Unię Europejską zaproponowali budowę centrum szkolenia armii ukraińskiej. Na jego czele stanął trzygwiazdkowy generał. Spisują wnioski i dystrybuują wewnątrz armii. U nas nie ma takiej kultury.

Proszę zobaczyć, wysłaliśmy nasze świetne armatohaubice Krab. Gdzie, jak nie na wojnie, można sprawdzić ich wady i zalety. My je oddaliśmy Ukraińcom i przestaliśmy się tym sprzętem interesować. Następna sprawa – ta wojna to wojna starlinków i dronów. Tego również zupełnie nie przeanalizowaliśmy. Gdzie są akademie wojskowe? Czemu, w sposób profesjonalny, wiedza z wojny nie trafia do żołnierzy, którzy szukają jej na własną rękę w internecie?".

„Mamy niesamowity dar marnowania wiedzy. Wszystkie państwa wykorzystują Ukrainę jako wielkie laboratorium. Dają tam swój sprzęt wcale nie dlatego, że tak bardzo kochają Ukrainę, tylko dlatego, żeby go przetestować w warunkach bojowych, skrajnie wojennych. To są bezcenne doświadczenia. Nic tak nie weryfikuje, jak wojna. Teraz niech mi pani powie, gdzie były nasze ekipy, które sprawdzały, jak działają na wojnie, chociażby nasze kraby? Odpowiem pani – nie było takich zespołów".

„Żadne wnioski z Ukrainy nie zostały spisane i wdrożone w szkoleniu podstawowym polskich żołnierzy".

Oto mamy więc armię niedziałającą. Zdolną defilować, piknikować, zabawkę, a nie realną maszynerię.

Czy to się może zmienić? Moi rozmówcy związani z wojskiem wykazują umiarkowany optymizm. Odpowiadają: może, ale musi to potrwać. Wtedy pytam: czy mamy na to czas? I słyszę odpowiedź: a jest jakiś inny wybór? Pewnie nie ma.

Mamy więc 120 generałów, tylu służy w polskiej armii, i korpus ten zostanie powiększony za sprawą nominacji 15 sierpnia. Poza tym widzimy zmiany kadrowe, choć to bardziej ewolucja niż rewolucja – gen. Kukuła, szef Sztabu Generalnego, jest nie do ruszenia, bo chroni go prezydent Andrzej Duda. Do ruszenia są inni, związani z PiS, i oni odchodzą. Są też powroty – gen. Mieczysław Gocuł jest od marca rektorem Akademii Sztuki Wojennej, gen. Marek Tomaszycki od lutego jest rektorem Akademii Wojsk Lądowych. Daje to nadzieję na odbudowę kanałów awansu i akceptowanych przez wojsko ścieżek kariery.

Czas otrząsnąć się z tych wszystkich pseudopatriotycznych sloganów, które PiS narzuciło, i które przykrywały głupotę i niekompetencję. Na przykład takich, jak opowiadanie przez Macierewicza i Kukułę żołnierzom angażowanym do Wojsk Obrony Terytorialnej, że przejdą takie szkolenie, że po 16 dniach będą mogli bić się ze specnazem.

Przykładów, że nowa władza jeszcze nie wyszła z pisowskich butów, nie brakuje. Jeden z ostatnich to kontrakt na śmigłowce AH-64E Apache pokazywany jako wielki triumf. A przecież jest to kontrakt ponad potrzeby polskiej armii, bo wystarczyłoby nam 48 apaczów. Nie widać też specjalnych zmartwień dotyczących ceny, choć jest to kontrakt na miliardy złotych, konkretnie na 12 mld dol. Pytania nasuwają się więc same – czy stać nas na taki wydatek? Dodajmy do tego koszty eksploatacji sprzętu, które zwielokrotnią tę sumę. I armię ludzi, których wojsko będzie musiało nająć do obsługi: pilotów, mechaników, cały personel. Zatrudnić, przeszkolić i utrzymywać.

Pytanie numer dwa jest równie ważne: ponieważ suma miliardów, które możemy przeznaczyć na obronność, jest ograniczona, to czy za tę kwotę nie mielibyśmy bardziej użytecznego sprzętu? Wojna w Ukrainie dowiodła, że na współczesnym polu walki śmigłowce nie spełniają pokładanych w nich nadziei. Że jest to w coraz większym stopniu „wojna starlinków i dronów". Czy ktoś o tym myślał?

Jeszcze jeden szczegół. Otóż w atmosferze wielkiego halo wiceminister obrony podpisał towarzyszącą kontraktowi umowę offsetową. Na 800 mln zł. Cóż… Miejmy świadomość, że jest to ok. 2,5% wartości kontraktu. Czy to tak dużo? Warto pamiętać, że gdy Polska podpisywała umowę na samoloty F-16, offset wynosił 100%. Co ciekawe, ówczesna opozycja (częściowo politycy dzisiejszej PO, bo rządził SLD) kręciła nosem, że to za mało.

Mamy w kraju wojenną atmosferę, która sprzyja różnym deklaracjom o setkach himarsów, czołgów itd. Te zakupy (czy deklaracje zakupów) to było dzieło polityków. Wojskowi stali z boku, bardziej zdumieni niż kreujący potrzeby. Nie było przy tym finansistów, specjalistów od uzbrojenia i od logistyki.

Może więc nadszedł czas, by i ten obszar uporządkować?

Robert Walenciak

Zakupy (czy deklaracje zakupów) to było dzieło polityków. Wojskowi stali z boku, bardziej zdumieni niż kreujący potrzeby.

* Edyta Żemła, *Armia w ruinie*, Wydawnictwo Czerwone i Czarne, Warszawa 2024.

eprasa.pl 52d086bfa9

GRA NA CZAS

Armia, którą przejął Kosiniak-Kamysz, nie jest ani tak silna, ani tak dziarska, jak chcieliby politycy i wspierający ich dziennikarze

Grzegorz Rudnik

Szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz z generałami BBN Wiesławem Kukułą (po lewej) i Maciejem Kliszem w drodze na spotkanie z prezydentem.

W marcu br. stanowisko dowódcy Eurokorpusu stracił gen. Jarosław Gromadziński w związku ze wszczęciem przez Służbę Kontrwywiadu Wojskowego (SKW) postępowania kontrolnego dotyczącego poświadczenia bezpieczeństwa osobowego. Cztery miesiące później, 22 lipca, SKW poinformowała o cofnięciu mu tych poświadczeń i w ten sposób generał utracił dostęp do informacji niejawnych, co de facto oznacza koniec jego kariery wojskowej.

Na początku sierpnia br. Ministerstwo Obrony Narodowej wszczęło na wniosek sojuszników procedurę odwołania gen. Artura Jakubczyka z Międzynarodowego Sztabu Wojskowego w Kwaterze Głównej NATO. Generałowi zarzucono nieprawidłowości w trakcie konkursu na szefa oddziału ds. polityki wywiadowczej w połączonym departamencie wywiadu i bezpieczeństwa Kwatery Głównej NATO. Jakubczyk zasiadał w komisji konkursowej i miał faworyzować kandydatkę z naszego kraju. Poza tym zarzucono mu zachowania rasistowskie i homofobiczne. Generał wszystkiemu zaprzeczył i stwierdził, że zarzuty są niepoważne i godzą w jego dobre imię.

Niemal jednocześnie pojawiła się informacja, że minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz nie przedłuży trzyletniej kadencji gen. Roberta Głąba na stanowisku zastępcy szefa sztabu ds. zarządzania zasobami NATO w Sojuszniczym Dowództwie Transformacyjnym w Norfolk, na które w roku 2021 oddelegował go ówczesny szef MON Mariusz Błaszczak. Generał został przeniesiony do dyspozycji kadrowej. Zrobiło się o nim głośno, gdy w roku 2016 z rekomendacji ministra Antoniego Macierewicza został dowódcą garnizonu warszawskiego. Podobno miał wydać rozkaz, by podstawowym źródłem informacji pozyskiwanych przez żołnierzy z mediów były programy telewizji publicznej, szczególnie TVP Info. Ze stanowisk zostali też odwołani generałowie Ryszard Parafianowicz, Roman Kopka i Grzegorz Skorupski. Błyskotliwe kariery zrobili oni za rządów Prawa i Sprawiedliwości.

Część dowódców, która awansowała w czasach ministrów Macierewicza i Błaszczaka, nie ma najwyższych kwalifikacji.

Obecna opozycja oskarżyła szefa MON o brutalną czystkę w korpusie generalskim, zapominając, że za jej czasów decyzje kadrowe były znacznie częstsze i znacznie głębsze. To jednak najmniejsze zmartwienie Władysława Kosiniaka-Kamysza, któremu politycy Platformy Obywatelskiej jeszcze niedawno zarzucali, że zmiany personalne w Wojsku Polskim idą zbyt wolno. Wyzwania, przed którymi stoi, a odziedziczył je po poprzednikach, są o wiele poważniejsze. Armia, którą przejął, nie jest ani tak silna, ani tak dziarska, jak chcieliby politycy i wspierający ich dziennikarze telewizyjni. Bardziej liczymy na NATO niż na własne siły. W przeszłości życzeniowe myślenie, że inni nam pomogą, prowadziło jednak do narodowych katastrof.

Goli i nieuzbrojeni

15 sierpnia 2018 r. 120 tys. osób oglądających w Warszawie wraz ze

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

eprasa.pl 52d086bfa9

zwierzchnikiem Sił Zbrojnych prezydentem Andrzejem Dudą wielką defiladę Wojska Polskiego ujrzało karykaturalny widok – dwóch dumnie kroczących rekonstruktorów przebranych za husarzy, ze skrzydłami na plecach, niosących długie kopie. Wszyscy wiedzą, że ta formacja wojskowa zawsze występowała konno, a tu nagle taka parka drepcząca za czołgami.

Dla mnie obraz ten ma symboliczny wymiar. Nowy rząd odziedziczył Wojsko Polskie w złej kondycji. Z powodu wojny przekazaliśmy armii ukraińskiej czołgi, amunicję, wyrzutnie pocisków przeciwlotniczych Piorun, amunicję, armatohaubice Krab, ogołacając swoje magazyny z zapasów.

Na to nałożyły się problemy wewnętrzne w armii: kłopoty kadrowe, ujawniony przez audyty niski poziom wyszkolenia niektórych jednostek, odejścia żołnierzy na emeryturę. Politycy i dowódcy nadrabiają miną i tak szybko, jak to możliwe, chcą zwiększać liczebność sił zbrojnych. Sprowadzają, skąd się da (czyli głównie ze Stanów Zjednoczonych), uzbrojenie i ze wszystkich sił starają się nie dopuścić do wrażenia, że Wojsko Polskie nie jest gotowe odeprzeć ataku ze Wschodu.

Wysiłkom tym towarzyszą niezbędne zmiany kadrowe, bo część dowódców, która awansowała w czasach ministrów Macierewicza i Błaszczaka, delikatnie mówiąc, nie ma najwyższych kwalifikacji. Nawet jeśli legitymują się dyplomami MBA uzyskanymi w Collegium Humanum.

Dziś musi sobie z tym radzić minister Władysław Kosiniak-Kamysz i trzeba przyznać, że choć przyszło mu działać w nieprzyjaznym środowisku, radzi sobie nieźle. Jak dotychczas wicepremier nie zerwał, wzorem Antoniego Macierewicza, żadnego z podpisanych przez poprzedników kontraktów, choć są problemy z dwoma umowami na broń z Korei Południowej. Chodzi o armatohaubice K9 i wyrzutnie rakiet K239 Chunmoo (Homar-K). Z nieznanych przyczyn Ministerstwo Finansów nie chce zaakceptować południowokoreańskich kredytów na ich zakup.

Ostatnio wiceminister Paweł Bejda podpisał z koncernami Boeing i General Electric umowy offsetowe, które mają związek z zakupem przez Polskę 96 śmigłowców szturmowych AH-64E Apache. Zapłacimy za nie 40 mld zł.

Na potęgę zamawiamy i kupujemy czołgi, artylerię rakietową, samoloty wielozadaniowe, amunicję i wszystko, co jest niezbędne do prowadzenia wojny. Ma to znaczenie, gdyż plany mówią o budowie trzystutysięcznej armii i minister Kosiniak-Kamysz z tych ambitnych zamiarów nie rezygnuje.

Dziś mamy w kraju 139,5 tys. żołnierzy zawodowych, 2,5 tys. żołnierzy dobrowolnej zasadniczej służby wojskowej w trakcie kształcenia, 17,5 tys. żołnierzy dobrowolnej zasadniczej służby wojskowej i ponad 35 tys. żołnierzy terytorialnej służby wojskowej. W sumie 199,3 tys. żołnierzy. Ilu z nich jest zdolnych chwycić za broń i natychmiast wkroczyć do walki? Szacuje się, że nie więcej niż 70-80 tys.

Amerykańskie wyrzutnie HIMARS i południowokoreańskie K239 Chunmoo trafią do Polski za kilka lat. Podobnie czołgi i samoloty myśliwskie F-35 Lightning II. W tym obszarze minister Kosiniak-Kamysz pracuje na rzecz swojego następcy. Terminy realizacji składanych obecnie zamówień i podpisywanych umów na dostawy uzbrojenia dla naszej armii są tak odległe, że jest mało prawdopodobne, by doczekał on w swoim gabinecie zakończenia dostaw wspomnianych myśliwców w roku 2030.

Także wpływ Kosiniaka-Kamysza na produkcję uzbrojenia w kraju jest skromny. Polska Grupa Zbrojeniowa, czyli rodzime zakłady zajmujące się produkcją uzbrojenia, to domena Ministerstwa Aktywów Państwowych. Resort obrony nie może np. bezpośrednio przyspieszyć terminów realizacji zamówień, bo nie ma takich możliwości. Nie ma też wpływu na obsadę zarządów owych zakładów. Obecnie trwa w nich wymiana kadry kierowniczej, co czasem prowadzi do dziwnych sytuacji. Prezesem zakładów Mesko SA została pani Renata Gruszczyńska, była radna wojewódzka z Platformy Obywatelskiej, która w latach 2022-2024 pełniła funkcję prezesa Rejonowego Przedsiębiorstwa Zieleni i Usług Komunalnych w Kielcach, a wcześniej, od 2021 r., była prezeską Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacji w Kielcach. Mesko to czołowy w naszej części kontynentu producent ręcznych wyrzutni pocisków przeciwlotniczych Piorun, które świetnie się sprawdziły w Ukrainie. Pozostaje mieć nadzieję, że pani Gruszczyńska sprawdzi się i w tym biznesie.

Wojsko Polskie czekać też będzie na armatohaubice Krab, których 96 sztuk Huta Stalowa Wola ma wyprodukować w najbliższych latach. Nie wiemy, jakie będą losy ogłoszonego jeszcze przez rząd Mateusza Morawieckiego programu Narodowej Rezerwy Amunicyjnej,

Mamy w sumie 199,3 tys. żołnierzy. Szacuje się, że chwycić za broń i natychmiast wkroczyć do walki jest zdolnych nie więcej niż 70-80 tys.

Skąd ta liczba? Na terytorialsów nie ma co liczyć. Są często słabo wyszkoleni i wyposażeni. A wśród żołnierzy zawodowych i dobrowolnej zasadniczej służby wojskowej nie brakuje pisarzy, kucharzy i wszelkiej maści ciurów obozowych, których do boju wysyła się, gdy wyczerpane zostaną ostatnie rezerwy. Politycy i dowódcy mówią o tym niechętnie, nie chcąc straszyć opinii publicznej, lecz jest faktem, że gdyby nie ok. 10 tys. stacjonujących w Polsce żołnierzy amerykańskich oraz nieznana, choć z pewnością mniejsza, liczba wojsk sojuszników z NATO, wyglądalibyśmy kiepsko w obliczu zagrożenia ze Wschodu.

Dziś potencjał odstraszania Wojska Polskiego nie jest zbyt wielki i dobrze, że Rosjanie utknęli w Ukrainie. Dzięki temu zyskujemy czas, by lepiej się przygotować. Wszak zamówione uzbrojenie nie leży na półkach.

eprasa.pl 52d086bfa9

PRENUMERATA POCZTOWA PRZEGLĄDU

Jeden egzemplarz w prenumeracie 7,50 zł

97,50 ZŁ – IV KWARTAŁ

Zamówienia są przyjmowane do 25 sierpnia 2024 r. w placówkach pocztowych lub u listonoszy albo drogą elektroniczną pod adresem: prenumerata.poczta-polska.pl

dzięki któremu mamy uzyskać do roku 2029 ponad 300 tys. pocisków kaliber 155 mm. Wydaje się, że polski przemysł nie ma takich zdolności produkcyjnych. Nasza armia liczy obecnie cztery dywizje – jedną pancerną i trzy zmechanizowane. Docelowo ma być ich sześć. Oznacza to, że powinniśmy mieć co najmniej 1682 czołgi, 3074 bojowe wozy piechoty i kołowe transportery opancerzone, 756 dział samobieżnych (armatohaubic) oraz 648 wyrzutni artylerii rakietowej. Obecnie mamy na stanie bliżej nieokreśloną liczbę czołgów T-72 oraz PT-91 Twardy (sporo ich wysłaliśmy na Ukrainę, więc nie do końca wiadomo, ile ich zostało), ponad 230 leopardów, 46 koreańskich czołgów K2 Black Panther oraz 69 amerykańskich abramsów. Tak więc jest jeszcze bardzo dużo do zrobienia.

Bratnia pomoc

Minister obrony narodowej musi też liczyć się z potrzebami ukraińskiej armii. Jak ujawnił ostatnio w wywiadzie dla Ukrinform były ambasador Ukrainy w Polsce Wasyl Zwarycz, nasz kraj dostarczył do Kijowa 44 pakiety pomocy wojskowej o łącznej wartości ok. 15,8 mld zł. Obecnie realizowany jest pakiet 45. o wartości ponad 400 mln zł. Z pewnością będą kolejne. Pod tym względem polskie rządy wyjątkowo oszczędnie dzielą się informacją. O ile Niemcy i inne kraje NATO szczegółowo podają, ile przekazały Ukrainie czołgów, samolotów, armatohaubic itp., o tyle Polska tym się nie chwali. Choć co nieco już wiemy. Na przykład, że planowane jest przekazanie kolejnych 10 myśliwców MiG-29. Albo że nasza obrona przeciwlotnicza została ogołocona z amunicji i zestawów uzbrojenia.

Jest pewne, że im dłużej będzie trwała wojna, tym większa będzie nasza pomoc. A to w połączeniu z zaplanowanymi już wydatkami oznacza wzrost kosztów. Minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski miał ostatnio powiedzieć, że w przyszłym roku wydamy na potrzeby armii nie 4%, ale rekordowe 5% PKB. Będzie to wyzwanie dla ministra obrony, gdyż koledzy ministrowie z rządu także mają swoje plany i ambicje. Wicepremierowi Kosiniakowi-Kamyszowi, jednemu z liderów koalicji rządzącej, przyjdzie bardzo się postarać, by zdobyć te środki.

Nie unikniemy też dyskusji o skali pomocy dla Kijowa. Jeden z posłów Polskiego Stronnictwa Ludowego powiedział mi, że on i jego koledzy mają świadomość, iż nastawienie Polaków do Ukraińców powoli się zmienia. I to nie na lepsze. Kilka tygodni temu minister Radosław Sikorski zapowiedział też powołanie Legionu Ukraińskiego, do którego mogliby wstępować mieszkający w naszym kraju Ukraińcy. Dziś temat ten nie jest omawiany ani przez media, ani przez polityków. Za kilka miesięcy dowiemy się, czym się zakończyła ta inicjatywa. Gdyby taki legion powstał, przyszłoby go uzbroić. Minister obrony musiałby o tym wiedzieć i znaleźć pieniądze oraz sprzęt. Ochotników trzeba by przeszkolić, wyposażyć, zapewnić żołd itd. A to kolejny problem.

O scenariuszu, w którym wojna w Ukrainie idzie zupełnie wbrew oczekiwaniom Kijowa, lepiej nie myśleć.

Wojsko i polityka

Nie brakuje opinii, że Władysław Kosiniak-Kamysz lepiej by się sprawdził na stanowisku ministra zdrowia, jako że sam ma wykształcenie lekarskie. I pewnie jest to prawda. Tak jak prawdą jest to, że funkcja wicepremiera i ministra obrony narodowej, zwłaszcza w takich jak dziś czasach, jest o wiele bardziej prestiżowa i perspektywiczna. Pod warunkiem że więcej będzie sukcesów niż porażek.

Wicepremiera może dotknąć też proces, o którym mało się mówi i pisze, a który może odegrać ogromną rolę. Chodzi o otoczenie, głównie wojskowych, którzy z czasem uzyskają wpływ na Kosiniaka-Kamysza. To generałowie i pułkownicy mający stały kontakt z ministrem. Łatwo stają się godni zaufania. Wiedzą, że ministrowie, którzy na co dzień żyją w swego rodzaju bańce – służbowy samochód przywozi ich do pracy i odwozi, zawsze jest mało czasu, trzeba podejmować wiele decyzji, uczestniczyć w spotkaniach różnych gremiów itp. – gotowi są scedować część swoich uprawnień na innych. Dlatego z czasem ci ludzie stają się niezastąpieni. Dobrze, jeśli okażą się mądrzy i uczciwi, lecz nie zawsze tak jest.

Ministra Kosiniaka-Kamysza już raz jego otoczenie wpuściło w kanał. Chodzi o sprawę służących na granicy z Białorusią żołnierzy, zatrzymanych i zakutych w kajdanki na polecenie prokuratury wojskowej w związku z użyciem broni. Minister nie znał okoliczności, bo nikt mu o tym nie powiedział, a ze strony opozycji jak zwykle spadła na niego lawina krytyki.

Jeśli nie będzie ostrożny, sytuacja z pewnością się powtórzy. Bo choć większych błędów Kosiniak-Kamysz nie popełnił, musi pamiętać, że polityka w Ministerstwie Obrony Narodowej to stąpanie po polu minowym.

Grzegorz Rudnik

eprasa.pl 52d086bfa9

DWA PAŃSTWA?

Protest przeciwko polityce Izraela ma pokoleniowy charakter. Jest odcięciem się od kalki, że nie wolno krytykować Żydów

Rozmawia Jan Opielka

Konflikt izraelsko-palestyński trwa już dziesięciolecia, szczególnie od 1967 r. i okupacji Zachodniego Brzegu przez Izrael. Zaostrzył się przez krwawy napad Hamasu 7 października ub.r. i następującą po nim wojnę Izraela w Strefie Gazy. Czy konflikt ten może zostać w najbliższej przyszłości rozwiązany, czy jest bez odwrotu i bez końca?

– Przede wszystkim jest to konflikt wielopoziomowy i pewne rozwiązania, które mogą się udać na poziomie stricte politycznym i militarnym, nie pomogą na poziomie historycznym i ideowym. Prawdopodobnie ta wojna, w której aktualnie uczestniczą Izrael i Palestyńczycy ze Strefy Gazy, ostatecznie jakoś ucichnie. Co więcej, ponieważ w zasadzie nie ma po stronie państw arabskich woli, żeby stanąć po stronie Palestyńczyków, a raczej jest wola, żeby chronić Izrael przed Iranem, to nie sądzę, żeby ta wojna stała się globalna. Co nie zmienia faktu, że problem, jakim jest wypędzenie Palestyńczyków w momencie powstania państwa Izrael w 1948 roku, sposób ich traktowania współcześnie i jednocześnie to, jak bardzo sprawa palestyńska jest wpleciona w ideologiczny dyskurs różnych państw arabskich, wskazuje na to, że konflikt będzie trwał. Należy dodać, że hasło walki z Izraelem dotyczy nie tylko społeczeństw arabskich, bo Iran i Turcja nie są państwami arabskimi, ale szerzej – wojującego islamu. Dopóki ta ideologia istnieje, antagonizm nie zniknie. Los Palestyńczyków będzie nadal zły, a po drugie będzie kartą przetargową w rozgrywkach politycznych.

PROF. ANDRZEJ LEDER

– (ur. 1960) jest kierownikiem Zakładu Filozofii Kultury w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN w Warszawie. Filozof kultury, psychiatra i psychoterapeuta. Autor wielu publikacji naukowych i książek, m.in. „Prześnionej rewolucji" i najnowszej – „Ekonomia to stan umysłu". Ma korzenie żydowskie, jednak uważa, że fakt ten nie odgrywa istotnej roli dla jego tożsamości – już rodzice odeszli od tradycyjnej żydowskości. Duża część jego rodziny została zamordowana w czasie Zagłady.

Jest pan również praktykującym psychoterapeutą. W jaki sposób doświadczenie Holokaustu – formujące dla tożsamości żydowskiej, ale też dla milionów osób, które dzisiaj żyją w Izraelu – kształtuje postawy tego społeczeństwa? Zarówno poczucie bezpieczeństwa, jak i wybory polityczne czy postawę wobec Palestyńczyków.

– Zacznę moją odpowiedź od dwóch sytuacji z własnego doświadczenia. W 1987 r. byłem w jednym z ważnych muzeów w Izraelu, Yad Vashem. Była tam wystawa rysunków dzieci izraelskich z młodszych klas szkół podstawowych, pewnie 6-, 10-letnich, dotycząca historii Szoah. Uderzyło mnie wówczas, jak wiele tych prac miało w sobie piętno czy ślad osamotnienia i stygmatyzacji. Najbardziej utkwił mi w pamięci obraz, na którym stoi chłopiec, a wokół niego narysowane są ręce, wskazujące tego chłopca, z napisami „Jude, Jude, Jude". Minęły trzy pokolenia od czasów Zagłady. Dziecko, które wychowało się w Izraelu, w którym prawdopodobnie na oczy nie widziało Niemca czy Austriaka, nie słyszało niemieckich słów. I ten przekaz, moim zdaniem przekaz traumy, jest bardzo istotny dla zrozumienia reakcji psychologicznej społeczeństwa izraelskiego na tego rodzaju wydarzenie, jakie nastąpiło 7 października.

Tragedia 7 października uruchomiła tę samą traumę?

– To wydarzenie miało charakter pogromu. Było tam wiele scen, które odzwierciedlają to, co działo się w Europie w czasach prześladowań wobec Żydów, więc natychmiast uruchomiło odruch: „Jesteśmy osamotnieni, stygmatyzowani i prześladowani, ale tym razem nie pozwolimy na to. Nigdy więcej".

eprasa.pl 52d086bfa9

To na pewno odgrywa istotną rolę. Druga anegdota pokazuje inną stronę: ok. 10 lat temu uczestniczyłem w konferencji psychologów i psychiatrów izraelskich i polskich. Tam było wyraźne starcie pomiędzy psychologami. Jedni, starsi, wywodzili się z Europy i jako dzieci Holokaustu nieśli w sobie pamięć tego, co wówczas się stało. Drudzy zaś byli młodszą formacją, amerykańską w orientacji zawodowej, z doświadczeniem pracy z traumami podczas wojen z Arabami; formacją bardzo bojową i pragmatyczną. W pewnym momencie jeden z tych starszych ludzi, kiedyś dziecko Holokaustu, powiedział: „Nie zgadzam się na to, żeby faszyści w Izraelu – użył słowa faszyści – zawłaszczali sobie dzisiaj Zagładę jako swój sztandar".

To jest druga strona medalu. To znaczy, że Zagłada stała się w Izraelu sposobem mobilizacji społeczeństwa żydowskiego do bezwzględnej walki z Palestyńczykami właśnie w związku z tym, że ma traumatyczny charakter, który uruchamia odruch „Nigdy więcej" i „Musimy się odegrać".

Czyli Zagłada jako instrument polityczny rządzących?

– Bardzo łatwo manipulować tym obrazem Zagłady, poczuciem osamotnienia i stygmatyzacji, żeby w gruncie rzeczy pozwalać na rzeczy niedopuszczalne. Podkreślam jednak, że to nie jest jedyne społeczeństwo, w którym dokonuje się tego rodzaju manewr polityczny czy historyczno-polityczny. W Polsce podobną rolę odgrywa powstanie warszawskie, które stało się pewnego rodzaju emblematem ruchów prawicowych i uzasadnia często bardzo agresywne czy nienawistne hasła i działania. Nie zmienia to oczywiście faktu, że Polska aktualnie nie prowadzi żadnej otwartej wojny, a Izrael owszem. I w Izraelu ma to śmiercionośne konsekwencje.

Zarówno w Europie, jak i w Stanach Zjednoczonych społeczność żydowska jest bardzo podzielona, także pokoleniowo – szczególnie młodzi Żydzi protestują przeciwko izraelskiemu rządowi i są w czołówce propalestyńskich demonstracji, choćby na amerykańskich uniwersytetach. Co determinuje te zróżnicowane postawy?

– Wydaje mi się, że bardzo istotne są kwestie tożsamościowe. Ogólnie rzecz biorąc, w kierunku pokojowego rozwiązania zawsze występowały bardziej zlaicyzowane, oświecone, lewicowe grupy w diasporze żydowskiej. W Izraelu niekoniecznie, bo, jak wiadomo, Partia Pracy prowadziła tam bardzo twardą politykę. Ale w diasporze te osoby, które mają tradycyjną tożsamość żydowską jako fundament tożsamości i jednocześnie skłonności nacjonalistyczne, wspierają również nacjonalizm izraelski. Ta nacjonalistyczna diaspora żydowska, szczególnie amerykańska, przeprowadziła bardzo skuteczną akcję amerykanizacji Holokaustu czy też amerykanizacji Zagłady. To znaczy, że w pewnym sensie Zagłada w amerykańskim społeczeństwie zaczęła odgrywać rolę wizerunku zła absolutnego. To spowodowało w ogromnej mierze, że duża część społeczeństwa w USA w ostatnich latach bezkrytycznie popierała politykę Izraela. Ogromna presja tej diaspory nadawała siłę i dynamikę kolonizacji, chociażby z powodu ogromnych sum, które płynęły na ten kolonizacyjny projekt.

Palestyńczyk stara się uspokoić nastroje niedaleko miasta Beita, dokąd wkroczyły izraelskie wojska.

Czy podejście osób z diaspory różni się w zależności od pokolenia?

– Tak, tutaj nakłada się konflikt pokoleniowy, zresztą w Europie to zjawisko również odgrywa rolę. Widzę to u swoich studentów. Po okresie lewicowego antysyjonizmu lat 60. sprawa żydowska stała się pod koniec XX w. w pewnym sensie zakładnikiem szantażu moralnego. Ponieważ Zagłada Żydów rozpoznana została jako zło absolutne, antysemityzm to zło absolutne, bo doprowadził do jednej z największych zbrodni w historii, więc jakakolwiek wypowiedź kwestionująca działania Żydów może być unieważniona jako wpisująca się w spektrum antysemickie. Zbudowane na tej bazie poczucie winy społeczeństw europejskich, szczególnie w środkowej i wschodniej Europie, zamykało drogę do dyskusji o współczesnej sytuacji politycznej w Izraelu. Stało się też elementem konsensusu liberalnego. Młode pokolenie ma tego dość. Moi studenci mówią mi, że nie można krytykować Izraela, nie będąc okrzykniętym antysemitą. I ja wiem, że oni nie są antysemitami, nie ma u nich uprzedzeń antyżydowskich. W Polsce występują one w wielkiej skali, ale akurat nie u tych, którzy

eprasa.pl 52d086bfa9

aktualnie protestują przeciwko polityce Izraela. W tym sensie myślę, że ma to też pokoleniowy charakter, że to jest odcięcie się od pewnej poprawnościowej kalki, która stała się już zrytualizowana i chroniła Izrael pod pretekstem, że nie wolno krytykować Żydów.

Krytykę wobec Izraela wyrażają również rządy wielu krajów, szczególnie z Globalnego Południa. Czy działania rządu i armii izraelskiej w Strefie Gazy i ewidentne zbrodnie wojenne mają według pana charakter ludobójstwa?

– Słowa i terminy, jakich używamy, żeby określić to, co się dzieje w Strefie Gazy, mają znaczenie; choćby prawne, bo inne są konsekwencje kwalifikacji jakichś czynów jako ludobójczych, inne jako zbrodni wojennych, a inne jako czystki etnicznej. Ale ma to też znaczenie moralne, bo inaczej oceniamy sytuację, gdy dokonuje się ludobójstwo, a inaczej, gdy dochodzi do zbrodni wojennych. Termin zbrodni ludobójstwa został stworzony przez Rafała Lemkina z konkretnym sensem – takim, że jakieś państwo podejmuje celowe działanie, żeby wyniszczyć pewną etnię, część ludności. W tym znaczeniu uważam, że to nie jest ludobójstwo. Izrael nie stawia sobie za cel zabicia wszystkich Palestyńczyków, inaczej niż hitlerowcy chcieli zrobić z Żydami albo bojówki serbskie czy armia serbska w Srebrenicy z Muzułmanami. Natomiast w moim rozumieniu są to na pewno zbrodnie wojenne i czystka etniczna. Myślę, że czystka etniczna jest tutaj najbardziej adekwatnym określeniem w takim rozumieniu, że poprzez terror i mordowanie części pewnej populacji chce się doprowadzić do tego, żeby po prostu opuściła ona jakieś terytorium i uciekła.

Chodzi de facto o przesiedlenie lub zmuszenie Palestyńczyków do ucieczki?

– Rząd w Izraelu chciałby, żeby Egipt otworzył przejście w Rafah i przyjął tych Palestyńczyków. Sądzę, że bardzo podobnie skrajna prawica w Izraelu myśli o Zachodnim Brzegu. To znaczy: „My będziemy ich prześladować, utrudniać im życie, a czasem atakować i zabijać do momentu, gdy któreś z państw arabskich ich zabierze, np. Jordania czy Egipt". Oczywiście żadne państwo arabskie tego nie zrobi, choćby dlatego, że mają wystarczająco dużo kłopotów ze swoimi populacjami. Więc tak, uważam, że skrajna prawica izraelska, która aktualnie rządzi w Izraelu, a przede wszystkim Benjamin Netanjahu to zbrodniarze winni zbrodni wojennych i czystek etnicznych. Ale nie są ludobójcami.

Musimy chyba wyjść z założenia, że Palestyńczycy – nie tylko ze Strefy Gazy, ale i z innych rejonów Izraela, z Zachodniego Brzegu, w dużej mierze z powodu tej traumatycznej dla nich wojny staną się bardziej radykalni. Czy to będzie dotyczyć także Izraelczyków?

– Izraelskie społeczeństwo, jak zresztą wiele innych, niesłychanie się polaryzuje. Pamiętajmy, że ostatnie dwa lata w Izraelu to masowe protesty miejskiej klasy średniej przeciwko kierunkowi polityki wewnętrznej premiera Netanjahu, czyli przekształcania stopniowo państwa izraelskiego w państwo autorytarne. Poziom mobilizacji w społeczeństwie izraelskim był ogromny i nie zniknął. Natomiast ten nurt, nawet jeżeli uda mu się w pewnym momencie zdobyć władzę, będzie miał ogromny problem z tym, jak prowadzić politykę zagraniczną Izraela wobec Palestyńczyków i innych państw arabskich. Bo podobnie jak Izrael pozostaje zakładnikiem prawicy amerykańskiej, tak sprawa palestyńska jest zakładnikiem różnego rodzaju autorytaryzmów islamskich. Aktualnie najbardziej irańskiego, bo teokracja w Iranie wykorzystuje sprawę palestyńską, aby osłabiać wpływy Stanów Zjednoczonych w regionie. Nawet jeżeli po stronie palestyńskiej pojawiłyby się polityczne ruchy – jak to już raz się zdarzyło w czasach porozumień z Oslo – które chciałyby innych rozwiązań niż nasilenie walki – to nie sądzę, żeby znalazły one poparcie. Bo to, co się dzieje aktualnie w Strefie Gazy, raczej wzmacnia skrzydło radykalne. I w tym sensie Hamasowi na pewno udało się zrealizować swój cel polityczny.

Czy to był główny cel Hamasu?

– Jest jeszcze drugi cel polityczny, który Hamas zrealizował: wsparcie dla Izraela będzie w świecie zachodnim spadało. Bo to, że w Stanach Zjednoczonych i wielu innych krajach dla całych pokoleń studenckich protest przeciwko polityce izraelskiej był inicjacyjnym doświadczeniem politycznym, będzie miało w przyszłości duży wpływ. To pokolenie za chwilę zasili kadry partii politycznych, urzędów, uczelni itd. I ono będzie niebawem wpływało na linie polityczne różnych państw. Obawiam się, że kolejne rządy izraelskie, czując słabsze poparcie demokratycznego Zachodu, z większą łatwością będą poddawać się tendencjom autorytarnym. Jeżeli prawicy uda się utrzymać władzę, to ona będzie z jednej strony próbowała zdusić tę liberalną część społeczeństwa, która protestuje przeciwko prawicy. Z drugiej zaś strony będzie się dogadywać – raczej nie z demokracjami, np. europejskimi, bo Europa dość ostro potępia to, co robi Netanjahu – tylko z autokracjami arabskimi. Już to widać: samoloty jordańskie wspierały zachodnie, broniąc Izrael przed irańskimi rakietami, a Arabia Saudyjska milczy w sposób ostentacyjny w sprawie tego, co się dzieje w Gazie. Podobnie inne państwa arabskie. Izrael może utracić charakter jedynego „europejskiego" państwa na Bliskim Wschodzie, a nabierać coraz bardziej charakteru podobnego do większości tamtejszych krajów, czyli mniej lub bardziej autorytarnego reżimu. I temu będzie odpowiadała bardzo represyjna polityka wobec

Hasło walki z Izraelem dotyczy nie tylko społeczeństw arabskich, ale szerzej – wojującego islamu. Dopóki ta ideologia istnieje, antagonizm nie zniknie.

eprasa.pl 52d086bfa9

Palestyńczycy przesiedlani z obszaru Khan Yunis na południu Strefy Gazy, lipiec 2024 r.

Palestyńczyków z kolonizacją Zachodniego Brzegu.

Czy dostrzega pan w Europie Zachodniej, na poziomie rządów, ostry sprzeciw wobec polityki Izraela? Hiszpania, Norwegia i Irlandia co prawda ostatnio uznały państwowość Palestyny, natomiast w większości dużych krajów unijnych, jak Niemcy, Polska, Francja – krytyka jest umiarkowana. Czy w dłuższej perspektywie to wsparcie może się zmniejszyć?

– Tak, przy zmianie pokoleniowej. Bo dotychczas nadal rządzi pokolenie, dla którego uświadomienie sobie, czym był Holokaust – to odbywało się przede wszystkim w latach 70., 80. i 90. – było fundamentalnym faktem moralno-politycznym. Dla tego pokolenia otwarte bycie przeciwko Izraelowi jest bardzo trudne, bo za bardzo się wiąże z długiem Europy wobec Żydów. Nie mówię nawet o Niemcach, ale choćby o tym, że Francja Vichy samodzielnie wysłała swoich Żydów do Oświęcimia. Także w Polsce wystąpienie za lub przeciw Izraelowi jest równoznaczne z zajęciem stanowiska w polityce wewnętrznej. Natomiast w miarę, jak będzie następowała zmiana pokoleniowa w polityce, ten paradygmat zacznie zmniejszać swoją wagę.

Jakie widzi pan rozwiązanie polityczne dla tej wojny? Są dwie fundamentalne opcje, choć dziś żadna z nich nie wydaje się realistyczna: jedno państwo dla wszystkich – inkluzja Izraelczyków, jak i Palestyńczyków – czy dwa odrębne państwa?

– Wydaje mi się, że jedno państwo to scenariusz absolutnie nierealny. Nie wyobrażam sobie państwa Żydów i Arabów palestyńskich, które mogłoby funkcjonować. Niemożliwa jest sytuacja, w której z jednej strony Izraelczycy zgodziliby się na to, żeby być mniejszością we własnym kraju, a z drugiej strony, żeby Palestyńczycy zgodzili się na to, żeby np. być w gorszej sytuacji ekonomicznej niż Żydzi, a tak by prawdopodobnie było. Więc dwa państwa wydają mi się jedynym scenariuszem optymistycznym. To zarazem jedyny scenariusz, który mógłby jakkolwiek zaspokoić polityczne aspiracje obu tych społeczności, bez względu na to, jak trudne miałoby być funkcjonowanie takich dwóch państw. Problem jednak tkwi w tym, że izraelskie społeczeństwo, również ci, którzy chcieliby się z Palestyńczykami dogadać, jest przekonane, że po tamtej stronie nie ma z kim rozmawiać.

Jeśli i jedno, i drugie nie jest realistyczne – co zatem?

– Niestety, najbardziej realny przez najbliższe dziesięciolecia jest scenariusz powolnego dryfu społeczeństwa izraelskiego w kierunku autorytaryzmu, co oznaczałoby dalszą kolonizację Zachodniego Brzegu i stopniowe wypędzanie Palestyńczyków. Dopóki w krajach arabskich rządzą zgniłe monarchie czy dyktatury, wszystko może mniej lub bardziej trwać w takim stanie jak dzisiaj. Obawiam się, że najbardziej realny jest ten scenariusz, czyli chroniczność konfliktu, powolna działalność kolonizacyjna i czekanie na kolejną wojnę. Natomiast gdyby istniała rzeczywiście jakakolwiek siła polityczna, która doszłaby do władzy w Izraelu i byłaby gotowa na kompromis z Palestyńczykami, jedynym rozwiązaniem byłyby dwa państwa.

Nie obawia się pan poszerzenia konfliktu, choćby na północy – z Hezbollahem w Libanie? Że przerodzi się w niekończącą się wojnę, która będzie się toczyła na różnych polach?

– Nie sądzę, żeby Netanjahu rozpoczął otwartą wojnę z Hezbollahem. Wojna w Gazie pokazuje, że armia izraelska nie ma tak wielkich zasobów, jak się wydawało. Po przeszło półrocznym konflikcie wiadomo, że rezerwy mobilizacyjne są dość wyczerpane, że czołgi czy artyleria wymagają szybkich uzupełnień, co nie jest wcale takie proste. Izrael jest bardzo sprawny w prowadzeniu krótkotrwałych konfliktów zbrojnych. Ale czy długotrwała wojna wielkoskalowa jest dla tego społeczeństwa do zaakceptowania? Nie sądzę. Przy całej swojej arogancji i zaślepieniu Netanjahu jest zbyt pragmatycznym politykiem, żeby wmanewrować Izrael w wojnę, którą może przegrać. A dla Izraela przegranie wojny jest naprawdę niebezpieczne, grozi rzezią. Dlatego myślę, że on będzie podtrzymywał ten stan chronicznego konfliktu. Nie będzie chciał skończyć konfliktu w Gazie, natomiast nie zaatakuje Libanu bezpośrednio.

Jan Opielka

FOT. AFP/EAST NEWS, ABACA/EAST NEWS, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 52d086bfa9

KURIERSKIE PRZECIĄŻENIE

Polacy chętnie korzystają z usług kurierów i firm dostawczych. Budzi to jednak sporo frustracji po obu stronach

Kornel Wawrzyniak

– Tuż pod moimi drzwiami w środku nocy zniknął człowiek. Po prostu się rozpłynął. Niestety, niósł moją kolację. Śledziłem w aplikacji jego drogę z knajpki. Na mapie widać było przesuwający się skuter. Nie jestem z tych niecierpliwych, którzy robią tak na co dzień, ale wróciłem z długiej podróży, a dostawa przedłużała się niemiłosiernie z zapowiadanych 30 minut do już prawie dwóch godzin. A jak człowiek zamówi jedzenie w aplikacji, to nie ma zmiłuj – można tylko czekać. Reklamacje zgłasza się post factum. Wreszcie usłyszałem dźwięk domofonu. Otworzyłem. Czekam. Cisza. Wyjrzałem przez wizjer. Na klatce ciemno. Aplikacja kliknęła, informując o dostarczonym zamówieniu. Otworzyłem drzwi, spojrzałem na wycieraczkę. Nic. Wyszedłem przed blok. Żywego ducha. Poszedłem spać głodny – opowiada 37-letni Marian, który jedzenie z aplikacji zamawia średnio raz w tygodniu, co według danych z raportu ARC Rynek i Opinia jest normą dla 22% Polaków. Codziennością klientów dostaw na aplikację stały się również kłopoty z kurierami.

Na wojnie o prawa klienta

Rynek dostawców, szczególnie jedzenia i zakupów przez platformy, wciąż się powiększa. Z jednej strony, trwa walka o klientów. Z drugiej – widać, że firmy świadczące tego typu usługi nie nadążają za sporym przypływem klientów, a jakość obsługi pozostawia wiele do życzenia. W 2023 r. odnotowano znaczny wzrost zamówień na rynku dostawców na aplikację, porównywalny ze szczytem pandemii w 2020 r. Według raportu Stava segment jedzenia na dowóz ma osiągnąć wartość 10 mld zł w 2025 r. Jednak już w 2021 r. lawinowo zaczęła rosnąć liczba skarg na kurierów dowożących jedzenie na aplikację. Sprawie przygląda się Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Dziś widać, że skala nadużyć platform wobec klientów jest spora.

– W ciągu ostatnich trzech lat mieliśmy ponad 250 sygnałów w sprawie różnych przedsiębiorców dostarczających jedzenie. Główne problemy, na które zwracają uwagę

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 52d086bfa9

konsumenci to: brak realizacji zamówień, długi czas oczekiwania (jedzenie dociera zimne), niepełne lub pomylone zamówienia, kurierzy zostawiający jedzenie w innym miejscu niż powinni, brak zwrotu pieniędzy po takich sytuacjach oraz problem opłat doliczanych na dalszym etapie zamówienia – wymienia Małgorzata Cieloch, rzeczniczka prasowa UOKiK, i dodaje: – Jednocześnie przypominamy, że konsumentowi przysługuje możliwość skorzystania z prawa do reklamacji i dochodzenia swoich praw na drodze indywidualnej.

Popularnym sposobem radzenia sobie z „roszczeniowymi" klientami okazuje się oferowanie im bonów lub punktów za uszkodzone bądź pomylone zamówienie. Platformy doszły już do wprawy w obłaskawianiu niezadowolonych. Potrafią negocjować z klientem za pośrednictwem pracowników na czacie w aplikacji, że skoro jedzenie dotarło zimne po długim oczekiwaniu, mogą oddać np. 30% wartości zamówienia, bo jednak dotarło.

– Zamówienie szło półtorej godziny, chociaż pizzeria jest za rogiem. Sytuacja była tak absurdalna, że sama restauracja zadzwoniła, że nie mogą się doczekać kuriera z Wolta, a placek stygnie. Napisałam o tym na czacie w aplikacji. Bardzo miła pani, która natychmiast skróciła dystans i przeszła na „ty", odpowiedziała, że kurier właśnie odebrał zamówienie. Odparłam, że jedzenie będzie zimne. Kobieta zaoferowała 30% zwrotu. Po wymianie kilkunastu wiadomości z mnóstwem zbędnych emotikonek stanęło na upuście 50% – opowiada Renata, która siedziała wtedy w domu z nogą w gipsie.

Obecnie UOKiK działa w sprawie wielu firm, które w ogóle nie zwróciły klientom środków na konto. – W przypadku części przedsiębiorców toczą się już postępowania w sprawie stosowania praktyk naruszających zbiorowe interesy konsumentów. Dotyczą one m.in. nieprawidłowości w zakresie realizacji zamówienia, w tym zwrotu środków konsumentom, wprowadzających w błąd elementów platformy oraz niepodawania najniższej ceny, która obowiązywała w okresie 30 dni przed wprowadzeniem obniżki. Prowadzimy także postępowanie wyjaśniające, w którym wstępnie badamy nieprawidłowości w zakresie realizacji zamówień – mówi Małgorzata Cieloch.

Kurierom też jest ciężko

Jednak nie tylko platformy typu Wolt, Glovo, Uber Eats czy Pyszne.pl ogrywają klientów. Warto przyjrzeć się warunkom dostawy z wniesieniem oferowanym przez największe sieci sprzedające sprzęty AGD i RTV. Są bowiem sklepy, które przerzucają na klientów wszelką odpowiedzialność za ewentualne niepowodzenia w dostawie. W umowie zapisuje się drobnym drukiem, że to do klienta należy zmierzenie całej drogi dostarczenia sprzętu do mieszkania. Każda najmniejsza przeszkoda to już problem zamawiającego. Przy zakupie przez internet dowiadujemy się o tym fakcie nie w trakcie zakupów, gdzie opcję dostawy można byłoby opatrzyć stosownym zapisem, tylko kiedy przyjdzie mejl podsumowujący zamówienie. A to też opcja dla dociekliwych, którzy sprawdzają załączniki. Słowem, trzeba znać wymiary paczki i biegać po klatce schodowej z miarką – i to zanim zdecydujemy się kupić sprzęt.

– Nasze przygody z dostawą lodówki zamieniły się w horror, który skończył się braniem przeze mnie i żonę tabletek na uspokojenie. W piątek mieliśmy montaż kuchni po kapitalnym remoncie mieszkania. Uprzedziliśmy dział logistyki sklepu, że do lodówki będą potrzebowali czterech ludzi z pasami, a nie dwóch, bo mieszkamy na czwartym piętrze w kamienicy. Sąsiad z trzeciego też ma lodówkę dwudrzwiową, więc wiedzieliśmy, że da się ją wnieść. Na logikę to po stronie sklepu leży zapewnienie odpowiedniej liczby ludzi do zrealizowania usługi dostawy, skoro ją oferują. Kurierzy przyjechali oczywiście we dwóch. Weszli bez żadnej paczki z pięciu zamówionych i stwierdzili, że skoro lodówka się nie mieści, to niczego nie wniosą, nawet płyty indukcyjnej, bo taka jest polityka firmy, że albo wchodzi wszystko, albo nic. Na infolinii sklepu nikt nie potrafił odpowiedzieć, dlaczego kurierzy nie mogą wnieść pozostałych sprzętów. Zostaliśmy na lodzie przed montażem kuchni – mówi zirytowany Damian, mieszkaniec warszawskiego Śródmieścia.

Oczywiście każda sytuacja ma dwie strony. Damian ma prawo czuć się oszukany. Sklep stworzył sobie wytrych i doświadczeni kurierzy wiedzieli, jak z niego korzystać. Jednocześnie ludzie noszący kilogramy w trudnych warunkach nie są jako pracownicy odpowiednio zabezpieczani przez pracodawcę. Niewiele osób w tej branży pracuje na umowę o pracę. Nie ma więc żadnych regulacji dotyczących czasu pracy czy dłuższych przerw, kiedy panuje upał. Nikt nie sprawdza też realnej wysokości budynków.

Niezależnie od tego, czy jest się kurierem, czy klientem, przede wszystkim trzeba się pilnować.

– Często z kolegą dostarczamy ciężkie zakupy do mieszkań w kamienicach. Dla naszej firmy czwarte piętro to czwarte piętro i mamy przykaz zap... na górę, czy winda jest, czy nie. Ale myśmy to sobie przeliczyli. W bloku sufit jest na wysokości ok. 2,6 m. To na czwarte piętro jest 10,4 m w górę. Ale w kamienicy sufit jest na wysokości 4 m, czyli do pokonania jest metrów 16. To niech pan zapyta czytelników, które to jest piętro w bloku. Odpowiem: powyżej szóstego – podlicza Krzysiek, dostawca w sklepie sprzedającym materiały budowlane na terenie Poznania.

Kurierzy też mają przygody z klientami. Niektóre są bolesną lekcją braku empatii ze strony konsumentów i pracodawcy. Szczególnie kiedy pracuje się na umowie śmieciowej, bez pola do negocjacji warunków pracy. Albo się nosi, albo się nie pracuje i nie zarabia. Niektóre historie przypominają opowieści weteranów wojennych.

eprasa.pl 52d086bfa9

– W magazynie wśród logistyków krąży legenda, że dwóch dostawców od nas wnosiło w kawałkach szafę na siódme piętro w bloku bez windy (!). Konstrukcja ogromna, kilkadziesiąt paczek. Łącznie 600 kg, jak policzyć wszystkie elementy. Ostatnie dwie paczki docierają na górę i klient widzi, że karton w jednej jest rozerwany. Zawrócił dostawców ze wszystkim. Nie chciał słuchać, że można tę jedną paczkę wymienić, chociaż zawartość była nienaruszona. Ja bym w tę historię nie uwierzył, gdybym sam tego nie nosił w obie strony. A potem jeszcze kilka godzin kolejnych dostaw przed powrotem do magazynu – mówi Artur, który pracuje jako dostawca w dużym sklepie meblowym.

Unia ucywilizuje warunki pracy?

Sytuacja kurierów, szczególnie zatrudnionych na aplikację, ma jednak niebawem się zmienić dzięki nowym przepisom ustanowionym na poziomie Unii Europejskiej. Pytanie, czy uda się je wprowadzić sprawnie w Polsce, która ma dziwną słabość do ulegania największym platformom takim jak Uber, o czym przekonaliśmy się już przy okazji Lex Uber.

– Kilka miesięcy temu Parlament Europejski przegłosował dyrektywę, która zakłada znaczną poprawę sytuacji pracowników platformowych, w tym wprowadzenie dla nich domniemania umowy o pracę. Natomiast w Polsce dyrektywa nie została wdrożona. Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej zapowiada pilne podjęcie prac nad wprowadzeniem nowych przepisów, ale wciąż nie znamy konkretów. Intencją unijnego ustawodawcy była przede wszystkim zamiana różnych form śmieciowego zatrudnienia na etaty w aplikacjach takich jak Uber czy Bolt. Mamy więc w Unii Europejskiej tendencję do unormowania przepisów w tym obszarze i wprowadzenia domyślności stosunku pracy. Jedną z sugestii jest też, aby o istnieniu stosunku pracy decydowali inspektorzy PIP – mówi Piotr Szumlewicz ze Związkowej Alternatywy.

Za unormowaniem pracy opowiada się jeden z liderów rynku dostaw na aplikację, firma Pyszne.pl.

– Wdrożenie zapisów dyrektywy pozwoli na konkurowanie jakością usług, a nie kosztami pracowniczymi w sektorze dostawy jedzenia – skomentował w mediach Arkadiusz Krupicz, dyrektor zarządzający platformy Pyszne.pl, dodając: – Wierzymy, że wdrożenie europejskich regulacji przyniesie korzyści zarówno branży dostaw żywności, jak i samym kurierom. W pierwszym przypadku wzmocni ona innowacyjność biznesów, w drugim zapewni kurierom odpowiednie prawa i komfort oraz przewidywalność warunków pracy. Zawód kuriera zostanie zauważony i doceniony, a obecnie nie zawsze tak jest.

Dość osobliwie wybrzmiewa wypowiedź Krupowicza w kontekście innowacyjności i docenienia pracy kurierów, bowiem to Pyszne.pl zaczęło rok temu testowanie robotów Delivery Couple dostarczających jedzenie, które można spotkać na ulicach większych polskich miast. W informacji prasowej dotyczącej robota nie da się nie zauważyć delikatnej sugestii, że ma on pewną przewagę nad kurierami na rowerach: „Testowany przez Pyszne.pl robot Delivery Couple ma wbudowany system ogrzewania i czujniki temperatury, dzięki którym dostarczone jedzenie będzie ciepłe, a także konstrukcję chroniącą zamówienie przed przewróceniem się czy rozlaniem".

> Sytuacja kurierów ma się niebawem zmienić dzięki nowym przepisom ustanowionym na poziomie Unii Europejskiej.

Przetrwają tylko cwaniacy

Być może wprowadzenie robotów będzie sposobem na zmniejszenie kosztów po stronie pracodawców, którzy raczej nie będą się palili do zmian proponowanych przez Unię Europejską. Osoba na umowie śmieciowej może pracować jak robot, po 12 godzin dziennie, bo prawo tego nie zabrania. Jej status zmienia się jednak diametralnie po przejściu na umowę o pracę.

– To, że inspekcja pracy będzie miała możliwość zmiany umów cywilnoprawnych na etaty, a szczególnie umów z dostawcami, o których rozmawiamy, wzbudza strach w polskich pracodawcach. Zdaniem części prawników na mocy równości podmiotów gospodarczych, jeżeli mielibyśmy wprowadzać tego typu rozwiązania do pracy platformowej, trzeba byłoby też je wprowadzić do innych zawodów – summa sumarum w całej gospodarce. Nagle dyskusja na temat dostawców takich jak Glovo stała się rozmową na temat tego, w jakim stopniu uda się w niedalekiej przyszłości ograniczyć śmieciowy rynek pracy i wprowadzić regulacje systemowe, w tym dla pracowników platform – wyjaśnia Piotr Szumlewicz.

Na razie, niezależnie od tego, czy jest się kurierem, czy klientem, przede wszystkim trzeba się pilnować. Niestety, tracą na tym relacje społeczne, ponieważ wszyscy grają w takiej sytuacji na siebie, pilnując, aby nie paść ofiarą polityki wielkich korporacji. Szkoda, że odziera to ludzi ze skrupułów i wyrozumiałości.

– Człowiek musi się szybko uczyć. Anulowaliśmy zamówienie, które odjechało bez wniesienia. Poszliśmy do innego sklepu. Na wszelki wypadek kupiliśmy mniejszą lodówkę i zmierzyliśmy klatkę schodową. Przyjechali kurierzy. Wnieśli pralkę, ale lodówki już nie chcieli, twierdząc, że jest za ciasno. Wyciągnąłem na to stwierdzenie papiery z parametrami paczek i pokazałem, że właśnie wnieśli cięższy sprzęt o wymiarach, które oprócz, co oczywiste, wysokości są takie same. Jeden z kurierów wpadł w szał, bo złapałem ich na konkretach. Nie mieli wyjścia. Wnieśli. Facet był jednak tak zły, że nie chciał wepchnąć sprzętu do kuchni. Powiedziałem, że nie podpiszę odbioru, na którym widnieje, że lodówka ma stać w kuchni i wyrzuciłem mu długopis do śmieci. Facet był w szoku. Ja też. Lodówka znalazła się na

eprasa.pl 52d086bfa9

miejscu – referuje dalsze przygody z dostawą Damian.

Historia mężczyzny, choć momentami przypomina głupkowate filmy z najgłębszych zakamarków Netfliksa w kategorii „pośmiej się", pokazuje, jak dużym źródłem patologii jest brak regulacji rynku usług kurierskich. Widać też pewną ewolucję klienta, który w zetknięciu z machiną wielkiej korporacji musi zrozumieć, jak się zachować, ponieważ bycie klientem mimo marketingowej nowomowy o wspaniałych doświadczeniach nie ma pokrycia w rzeczywistości. Bycie klientem to dziś raczej bycie jeleniem, który musi stale się pilnować, bo każdy aspekt transakcji jest kłopotem leżącym po jego stronie.

O widzimisię dużego sklepu przekonała się Jolanta. Kurier zadzwonił do kobiety, twierdząc, że nie działa jej domofon, „dlatego może sobie odebrać zakupy, jak go gdzieś złapie na mieście". Warto zaznaczyć, że były to duże zakupy na cały tydzień dla czterech osób.

– Robię takie zamówienia regularnie, w tym samym sklepie. Nigdy nie było kłopotu. Zadzwoniłam z reklamacją. Przełożony kierowcy stwierdził, że po GPS mogą stwierdzić, iż kurier u mnie był. Zapytałam, czy również po GPS zweryfikowali, że domofon nie działa, bo zatrzymać się pod klatką na pięć minut to każdy potrafi. Przełożony w odpowiedzi się rozłączył. Zamówiłam zakupy ponownie – opowiada Jolanta. Od tego czasu kurier był u kobiety kilka razy, ale zachowywał się chamsko. – Mówił do mnie przez zaciśnięte zęby, rzucał mi zakupy pod nogi. Zaczęłam czuć niepokój.

Nie tylko platformy typu Wolt, Glovo, Uber Eats czy Pyszne.pl ogrywają klientów. Warto przyjrzeć się warunkom dostawy z wniesieniem w sieciach sprzedających RTV i AGD.

Po kilku kolejnych zamówieniach Jolanta dostała telefon ze sklepu, że nie może dłużej korzystać z dostaw do domu, bo kurier zgłosił ją jako kłopotliwą klientkę.

– Nikt niczego ze mną nie wyjaśniał, o nic nie pytał. Sklep zasugerował jedynie, że ma jeszcze inną opcję dostaw. Facet okazywał mi cały czas w sposób bierno-agresywny, że czuje do mnie awersję, i wykorzystał lukę w systemie. Wiedział, że z automatu mnie zablokują – stwierdza Jolanta. Zapytana, czy cokolwiek w tej sprawie zrobiła, zaprzecza: – Z tym człowiekiem ewidentnie było coś nie tak, więc odpuściłam. Nie zapominajmy, że wie, gdzie mieszkam i jak wejść do klatki. To kwestia czasu, aż zrobi komuś krzywdę, bo frustracja przejmie nad nim kontrolę. Być może wtedy wielka sieć handlowa poczuje odpowiedzialność za pracownika. Ale nie sądzę, pewnie stwierdzą, że koleś był na śmieciówce, więc to nie ich wina.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

LIST

Realistyczne spojrzenie na PRL

Ja, bardzo stary człowiek (rocznik 1936) i czytelnik przywiązany do PRZEGLĄDU od pierwszego numeru tygodnika, z wielkim zadowoleniem czytuję artykuły przywracające realistyczne, w szerokim ujęciu, patrzenie na PRL. Dziękuję i gratuluję.

Skąd u mnie ta euforia? Mamy teraz wakacje, a pamięć przywołała chwilę, gdy przed pierwszym moim wyjazdem ze wsi do Krakowa, by podjąć naukę w II liceum im. Jana III Sobieskiego, zajechałem na stację kolejową Brzesko-Okocim. Wkrótce nadjechał pociąg dosłownie oblepiony radosnymi młodymi ludźmi, którzy też jechali uczyć się i zdobywać świat! Dzisiaj przywołałem tamtą ich euforię i zadumałem się!

W kieracie tamtego ustroju uporczywie zdobywaliśmy przede wszystkim konkretną wiedzę i kawałeczki razowego chleba. Takie były wówczas realia i wiele z nich przedstawiono w artykułach PRZEGLĄDU, a ja pozwolę sobie dodać jeszcze jedną przyczynę. Nie przeze mnie wymyśloną, ale wyłuskaną z „Państwa" Platona: „Jedne spostrzeżenia przyzywają myśl, a inne tego nie robią, i określiłem jako przyzywające te, które do zmysłów wpadają wraz ze swoimi przeciwieństwami, a które tego nie robią, te nie budzą rozumu". Wplotę to w dzieje społeczeństwa polskiego po 1945 r. Postawmy pytanie: czy ci radośni ludzie z pociągu spotkali w swoich szkołach „przeciwieństwa"? Naturalnie, że spotkali. Tamta społeczność, a w niej i nauczyciele, przeszła przecież porządną szkołę w niezwykle surowych rygorach okresu wojny i czasu tuż po niej. Każda ówczesna myśl, każdy uczynek mógł przynieść katastrofalne dla nich skutki. W okresie powojennym uczniom „wpadały do zmysłów spostrzeżenia nauczycieli", a z drugiej strony opinie i spostrzeżenia rodziców, sąsiadów itp. Uczniowie mieli więc szanse na to, że „obróbka tych doniesień i obserwacji obudzi rozum". Nauczyciele musieli przekazywać to, co zalecały kuratoria i inne władze, kładąc nacisk na reformę rolną, upaństwowienie zakładów przemysłowych itd. Rodzice zaś mówili o tym, że „ruskie sołdaty" napadły na sąsiada, że aresztowali itd. Lata mijały i przyszło tym młodym i starszym zdawać egzamin już w Październiku 1956 r. W moim mniemaniu społeczność zdała go wówczas na ocenę bardzo dobrą.

Może dobrze by było, by redakcja pomyślała o rozbudowaniu tego postawionego przeze mnie problemu o przedstawienie następnych zmian w dziejach PRL.

Stanisław Szpila, Nowy Sącz

eprasa.pl 52d086bfa9

Gazety skażone PiS (część 3)

Co się działo w redakcjach gazet po przejęciu koncernu Polska Press przez politycznych nominatów z PiS

Andrzej Sikorski

W lutym 2021 r. nominowany przez PiS prezes Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów Tomasz Chróstny wyraził zgodę, by PKN Orlen pod wodzą Daniela Obajtka kupił koncern prasowy Polska Press. Decyzję prezesa UOKiK zaskarżył do sądu rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar, według którego przejęcie kontroli nad koncernem medialnym przez spółkę skarbu państwa obsadzoną przez politycznych nominatów mogłoby zagrozić wolności słowa. RPO zarzucił prezesowi UOKiK naruszenie przepisów m.in. Ustawy o ochronie konkurencji i konsumentów i Konstytucji RP. W kwietniu Sąd Okręgowy w Warszawie przychylił się do wniosku RPO i wstrzymał zgodę prezesa UOKiK na przejęcie przez PKN Orlen spółki Polska Press*. Taka decyzja oznaczała, że Orlen nie mógł realizować swoich uprawnień właścicielskich, m.in. podejmować decyzji kadrowych: odwoływać członków zarządu spółki czy redaktorów naczelnych 20 dzienników regionalnych. Daniel Obajtek nie przejmował się jednak postanowieniem sądu. Dorota Kania, która została członkiem zarządu i redaktorem naczelnym Polska Press, szybko wzięła się do nowych porządków.

Pierwsze koty za ploty

Na pierwszy ogień poszli redaktorzy naczelni rzeszowskich „Nowin", katowickiego „Dziennika Zachodniego", „Kuriera Lubelskiego", „Gazety Krakowskiej" i „Dziennika Polskiego". Kania jeździła po redakcjach i osobiście wręczała wypowiedzenia. Miejsce doświadczonych redaktorów, cieszących się autorytetem, zajęli dziennikarze po cichu sympatyzujący z PiS lub otwarcie wspierający partię władzy. Marka Twaroga, szefa „Dziennika Zachodniego", zastąpił Grzegorz Gajda z TVP Katowice. „Zwolnienie red. Marka Twaroga z funkcji redaktora naczelnego »Dziennika Zachodniego« to hańba i naruszenie jednej z podstawowych wolności. Wolności prasy i wolności pozyskiwania informacji przez obywateli. To uderzenie w samo serce demokracji!", mówił oburzony Krzysztof Śmiszek, poseł Lewicy.

Jerzego Sułowskiego, redaktora naczelnego „Gazety Krakowskiej" i „Dziennika Polskiego", wymieniono na Wojciecha Muchę, kolegę Kani z „Gazety Polskiej", „Gazety Polskiej Codziennie" i portalu Niezależna.pl. O zarządzonych na 10 maja 2020 r. przez ówczesną marszałkinię Sejmu Elżbietę Witek tzw. wyborach kopertowych na prezydenta RP Mucha pisał: „To zwycięstwo Andrzeja Dudy pozwoliło nabrać wiatru w żagle Zjednoczonej Prawicy i było początkiem pasma zwycięstw. Czy po pięciu latach uda się dobić osinowym kołkiem truchło nieboszczki III RP? To prawdopodobne, bo prezydent Duda dał się poznać jako sprawny i solidny przywódca, który potrafi walczyć o wyznaczone cele. Sondaże wskazują, że to się podoba Polakom. Pamiętajmy jednak, że licho nie śpi, a kołki i młotki są w naszych rękach. Wszyscy na wybory!".

Rycerze Andrzeja Dudy

Na stołku szefa „Gazety Lubuskiej" ulokowano Janusza Życzkowskiego, wicenaczelnego Radia Zachód. Wadim Tyszkiewicz, były wieloletni prezydent Nowej Soli i senator niezależny, nie zostawił suchej nitki na nowym naczelnym: „Dramat. Ciąg dalszy rozmontowywania państwa. Obajtek robi swoje. PiS przejęło »Gazetę Lubuską«. Życzkowski to partyjny

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 52d086bfa9

sługus. Człowiek bez honoru, ale wiernie wypełniający służalczą rolę wobec PiS. Awans za zasługi w Radiu Zachód dla pisowskiej propagandy. To on opublikował nagranie z wizyty A. Dudy w Nowej Soli według starej sprawdzonej zasady: »uprzejmie donoszę«, na podstawie czego zostały postawione zarzuty prokuratorskie niektórym osobom. Za pieniądze Polaków Kaczyński umacnia swoje autorytarne rządy. Żegnaj, demokracjo, witaj, dyktaturo".

Pisząc o zarzutach prokuratorskich, Tyszkiewicz miał na myśli film z wiecu wyborczego Andrzeja Dudy w Nowej Soli w 2020 r., który Życzkowski zamieścił w mediach społecznościowych. Na nagraniu młoda kobieta krzyczała niecenzuralne słowa pod adresem prezydenta. Film szybko rozniósł się po sieci m.in. dzięki politykom PiS, a na demonstrującą maturzystkę wylała się fala hejtu ze strony rządowych mediów, m.in. „Wiadomości" TVP i TVP Info. Wkrótce po tym policjanci zatrzymali kobietę, co, jak uznał potem sąd, było bezprawne, a policja musiała wypłacić odszkodowanie. Maturzystka została też uniewinniona od zarzutu znieważenia prezydenta. Jak tłumaczył jej adwokat, na wiecu wyborczym Andrzej Duda był kandydatem, a nie prezydentem, a wolność wypowiedzi gwarantuje konstytucja. Bezczelny Życzkowski, świadek w procesie dziewczyny, przyznał, że upubliczniając nagranie, zdecydował się na taką „formę kary społecznej".

Zastępcą Życzkowskiego został natomiast Marcin Kędryna, współpracownik Dudy i były dyrektor Biura Prasowego Kancelarii Prezydenta RP. Kędryna podobno rozstał się z Dudą w wyniku konfliktu z Krzysztofem Szczerskim (szefem gabinetu), a także z Marianną Rowińską (nieformalną doradczynią prezydenta).

Jajcarz, kolega i hejterka

Na czele „Głosu Wielkopolskiego" stanął Wojciech Wybranowski, związany m.in. z „Naszym Dziennikiem", „Do Rzeczy" i portalem TVP Info. W latach 90. Wybranowski działał w Radykalnej Akcji Antykomunistycznej, powstałej w Poznaniu w 1995 r. po zwycięstwie Aleksandra Kwaśniewskiego w wyborach prezydenckich. W maju 1997 r. Wybranowski pojechał z kolegami do Paryża, gdzie obrzucili parę prezydencką jajkami, gdy ta udawała się na koncert. Paryski sąd skazał wówczas Wybranowskiego na trzy miesiące więzienia w zawieszeniu na pięć lat.

Redaktorem naczelnym „Gazety Pomorskiej", „Expressu Bydgoskiego" oraz „Nowości – Dziennika Toruńskiego" został Marcin Habel, który nie jest nawet dziennikarzem, za to przez wiele lat pracował w Kujawsko-Pomorskim Urzędzie Marszałkowskim, gdzie był naczelnikiem wydziału odpowiedzialnego za turystykę. Podobno jego atutem było to, że kolegował się z Samuelem Pererią, jednym z czołowych funkcjonariuszy pisowskiej propagandy.

Redaktorem naczelnym „Kuriera Porannego" i „Gazety Współczesnej" Dorota Kania mianowała Adama Jakucia, absolwenta białostockiej Akademii Teatralnej, szefa biura i doradcę wojewody podlaskiego Bohdana Paszkowskiego (PiS). Wcześniej Jakuć przez kilka miesięcy był dyrektorem programowym Radia Białystok, ale ponoć odszedł po protestach dziennikarzy, którzy zarzucali mu, że nie ma doświadczenia dziennikarskiego.

Na zastępczynię Jakuć wziął sobie Agnieszkę Siewiereniuk-Maciorowską, byłą pracownicę Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie w Białymstoku, zwolnioną za oczernianie w mediach swojego pracodawcy. Potem Maciorowska przebranżowiła się i została naczelną oraz główną komentatorką lokalnego portalu Dzień Dobry Białystok. Gdy PiS doszło do władzy, zaczęła pojawiać się w TVP Info, gdzie zachwalała rządzących i wylewała pomyje na opozycję. „Nie znam tak obrzydliwego kłamcy jak Donald Tusk. Znaczy – nie, znam, Rafał Trzaskowski. To jest jeszcze większy Tusk, jeśli chodzi o kłamstwa", mówiła w programie TVP Info „#Jedziemy" Michała Rachonia. Maciorowska (przedstawia się w mediach społecznościowych jako „Caryca Wszechświata i Okolic") znana jest z wulgarnego języka, ma też na koncie wiele spraw sądowych. Została skazana m.in. w procesie karnym za pomówienie Konrada Dulkowskiego, prezesa Ośrodka Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych, oraz za rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji o prezydencie Białegostoku Tadeuszu Truskolaskim.

Jeszcze zanim Maciorowska oficjalnie objęła stanowisko wicenaczelnej, dziennikarze „Kuriera Porannego" i „Gazety Współczesnej" wysłali list do zarządu Polska Press (czyli do Doroty Kani), wyrażając sprzeciw wobec jej nominacji. Napisali, że Maciorowska „jest znana z posługiwania się językiem nienawiści w przestrzeni publicznej" i „nie zachowuje podstawowych zasad etyki dziennikarskiej – bezstronności, rzetelności i obiektywizmu". Wysłanie listu okazało się błędem, bo niemal natychmiast zwolniony został wicenaczelny Bartosz Wacławski.

W ciągu kilku miesięcy od przejęcia Polska Press przez PKN Orlen zostali zwolnieni niemal wszyscy „starzy" redaktorzy naczelni dzienników regionalnych.

Nowe porządki

W ciągu kilku miesięcy od przejęcia Polska Press przez PKN Orlen zostali zwolnieni niemal wszyscy „starzy" redaktorzy naczelni dzienników regionalnych. Razem z szefami odeszło wielu dziennikarzy, którzy nie chcieli swoimi nazwiskami firmować pisowskiej propagandy. Zgodnie z przewidywaniami gazety zamieniły się w tuby propagandowe władzy. W artykułach wychwalano rząd i lokalnych polityków PiS, niewygodnych tematów nie poruszano. I tak przed kolejnym finałem WOŚP dziennikarze Polska Press w całej Polsce dostali wytyczne, że powinni się ograniczyć, a najlepiej powstrzymać od pisania o tym wydarzeniu.

eprasa.pl 52d086bfa9

Trzeba było uważać, co się pisze, gdyż nawet drobne odstępstwo od nowej linii redakcyjnej surowo karano. Przekonał się o tym Jan Miszczak, dziennikarz z przeszło 50-letnim stażem, felietonista rzeszowskich „Nowin". Miszczak podpadł prześmiewczym felietonem: „(…) Moja niesłuszna niechęć do prezesa Orlenu Daniela Obajtka była spowodowana stałym wprowadzaniem mnie w błąd przez media niezależne. Na szczęście ich autonomia została w porę zatrzymana przez samego Obajtka, gdy kierowany przez niego Orlen wykupił całą gamę pism Wydawnictwa Polska Press". Jak ujawnił tygodnik „Polityka", felieton nie spodobał się nowemu redaktorowi naczelnemu „Nowin" Arkadiuszowi Rogowskiemu, który w mejlu do Miszczaka napisał: „Niestety postanowiłem zakończyć z Panem współpracę, ponieważ jako redaktor naczelny nie mogę pozwolić na to, by dziennikarz czy publicysta podważał zaufanie do gazety, dla której pisze".

Po zaledwie sześciu miesiącach pracy pod nowym kierownictwem dramatyczny apel opublikowała Karina Obara, dziennikarka „Gazety Pomorskiej": „Nie mogę już dłużej pracować w Polska Press i w »Gazecie Pomorskiej«. Nie potrafię spojrzeć sobie w lustrze w twarz. (…) Dostałam zakaz komentowania wydarzeń politycznych. Nie pozwolono mi także rozmawiać z niezależnymi ekspertami o tym, co się w Polsce dzieje. Od czasu do czasu zdarzał się wyjątek – miałam porozmawiać z »ich ekspertem«, który oceni sytuację zgodnie z linią partii rządzącej. Nie mogłam. Na liście były głównie nazwiska, które znacie z mowy nienawiści i pogardy dla drugiego człowieka. Nigdy wcześniej nie doświadczyłam kneblowania i nacisku, zakazu pisania o tym, co jest obowiązkiem dziennikarskim. (…) Nie można milczeć, gdy w Polsce łamane są prawa człowieka. A mnie i moich kolegów komentujących wydarzenia polityczne, zmuszono do milczenia. Chcesz tu pracować – żadnego analizowania wydarzeń politycznych (…). Żeby czytelnicy w regionach nie wiedzieli, nie myśleli samodzielnie, głosowali tak, jak chce obecny rząd. Żyję w konflikcie wewnętrznym. Wstyd mi. Moje ciało odmawia posłuszeństwa. Nie chcę pracy, która jest hańbą. Nie umiem zamknąć oczu na to, co PiS robi z naszym krajem. Nie mogę zasnąć, gdy wiem, że małe dzieci umierają w lesie na wschodniej granicy. Nie potrafię nie czuć krzywdy dziewczyny-matki z Pszczyny, która zmarła na sepsę przez wprowadzenie w Polsce chorego prawa. (…) Brzydzę się hipokryzji, wycierania sobie gęby Bogiem, nepotyzmu i służalczości. Chcę żyć w prawdzie, w wolności słowa, demokracji i odwadze", napisała na Facebooku Obara, wywołując powszechne poruszenie (wpis miał 9,6 tys. reakcji, 6 tys. udostępnień i ponad 900 komentarzy).

W 2022 r. spółka odnotowała 23 mln zł straty, rok wcześniej 30 mln zł. Spadła sprzedaż gazet, a serwisy internetowe mają coraz mniej użytkowników.

Pisowska linia programowa

Orlenowskie media miały już tak zszarganą opinię, że osoby nominowane w corocznym plebiscycie Osobowość Roku wycofywały swoje kandydatury. (W regionach, w których wydawane są gazety Polska Press, można głosować na lokalnych liderów w pięciu kategoriach: kultura; działalność społeczna i charytatywna; biznes; polityka, samorządność i społeczność lokalna oraz nauka). Ludzi wkurzało nie tylko upolitycznienie gazet, ale też to, że głosować można było jedynie za pomocą płatnego SMS-a. Dyrektor Teatru Muzycznego Capitol we Wrocławiu Konrad Imiela napisał do redaktora naczelnego „Gazety Wrocławskiej", że ten plebiscyt jest „jedynie podstępną maszynką do zarabiania pieniędzy przez wydawnictwo i nie ma nic wspólnego ze szlachetnością, równym traktowaniem czy nawet niewinną zabawą". Na Facebooku zaś dodał, że „plebiscyt wspiera finansowo gazetę znaną z eskalowania nastrojów ksenofobicznych we Wrocławiu, a w tle stoi niejaki Obajtek". Ireneusz Popiel, burmistrz Ornety, poprosił mieszkańców, by zamiast na niego głosować, kupili karmę dla bezdomnych psów i kotów. Z kolei Olgierd Geblewicz, marszałek województwa zachodniopomorskiego, zachęcał do wsparcia finansowego chorego dziecka.

Jednak godzina próby przyszła jesienią 2023 r., wraz z kampanią do parlamentu. Orlenowskie gazety stanęły po stronie PiS, zamieszczając ogłoszenia wyborcze polityków tej partii, a odmówiły kandydatom opozycji. Daria Gosek-Popiołek, posłanka Lewicy z Krakowa (ogłoszenia chciała zamieścić „Dzienniku Polskim" i „Gazecie Krakowskiej"), dostała pismo od pełnomocnika zarządu Polska Press, że „wydawca uznał, iż nie do pogodzenia z linią programową tytułu są wartości lewicowe i rozumienie polskiej racji stanu prezentowane przez przedstawicieli komitetu wyborczego Nowej Lewicy". Podobne tłumaczenie usłyszała Maja Nowak, jedynka na liście lubuskiej Trzeciej Drogi i liderka partii Szymona Hołowni w regionie (ogłoszenia wyborcze chciała zamieścić w gazecie „Nasze Miasto Gorzów"). Z odmową publikacji ze strony Polska Press spotkała się również posłanka PSL Urszula Nowogórska, która chciała zamieścić artykuł sponsorowany w nowosądeckim i podhalańskim dodatku „Gazety Krakowskiej".

Po dwóch i pół roku rządów politycznych namiestników Jarosława Kaczyńskiego w Polska Press sytuacja spółki jest nieciekawa. W 2022 r. miała ona 23 mln zł straty, rok wcześniej 30 mln zł (danych za 2023 r. jeszcze nie podano). Spadła sprzedaż gazet, a serwisy internetowe mają coraz mniej użytkowników. Prezes PKN Orlen Ireneusz Fąfara zapowiedział, że pozbędzie się Polska Press, co akurat jest racjonalne, bo państwowy moloch energetyczny nie jest przecież od wydawania gazet.

Andrzej Sikorski

* Dopiero w czerwcu 2022 r. sąd oddalił skargę RPO i utrzymał w mocy decyzję prezesa UOKiK o przejęciu przez Orlen Polska Press.

eprasa.pl 52d086bfa9

Z Galicji

Jan Widacki

Jedna z zapomnianych rocznic

Obchodzimy same wielkie rocznice doniosłych wydarzeń. Dopiero co obchodziliśmy 80. (!) rocznicę wybuchu powstania warszawskiego, niebawem obchodzić będziemy zapewne jeszcze huczniej kolejną, choć nie okrągłą (104.) rocznicę „cudu nad Wisłą". W tym natłoku zupełnie niezauważenie przeszła setna rocznica uzyskania pierwszych dyplomów magistra prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim przez dwie kobiety: Janinę Cypryanównę i Zuzannę Himmelblaunównę. Donosił o tym krakowski „Ilustrowany Kuryer Codzienny" w wydaniu z 2 lipca 1924 r. Notatkę o tym wydarzeniu zatytułowaną „Pierwsze kobiety magistrami prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim" umieścił wśród informacji o rozmaitych ważnych wydarzeniach. A wyglądała ona tak: „W dniu wczorajszym pp. Janina Cypryanówna i Zuzanna Himmelblaunówna otrzymały tytuł magistra prawa, według nowej ordynacji uniwersyteckiej. Tytuł ten uprawnia do doktoryzowania się po złożeniu specjalnych prac".

Historia dopuszczenia kobiet do studiów w Polsce jest niezwykle pouczająca. Spór o to dzielił kadrę profesorską. Stanowisko w tym sporze było zaś wyznacznikiem stanowiska ideologicznego i politycznego.

Na zachodzie Europy większość uniwersytetów, w tym wszystkie znaczące, dawno już dopuściły kobiety do studiów, a dwa jedyne wówczas polskie uniwersytety z polskim językiem wykładowym, Jagielloński w Krakowie i Cesarza Franciszka we Lwowie, skutecznie broniły się przed tymi „niebezpiecznymi nowinkami płynącymi z Zachodu" i kobiet na studia nie wpuszczały. Argumentowano to w ten sposób, że dopuszczenie kobiet do studiów grozi wstrząsem społecznym, zakłóceniem porządku społecznego, będącego, jak wiadomo – o tym grzmiano z ambon – odzwierciedleniem porządku boskiego, wedle którego głową rodziny jest mąż, a żona jedynie mało znaczącym do niego dodatkiem. Nawet w przysiędze małżeńskiej mąż ślubował żonie jedynie miłość i wierność aż do śmierci, a żona oprócz wierności i miłości jeszcze posłuszeństwo. O ile wyegzekwowanie miłości i wierności bywało trudne, to posłuszeństwa stosunkowo łatwe.

W roku 1880 najbardziej, jak się zdaje, postępowy Wydział Lekarski Uniwersytetu Jagiellońskiego przyjął na studia pierwszą kobietę, ale w charakterze wolnego słuchacza i nie dopuszczono jej do immatrykulacji. Sam fakt przyjęcia jej nawet w charakterze wolnego słuchacza wywołał zgorszenie porównywalne z tym, jakie inauguracja paryskiej olimpiady wywołała u byłej kurator Nowak i kilku biskupów. Kilkanaście lat później pięć Polek, studentek uniwersytetu w Genewie, złożyło podania z prośbą o przyjęcie na Uniwersytet Jagielloński, bo jak uzasadniały, będąc Polkami, chciały kontynuować studia na polskiej uczelni. Odmówiono im. W tymże samym roku – a był to rok 1894 – absolwentka fizyki i matematyki na Sorbonie, niejaka Maria Skłodowska, chciała zatrudnić się na Uniwersytecie Jagiellońskim, nawet odbyła wstępną rozmowę z profesorem fizyki, a zarazem dziekanem Augustem Witkowskim, ale odmówiono jej. Była kobietą! Tak to Uniwersytet Jagielloński, wierny tradycji i przestrzegający odwiecznego porządku społecznego (co to był odbiciem porządku boskiego – o tym nie zapominamy) rozwiązał problem Marii Skłodowskiej.

Za dopuszczeniem kobiet do studiów medycznych optował bezskutecznie prof. Napoleon Cybulski, fizjolog, jeden z najwybitniejszych polskich uczonych przełomu XIX i XX w., ale koledzy profesorowie medycyny go przegłosowali. Na Wydziale Prawa za dopuszczeniem kobiet do studiów opowiadali się profesorowie Józef Rosenblatt, Juliusz Leo i Bolesław Ulanowski, byli jednak w mniejszości. Przeciwni byli m.in. profesorowie Fryderyk Zoll (starszy), Ksawery Fierich, Edmund Krzymuski. Gdyby nie interwencja władz wiedeńskich, kobiety jeszcze długo nie mogłyby studiować na Uniwersytecie Jagiellońskim. Profesorowie słuchali ambony, a jednocześnie „przy Najjaśniejszym Panu stali i stać chcieli", mieli więc problem wielki, w dodatku moralny. Tyle że pensje płaciło im c.k. ministerium, więc jego siła perswazji była większa niż ambony. Kobiety do studiów na początku XX w. ostatecznie dopuszczono! No i sto lat temu pierwsze kobiety uzyskały tytuły magistrów prawa. W sumie dobrze, że dzisiejsze postfeministki nie pamiętały o tej rocznicy. Miałyby bowiem problem, czy wspomniane na wstępie Cypryanówna i Himmelblaunówna zostały „magistrami prawa" czy też może „magisterkami prawa". A problem rzeczywiście jest doniosły. Na miarę postfeministek. ■

Historia dopuszczenia kobiet do studiów w Polsce jest niezwykle pouczająca. Spór o to dzielił kadrę profesorską.

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 52d086bfa9

Maciej Mikołajczyk

Znowu na szparagi do Niemca?

PiS straszy, że Tusk zamrozi płacę minimalną

Sygnał do natarcia dał Daniel Milewski, doktor prawa i poseł PiS w jednej osobie, sporządzając interpelację „W sprawie przewidywanych na lata 2024-2027 podwyżek płacy minimalnej w kontekście bezpieczeństwa finansowego Polaków".

„W latach 2007-2015 imigracja zarobkowa Polaków objęła dziesiątki tysięcy polskich rodzin. W tym czasie minimalne wynagrodzenie za pracę wzrosło o 86%, z 936 zł do 1750 zł, a jego wysokość w połączeniu z wysokim bezrobociem była jednym z głównych impulsów do wyjazdu za granicę, w znacznej mierze do prac sezonowych, np. przy zbiorach szparagów w Niemczech. Od 2015 r. to wynagrodzenie wzrosło o 242%. Emigracja zarobkowa zmieniła się, wielu ludzi wróciło do Polski. A zatem, czy tempo podwyżek minimalnej płacy będzie w tej kadencji takie jak w latach 2007-2015, co z powrotem uczyni z naszego narodu tanią siłę roboczą państw wiodących w Unii Europejskiej?", zapytał poseł.

Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, ministra rodziny, pracy i polityki społecznej, odpowiedziała ogólnikowo, a zapewnienie, że płace minimalne nie zostaną zamrożone i będą rosły w tempie uniemożliwiającym Niemcom zatrudnianie Polaków do zbierania szparagów, nie padło.

Godny poziom

Pisowcy nie zmarnowali takiej okazji, ogłaszając: „Nastały trudne czasy dla milionów Polaków. Obecne rządy to czas podwyżek cen prądu, gazu, wody, a wcześniej podniesienia VAT na żywność. W sklepach wzrosty cen od wiosny zaczęły przyspieszać. Prognozy nie wskazują na zmiany tego trendu, wręcz przeciwnie, ma być coraz drożej. Teraz okazuje się, że Polacy mogą uniknąć jednej podwyżki. Nie będą jednak z tego zadowoleni. Chodzi bowiem o płacę minimalną, którą otrzymuje aż 3 mln osób".

Fakt jest taki, że Polska do 15 listopada musi wdrożyć unijną dyrektywę w sprawie adekwatnych wynagrodzeń minimalnych, wprowadzając stosowne przepisy krajowe. Wspólnota doszła bowiem do wniosku, że mieszkańcom UE należy zapewnić godny poziom życia, czyli godne wynagrodzenia, a co za tym idzie, pensję minimalną umożliwiającą zaspokojenie potrzeb.

Celem Unii nie jest bowiem podbicie Polski i uczynienie z niej wasala Niemiec, ale – jak czytamy w uzasadnieniu dyrektywy – „wspieranie dobrobytu jej narodów oraz działanie na rzecz trwałego rozwoju Europy, którego podstawą jest społeczna gospodarka rynkowa o wysokiej konkurencyjności, zmierzająca do zapewnienia pełnego zatrudnienia i postępu społecznego, wysokiego poziomu ochrony i poprawy jakości środowiska, a jednocześnie wspierająca sprawiedliwość społeczną".

Stopa wzrostu

Mowa jest tam także o Karcie praw podstawowych UE, w tym prawie każdego pracownika do warunków pracy uwzględniających jego zdrowie, bezpieczeństwo i godność, prawie do sprawiedliwych warunków pracy i sprawiedliwego wynagrodzenia, wystarczającego do zapewnienia pracownikom, a także ich rodzinom, godziwego poziomu życia".

Unia nie narzuca państwom członkowskim wysokości najniższej płacy, ale domaga się, by stosowano takie same, określone w dyrektywie, metody aktualizacji poziomu minimalnego wynagrodzenia.

Komunikat „Tusk zamrozi płacę minimalną" trafił na podatny grunt, bo rząd opublikował projekt nowelizacji ustawy o minimalnym wynagrodzeniu za pracę, mający wprowadzać unijną dyrektywę do polskiego systemu prawnego. Przewiduje on, że Polska poza czterema obowiązkowymi wymogami będzie stosować kryterium w postaci 50% przeciętnego wynagrodzenia. W dokumencie znalazł się również następujący fragment: „Projekt zawiera gwarancję utrzymania wysokości minimalnego

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 52d086bfa9

wynagrodzenia za pracę na poziomie obowiązującym w roku negocjacji prowadzonych w ramach Rady Dialogu Społecznego w przypadku gdyby w wyniku analizy kryteriów, na podstawie których przeprowadzana jest aktualizacja minimalnego wynagrodzenia za pracę, ustalono, że wysokość minimalnego wynagrodzenia za pracę w ostatnich latach wzrastała szybciej, niż wynikałoby to z analizowanych kryteriów".

Passus to mętny i bełkotliwy i nawet bez udziału złej woli można go zinterpretować jako zapowiedź zamrożenia najniższej pensji.

Krytyka dogmatu

Regulowana ustawą płaca minimalna funkcjonuje w Polsce od 1956 r. Począwszy od 1989 r. każdorazowo przy okazji podnoszenia wysokości najniższej pensji protestują organizacje biznesowe i przedsiębiorcy oraz zaprzyjaźnieni z nimi ekonomiści. Głównie wrzeszcząc, że wzrośnie bezrobocie, firmy zaczną bankrutować, a państwo nie będzie zdolne do udzielania pomocy ofiarom socjalizmu, bo zmaleją wpływy z podatków. To jeden z mitów ukutych przez Balcerowicza i jego kompanów, a zarazem jeden z założycielskich mitów III RP. PiS, mimo ewidentnych grzechów, rządziło osiem lat dlatego, że jako pierwsze ugrupowanie polityczne poddało krytyce liberalne dogmaty, w tym o katastrofalnych skutkach podwyższania pensji minimalnej.

Nie trzeba przeprowadzać zawiłych analiz, by dowieść, że w tym przypadku partia Kaczyńskiego pozyskała przychylność elektoratu, nie uciekając się do kłamstw.

Ustawa o minimalnym wynagrodzeniu za pracę w obecnym kształcie obowiązuje od 2003 r. Od tego czasu płaca ta wzrosła z 800 zł przez 1750 w 2015 r. do 4300 brutto w roku bieżącym. Gdyby teorie o niszczącym działaniu ustawowych podwyżek pensji były prawdziwe, z Polski powinna zostać kamieni kupa.

Tymczasem bezrobocie w 2003 r. przekraczało 20%, dziś wynosi 5% i w UE tylko Malta ma lepszy rezultat, a szczaw i mirabelki większość Polaków je nie z konieczności, lecz z upodobania.

Głód zapuka

Znowelizowanie ustawy o płacy minimalnej, stanowiące wdrożenie dyrektywy unijnej, musi nastąpić do 15 listopada br., ale nowe przepisy wejdą w życie dopiero w 2026 r., najniższe wynagrodzenie na przyszły rok będzie więc ustalone na podstawie starych zasad. Związki zawodowe chcą, by w styczniu przyszłego roku minimalna pensja wzrosła do kwoty 4650 zł, rząd proponuje 4626 zł. Pracodawcy opowiedzieli się za propozycją rządową. Rezultat: Komisja Dialogu Społecznego nie doszła do porozumienia i ostateczną decyzję podejmie Rada Ministrów do 15 września. Przepisy stanowią, że minimalna płaca nie może być niższa od kwoty zaproponowanej przez rząd, czyli od przyszłego roku wyniesie nie mniej niż 4626 zł. To więcej o ponad 7% w porównaniu z rokiem 2024. O zamrożeniu nie ma więc mowy. Co nie przeszkadza PiS w snuciu opowieści o powrocie do zbierania niemieckich szparagów. A pracodawcy jak co roku przy okazji procedury podwyższania pensji minimalnej ogłaszają, że po masowych zwolnieniach z pracy do drzwi bezrobotnych Polaków niebawem zapukają głód i ubóstwo.

Niewidzialna ręka

A przecież Polska nie stanowi wyjątku. Regulowana pensja minimalna jest stosowana we wszystkich krajach unijnych i we wszystkich obowiązują mechanizmy uaktualniania jej wysokości. Wzrosty w czasach PiS rzeczywiście były imponujące, ale minimalne wynagrodzenie w kwocie 1 tys. euro sytuuje nas na siódmym miejscu w UE, wyższe ustawowe wynagrodzenia obowiązują nie tylko w Luksemburgu (2,5 tys. euro) i w Niemczech (2 tys.), ale także w Słowenii (1,3 tys.).

Nigdzie nie powierza się zarobków pracowników niewidzialnej ręce rynku, bo nie ma kraju, w którym sprawdziłyby się czarne scenariusze kreślone przez liberałów i wolnościowców pokroju Sławomira Mentzena, wciąż straszących, że podwyższenie pensji minimalnej wiedzie do zrujnowania gospodarki. Przeciwnie: badania (patrz: książka Davida Carda i Alana B. Kruegera „Mit i pomiar. Nowa ekonomia płacy minimalnej"; Card w 2021 r. za badania nad płacą minimalną dostał Nobla), a także praktyka wskazują, że urzędowe podwyższanie wynagrodzenia minimalnego jest korzystne zarówno dla gospodarki, jak i dla relacji społecznych.

W kropce

Sformułowania użyte w unijnej dyrektywie w sprawie adekwatnego wynagrodzenia minimalnego – „godziwa płaca", „sprawiedliwość społeczna", „postęp społeczny" – rymują się z manifestem komunistycznym, więc winny stać się przedmiotem kąśliwych komentarzy red. Babiarza i wolnościowca Mentzena. Jest jeden szkopuł: z unijną dyrektywą, a więc także z manifestem komunistycznym, rymuje się twórczość Jana Pawła II (np. encykliki Laborem exercens i Centesimus annus).

Papież naucza, że „obowiązek zarabiania na chleb jest równocześnie prawem człowieka do zarobkowania, a więc usprawiedliwione etycznie są te środki polityki gospodarczej, które prowadzą do uzyskania możliwości pracy i ludzkiego rozwoju dla wszystkich". I dalej: „Godna płaca winna być na takim poziomie, aby pozwalała zaspokoić potrzeby pracownika i jego rodziny. Pracodawcy w określonej sytuacji społeczno-gospodarczej nie respektują funkcji alimentarnej wynagrodzenia, oferując taki poziom płac swoim pracownikom, który nie gwarantuje zaspokojenia potrzeb pracownika i jego rodziny i który często można uznać za niegodziwy, a wręcz niesprawiedliwy. Godziwe wynagrodzenie za pracę winno być realizowane poprzez odpowiednią politykę państwa w dziedzinie płac, w tym poprzez ustalenie minimalnego wynagrodzenia za pracę".

Babiarz i Mentzen są w kropce, bo Lennona i Lenina mogą krytykować do woli, ale ręka podniesiona na papieża Polaka natychmiast im uschnie. ■

eprasa.pl 52d086bfa9

Wiceprezydent (z) rozsądku

Tim Walz zawalczy o wiceprezydenturę dla demokratów – w bardzo spokojnym stylu

Mateusz Mazzini

Z jednej strony to niespodzianka, zwłaszcza w kontekście matematyki wyborczej. Na nieformalnej giełdzie początkowo krążyło wiele nazwisk kandydatów, bo sporo sympatyków i członków partii w procesie wybierania ewentualnego wiceprezydenta dla Kamali Harris upatrywało szansę. I słusznie, choć niekoniecznie była to szansa dla konkretnych osób. Chodziło bardziej o nowe otwarcie, przewietrzenie trochę dusznych już struktur i zrobienie swoistego przeglądu wojsk: kto się nadaje, kto rzeczywiście ma talent, a kto jest tylko wytworem medialnym i zostanie zjedzony przez presję i adwersarzy na kampanijnym szlaku.

Ostatecznie grono zawężono do trzech osób, spośród których murowanym faworytem wydawał się gubernator Pensylwanii Josh Shapiro. Nie tylko dlatego, że ma dryg do polityki i chwalą go partyjne elity najwyższego szczebla. Miał to być po prostu wybór pragmatyczny, bo Pensylwania to spory kawałek tortu, jakim jest Kolegium Elektorów. Daje 19 głosów spośród 276 potrzebnych do zdobycia prezydentury. Jakiekolwiek scenariusze by teraz kreślić, demokraci potrzebują tego stanu, tak samo jak innych postindustrialnych obszarów na północnym wschodzie – Michigan i Wisconsin. Z Pensylwanią jednak będzie trudno, bo Kamala Harris w przeszłości była ostrą przeciwniczką wydobywania gazu łupkowego metodą szczelinowania, czyli przemysłu, który akurat w tym stanie daje zatrudnienie tysiącom osób. Co prawda, jej sztabowcy już próbują korygować kurs, zapowiadać, że żadnego federalnego zakazu szczelinowania nie będzie, ale ludzie w Pasie Rdzy mają dobrą pamięć. Shapiro miał pomóc zmiękczyć ten opór.

Jego szanse rosły dodatkowo w ostatnich dniach, bo swojego partnera na karcie wyborczej Harris miała ogłosić na wiecu właśnie w Pensylwanii. Scena była więc idealnie ustawiona pod tamtejszego gubernatora. Kilka godzin wcześniej jednak „Wall Street Journal" i Bloomberg doniosły, że razem z obecną wiceprezydent o Biały Dom ubiegać się będzie nie Shapiro, ale Tim Walz, były nauczyciel, działacz społeczny i urzędnik, dzisiaj gubernator Minnesoty (choć pochodzi z Nebraski).

Jak zauważa Daniel Drezner, profesor stosunków międzynarodowych na Tufts University w Bostonie i jeden z ciekawszych, bo lekko konserwatywnych i jednocześnie antytrumpowskich komentatorów amerykańskiej polityki, to wybór podyktowany zdrowym rozsądkiem. Walz jest ani lepszy, ani gorszy od pozostałych kandydatów. Nate Silver, znany amerykański analityk i statystyk, twórca portalu FiveThirtyEight.com, do końca przekonywał opinię publiczną, że najwięcej sensu ma nominowanie Shapira – właśnie z matematycznego punktu widzenia. Drezner, ale też chociażby Joan Greve z „Guardiana" widzieli w tej roli raczej Andy'ego Besheara, gubernatora Kentucky, jedną z jaśniejszych twarzy Partii Demokratycznej w tej części kraju.

Koniec końców jednak większość komentatorów zgadza się, że dla Harris wybór wiceprezydenta nie miał większego znaczenia, zwłaszcza biorąc pod uwagę pulę dostępnych nominatów. Żaden z nich nie byłby

eprasa.pl 52d086bfa9

dla niej przesadnym obciążeniem, żaden też nie zadecyduje o przechyleniu wyborczej wagi na jej korzyść. Ten pierwszy aspekt jest dla demokratów na pewno dobrym znakiem, ten drugi już niekoniecznie – Walz nie spowoduje, że wygrają w listopadzie.

Jeśli chodzi o poglądy polityczne, nowy współpracownik Kamali Harris jest modelowym wręcz centrystą.

Głównie dlatego, że w całej Partii Demokratycznej nie ma osoby, która byłaby w stanie to zrobić.

Wystarczająco konserwatywny i postępowy

Mimo wszystko tę nominację przyjęto z umiarkowanym, ale jednak optymizmem. Na pierwszy rzut oka może to zastanawiać, bo nie jest to do końca wybór pragmatyczny. Minnesota to stan zdecydowanie „niebieski", czyli łatwy do wygrania przez demokratów. Od 2000 r. republikanie nie pokonali ich tam w wyborach prezydenckich ani razu. Dodatkowo Walz, człowiek z klasy średniej, raczej nie przyciągnie do Kamali Harris wyborców z klasy ludowej, których partia tak desperacko potrzebuje. Nie będzie więc antidotum na J.D. Vance'a – jego nominacja, poza bliskimi związkami z Doliną Krzemową i ostrą retoryką w mediach, była podyktowana właśnie taką logiką. Wreszcie Minnesota to tylko 10 głosów w Kolegium, a więc niekoniecznie stan, który trzeba dopieszczać nominacją dla tamtejszego gubernatora. W czym więc tkwi siła Tima Walza?

Zacznijmy od suchych faktów biograficznych, bo one akurat mówią bardzo dużo o 60-letnim polityku. Ma spore doświadczenie w administracji publicznej. Na Kapitolu spędził 12 lat, zasiadając w Izbie Reprezentantów, zanim został gubernatorem. Służył też w Gwardii Narodowej, a to w tej chwili w USA (obok służby w regularnej armii) epizod w karierze właściwie niespotykany, zresztą sami Amerykanie często na to narzekają. Kiedyś scena polityczna złożona była niemal wyłącznie z weteranów wojen i misji zagranicznych. Nie zawsze krajowi wychodziło to na dobre, a przeszłości w mundurze nie ma co fetyszyzować, aczkolwiek może być to ciekawa karta do wykorzystania na kampanijnym szlaku. Warto bowiem przypomnieć, że w armii nie służył Donald Trump, który od wojska się wymigał, a w czasie prezydentury otwarcie lekceważył militarne ceremoniały. W armii był natomiast J.D. Vance, co lubi podkreślać, bo w jego przypadku siły zbrojne okazały się windą do awansu społecznego. Republikanie, zwłaszcza ci spod znaku MAGA – Make America Great Again – lubią zarzucać demokratom, że są partią „miękką", nienawidząca wręcz tradycyjnych elementów amerykańskiej tożsamości, a podziw dla munduru na pewno do nich należy. Walz będzie miał więc gotową linię obrony na ten zarzut. Może niezbyt silną, ale lepsze to niż nic.

Nie bez znaczenia w karierze Walza jest wątek dalekowschodni – może sporo powiedzieć o kierunku polityki zagranicznej w przypadku triumfu demokratów.

Pod względem poglądów politycznych nowy współpracownik Harris jest modelowym wręcz centrystą – przynajmniej w bieżącym klimacie amerykańskiego życia publicznego. Mówiąc inaczej, popiera zdecydowaną większość progresywnych rozwiązań legislacyjnych, jak prawo do przerwania ciąży czy wsparcie publiczne dla procedury in vitro. Jest więc centrystą w takim znaczeniu, że po prostu ma dobry słuch społeczny i rozumie, co w tej chwili mieści się w środku politycznego głównego nurtu. W dodatku umie wiarygodnie uzasadnić swoją postawę. O in vitro np. często mówi w kontekście problemów z niepłodnością, które zdarzyły się w jego rodzinie. Podobnie ociepla wizerunek przy udziale córki wegetarianki, z którą publicznie w mediach społecznościowych droczy się na temat konieczności jedzenia indyka w Święto Dziękczynienia. Według serwisu internetowego Voteview, analizującego postawę poszczególnych polityków w głosowaniach w Kongresie, Tim Walz ma jednak poglądy konserwatywne na tle własnej partii. Aż w 70% przypadków głosował bowiem za rozwiązaniami mniej progresywnymi niż te, które wychodziły z ław demokratów (choć trzeba uściślić, że często były to propozycje ustaw pisane przez lewe skrzydło partii, z góry skazane na porażkę).

Na poziomie swojego stanu jest postacią lubianą, głównie za wprowadzenie rozwiązań, które relatywnie niskim kosztem poprawiają życie zwykłych ludzi. Jego autorskimi inicjatywami były m.in. działania na rzecz wprowadzenia darmowych posiłków w szkołach czy powszechny, także nieodpłatny, dostęp do artykułów higienicznych dla kobiet. Z tego drugiego pomysłu śmieją się już republikanie, próbując w mediach społecznościowych nadać gubernatorowi przezwisko „tamponowy Tim". Trudno jednak uznać to za obelgę, biorąc pod uwagę fakt, że podobne akcje stają się normą we wszystkich stanach.

Szansa na nowy wizerunek

Jeśli chodzi o jego pozycję w polityce krajowej, jest już gorzej, bo Walz jest anonimowy. I to niemal całkowicie. Jak zauważa Philip Bump z „Washington Post", jeszcze w lipcu aż siedmiu na dziesięciu Amerykanów nie wiedziało o nim wystarczająco dużo, żeby w ogóle wyrazić opinię. To obszar, w którym zdecydowanie przegrywa z J.D. Vance'em. Nie musi to być problem, bo akurat kandydat na wiceprezydenta u republikanów niektórych aspektów własnej popularności może żałować. Chociażby

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 52d086bfa9

tego, że Trumpa, bądź co bądź możliwego przyszłego szefa, nazwał kiedyś „amerykańskim Hitlerem". Walz ma niepowtarzalną szansę zbudować całkowicie nowy wizerunek publiczny i zrobić to od zera w ciągu kilku tygodni. Szansa jest jednak też obowiązkiem, bo jeśli nadal będzie stać w cieniu, demokratom nie przysłuży się do niczego.

Dlatego w amerykańskich mediach pojawiają się już komentarze, że projekt wyborczy Harris-Walz można określić skrótem MANA – Make America Normal Again. Była pani prokurator i nauczyciel zafascynowany swego czasu Dalekim Wschodem rzeczywiście, przynajmniej na pierwszy rzut oka, wyglądają na znacznie stabilniejszą parę kandydatów niż niestabilny emocjonalnie telewizyjny celebryta, startujący w parze z 40-letnim inwestorem technologicznym nienawidzącym samotnych kobiet z kotami.

Ten dalekowschodni wątek w karierze Walza jest nie bez znaczenia, bo może sporo powiedzieć o ewentualnym kierunku polityki zagranicznej w przypadku triumfu demokratów. Wiceprezydenci rzadko nadają jej ton, ale często ją realizują, gdyż także z przyczyn logistycznych prezydent nie może być w kilku miejscach jednocześnie. Nawet jeśli osoba na tym stanowisku nie ma ani przygotowania, ani zdolności dyplomatycznych, warto, żeby była otrzaskana w najważniejszych tematach.

Ciekawym przykładem był sam Joe Biden, który jako wiceprezydent u Baracka Obamy wielokrotnie przewodził ważnym misjom dyplomatycznym: współpracował z Benem Rhodesem przy przywróceniu stosunków dyplomatycznych z Kubą, był łącznikiem pomiędzy Białym Domem a Johnem Kerrym w czasie negocjacji na temat irańskiego programu nuklearnego. Harris przeszła w tym zakresie drogę przez mękę, bo reprezentując USA np. na dorocznej Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa, była raczej figurantką niż osobą z inicjatywą. Tym bardziej przyda się jej ktoś, kto spraw zagranicznych się nie boi.

Walka o prezydenturę rozegra się pomiędzy Kamalą Harris i Donaldem Trumpem, ich ewentualni zastępcy nie zadecydują o listopadowym wyniku.

Tim Walz akurat w dyplomacji jest bardzo pryncypialny. Dla Europy to dobry znak. Viktora Orbána określił kilkukrotnie mianem dyktatora, otwarcie opowiada się po stronie Ukrainy w wojnie z Rosją. Chce dalszej pomocy zbrojnej i finansowej dla Kijowa. Mówi biegle po mandaryńsku, Chiny odwiedził jeszcze jako nauczyciel. Niekoniecznie jednak popiera politykę Xi Jinpinga. Ian Bremmer, współzałożyciel firmy doradczej Eurasia Group i dziennikarz CNN, napisał w mediach społecznościowych, że Walz celowo wziął ślub 5 czerwca 1994 r., w ważną dla niego piątą rocznicę wydarzeń na placu Tiananmen, których upamiętnianie jest dzisiaj w Chinach zabronione. Według doniesień serwisu Politico ma też ogromną wiedzę na temat krajów skandynawskich, które bardzo ceni. Nie tylko dlatego, że w czasie swojej służby w Gwardii Narodowej przebywał w Norwegii, szkoląc się z tamtejszą armią. Chodzi też o kwestie regionalne. Minnesota to stan historycznie związany z dużą diasporą skandynawską, norweska rodzina królewska odwiedza go w miarę regularnie, co zresztą jest wodą na młyn republikanów. Jak pisze Tina Fordham, analityczka polityczna związana dawniej z bankiem inwestycyjnym Citi, ekipa Trumpa będzie próbowała określić Walza jako „skandynawskiego socjalistę", co w amerykańskim dyskursie publicznym jest równe oskarżeniu o maoistowski wręcz komunizm.

Po pierwsze, nie szkodzi

Przede wszystkim jest więc Tim Walz jak wskazanie w przysiędze Hipokratesa. Po pierwsze, nie szkodzi. Wielkiej wartości dodanej nie przyniesie, nie wiadomo, jak się zachowa w bezpośrednim starciu z Vance'em w czasie debaty kandydatów na wiceprezydentów. Sporo wokół niego niewiadomych, ale emanuje spokojem. A to już dużo, spokoju demokraci potrzebowali jak tlenu. Nie ma jednak co się oszukiwać, walka o prezydenturę rozegra się pomiędzy Kamalą Harris i Donaldem Trumpem, ich ewentualni zastępcy nie zadecydują o listopadowym wyniku. Dlatego obie partie będą wkładały najwięcej wysiłków przede wszystkim we wzmocnienie głównych kandydatów.

Co znowu może zadziałać na korzyść Partii Demokratycznej, Walz jest na pewno graczem zespołowym, nie będzie grał na siebie. W przeciwieństwie do Vance'a, którego wielu na prawicy już widzi jako następcę Trumpa, nowego cesarza współczesnego amerykańskiego konserwatyzmu. Ta nominacja może jeszcze byłemu prezydentowi wyjść bokiem, bo z kolei Vance'owi zdarza się wystąpić przed szereg, ma też medialnie niejednoznaczną przeszłość, jeśli chodzi o poglądy. Walz jest w tym zakresie niemal przezroczysty. Jeśli taki zostanie, nikt po stronie demokratów nie będzie narzekać.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 52d086bfa9

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Casting na Pierwszego Pięknisia RP

Podczytuję, co tam tęgie pisowskie głowy na Nowogrodzkiej radzą, i oczy przecieram. Otóż w siedzibie PiS trwają przedwstępne „przesłuchania" kandydatów tej formacji do wyścigu prezydenckiego. Jak wiemy, czasy, w których ktoś w rodzaju lidera, przywódcy politycznego był kandydatem, należą do przeszłości. Rządzą badania. Czyli należy z wyprzedzeniem ustalić, kogo ewentualnie chce wybrać większość obywateli i obywatelek, i do niego dostosować wybór kadrowy. Mechanizm ten nakłada się na nieopadającą falę entuzjazmu po wyborach z 2015 r., kiedy kompletnie nierozpoznawalny czwartorzędowy Andrzej Duda wygrał z zadufanym, ale rozpoznawalnym Bronisławem Komorowskim, urzędującym prezydentem. Kogo więc chcą Polacy na tym niepotrzebnym do niczego urzędzie? Otóż politycy PiS mówią jednym głosem: przystojny mężczyzna ze znajomością języków obcych i obyciem międzynarodowym. Czyli ktoś wprost proporcjonalnie odmienny od obecnego przywódcy i innych znanych polityków PiS, wśród nich Jarosława Kaczyńskiego. Rodzi się pytanie, dlaczego jeśli kluczowy jest wygląd i znajomość języków obcych (których, na jakim poziomie?), trwają przesłuchania, a nie oglądanie nadesłanych zdjęć. Przegląd zaświadczeń o znajomości języka? Rosyjski i niemiecki też się liczą? Przecież tak określone oczekiwania to raczej na konkurs mistera?

Oprócz tych oczekiwań estetyczno-lingwistycznych dochodzą jednak jeszcze potężne oczekiwania kompetencyjne, które doprecyzował sam Jarosław Kaczyński (który równocześnie przegląda oferty i kandydatury), mówiąc: „Musimy znaleźć kogoś, kto będzie bardzo dobrze przyjęty przez społeczeństwo, a w przeszłości nie ma niczego, co można zaatakować, nawet niesprawiedliwie, ale nie ma". Zdanie to, oprócz wątpliwej polszczyzny, wymaga wyjaśnienia, wymaga analizy, wymaga rozjaśnienia. Jarosław Kaczyński, z dystansem do własnej przystojności i uznaniem nieposiadania atutu znajomości języków obcych – choć również z poczuciem wyrażonym przed laty: „Tak naprawdę to nie ma na świecie ludzi dużo mądrzejszych niż ja" (Oleśnica, wrzesień 2022) – poszukuje powszechnie szanowanego anioła. Może dlatego trwa to tak długo? Jak zresztą można znaleźć kogoś, kogo nie da się niesprawiedliwie zaatakować? Tak właśnie wygląda świat dzisiejszej polityki, w której tworzeniu PiS ma akurat spore zasługi (przypomnijmy aferę hejterską, w której nawet sędziów udało się zaprząc do kampanii nienawiści i oskarżeń w sieci).

Zostawmy na chwilę na boku kryterium „przystojności", ufamy, że tu partia sobie poradzi (nikt podobny do nas?). Liczba afer ciągnących się za PiS rodzi prawdziwą trudność w znalezieniu kogoś, kto jest z partią związany i nieumoczony. Poszukiwania mogą trwać tygodniami. Nie znamy niestety regulaminu tych poszukiwań, nie wiemy, czy mają charakter drabinki, czy może będą repasaże, dogrywka z przystojności. Albo mały sparing z odpowiedzi na sprawiedliwe i niesprawiedliwe zarzuty. W kilku językach. Właściwie w tym pomyśle tkwi potencjał widowiskowy. Dlaczego PiS nie robi tych przesłuchań publicznie? W TV Republika, na żywo. To mogłoby być lepsze niż komisje śledcze w parlamencie. Poza tym wobec groźby utraty sporej części dotacji w związku z bezprawnym korzystaniem ze wsparcia finansowego podczas kampanii wyborczej byłaby to szansa na wypromowanie kandydatów za stosunkowo nieduże pieniądze. A gdyby zabrali się do tego prezes Obajtek z Morawieckim, to jeszcze by na tym zbili kokosy. A tak ten niewiarygodnie zapowiadający się show rozgrywa się w ciemnych, dusznych wnętrzach centrali partii. Cały polityczny pot przystojniaków idzie w dywany.

Liczba afer ciągnących się za PiS rodzi prawdziwą trudność w znalezieniu kogoś, kto jest z partią związany i nieumoczony.

Oczywiście drwiny z tej operacji przychodzą łatwo. Można jednak spojrzeć na poszukiwania kandydata z innej perspektywy – z punktu fundamentalnej zmiany spojrzenia Jarosława Kaczyńskiego. Widać tu jego dojrzałość. Wiedząc, że bycie najmądrzejszym i niekwestionowanym przywódcą partii to za mało, żeby stanąć w szranki przedwyborczej walki, ciągnie co sił z technik marketingowych. Masło, samochód czy prezydent? Żadna różnica, zbadajmy to i zaspokójmy oczekiwania Polek i Polaków, bo już wiadomo, że za to, kim jesteśmy, co myślimy, jak funkcjonujemy, nikt nas nie wybierze. Kogo stać na taką szczerość? Na pełną dojrzałości autokrytyczność. Na niekultywowanie złudzeń i miraży. Na bezzasadne dywagacje, co kto myśli, uważa, umie, co zrobił w życiu. Prezencja i elokwencja. Uczciwość i uroda. Wszystko to zresztą zupełnie niezłe nowe nazwy samej partii, która wyciąga wnioski z tego, że trudno jej znaleźć kogoś uczciwego na kandydata.

Najbardziej przerażające dla samego Jarosława Kaczyńskiego może się okazać, że najlepszym, idealnym, spełniającym wszystkie oczekiwania i dającym nadzieję na zwycięstwo kandydatem PiS na urząd Prezydenta RP zostanie Rafał Trzaskowski. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 52d086bfa9

Beata Dżon-Ozimek

Misja pod ochroną

50 lat temu wpisano do austriackiej konstytucji niezależność mediów publicznych

Publiczne media w różnych miejscach świata starają się zachować niezależność albo ją odbudowywać – tak jak na polskim podwórku. Tegoroczny raport „Liberties" Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka na temat wolności mediów w wielu krajach alarmuje, że znalazła się ona niebezpiecznie blisko punktu krytycznego. W raporcie nie został ani razu przywołany przykład rażących naruszeń niezależności mediów w Austrii. Właśnie tu mija 50 lat od przyjęcia przez parlament 10 lipca 1974 r. federalnej ustawy konstytucyjnej o ochronie niezależności radiofonii i telewizji. Weszła w życie 10 dni później. To czasy kanclerza Brunona Kreisky'ego, austriackiego socjaldemokraty, czerwonego „Króla Słońce", jak się o nim mówi. Rządził krajem od 1970 do 1983 r., pełniąc najdłużej funkcję kanclerza. To bardzo ważny okres historii II Republiki, pełen istotnych, trwałych zmian. Właśnie w latach 70. zapisano w tamtejszej konstytucji mechanizmy związane z demokratyzacją życia, takie jak zapis o Austriackiej Radiofonii i Telewizji (ORF), zapewniający ochronę publicznych instytucji medialnych przed naciskami np. polityków. Zmiany w kodeksie karnym oznaczały m.in. zniesienie kary śmierci, częściowe dopuszczenie aborcji i warunkowe wyłączenie jej spod penalizacji. Czasy Kreisky'ego to także powszechny dostęp do służby zdrowia i reforma edukacji.

•

ORF jest niezależną organizacją mediów publicznych, fundacją na mocy prawa publicznego. Zapewnia dostęp do informacji, kultury, sportu i rozrywki w radiu, telewizji i internecie. Wspólnie z dziewięcioma studiami regionalnymi jest wiodącym medium elektronicznym w Austrii. Nie nastawia się na zysk, a dochody (także abonamentowe) inwestuje w programy i usługi dla odbiorców ORF. Ramy działalności zapewnia wspomniana federalna ustawa konstytucyjna z 1974 r. z ponad 40 już poprawkami, pierwszą z 1984 r., najnowszą z roku zeszłego.

Media publiczne, także te lokalne, cieszą się dużym zaufaniem Austriaków.

Półwiecze tak przełomowego wydarzenia nie było w Austrii świętowane, zabrakło nawet okolicznościowego komunikatu prasowego. W wieczornym paśmie informacyjnym ZIB 2 pojawił się dwuminutowy materiał, w opiniotwórczym tygodniku „Falter" – artykuł Barbary Tóth, a redaktorka ORF Margit Schuschou opublikowała opowieść o stanie niezależnych mediów. W tekscie pisze, że ORF jest nieustannie atakowana politycznie.

Zbliżają się jesienne wybory do parlamentu, politycy stają się coraz bardziej agresywni i populistyczni. Także studia regionalne muszą nieustannie bronić swojej suwerenności. Z prawie 2 mln widzów dziennie „Bundesland heute" jest jednym z najchętniej oglądanych programów w dziewięciomilionowym kraju. W zależności od kraju związkowego istnieje różne podejście do tego, jak często pokazują się tam lokalni politycy, ale Schuschou podkreśla, że mandat służby publicznej i poczucie misji są wciąż wyznacznikami pracy w ORF, szczególnie na prowincji. Mieszkańcy regionów mówią: „ORF przychodzi do mojego domu w wiosce". Czują się „widziani", studia lokalne pokazują rzeczywistość, na którą żadne inne media nie zwróciłyby uwagi ze względu na niewielką skalę tematu, brak opłacalności itd.

•

Niezależność mediów utrzymywanych z budżetu państwa przeszkadza politykom z różnych stron sceny. Największym wrogiem ORF od lat są działacze FPÖ – Wolnościowej Partii Austrii, prawicowonacjonalistycznej i populistycznej – którzy wytaczają procesy za poszczególne sformułowania czy zdania użyte na ich temat. Straszą, krytykują w niewybredny sposób dziennikarzy i twórców, sięgając po różne formy nacisku na forach EU, ale także występując w publicznych mediach. Te zaś nie oszczędzają i nie oszczędzały

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 52d086bfa9

FPÖ, szczególnie podczas ostatniego okresu współrządzenia Austrią w latach 2017-2019 w koalicji z ludowcami (ÖVP), co zakończyło się z hukiem tzw. Ibiza-skandalem. W tym wypadku media, zarówno prywatne, jak i publiczne, odegrały kluczową rolę, a tego Herbert Kickl – krzyczący szef partii, bo to jego stały sposób ekspresji – nie zapomina. Populista, antyeuropejczyk, polityk antyimigracyjny, antysemita, przyjaciel Orbána i Le Pen, uparcie żąda wykreślenia z konstytucji zapisów o niezależności mediów publicznych, kreuje wokół nich wrogi klimat. Kickl wrzeszczy o „obowiązkowych opłatach" i „państwowym nadawaniu", zarzuca radiu, że służyło nazistom, a teraz też nadaje na usługach „autorytarnego kraju", którego rząd koncentruje się wyłącznie na propagandzie. FPÖ zapomina przy tym, że założyciele tej partii w prostej linii wywodzą się ze środowiska narodowych socjalistów spod znaku swastyki.

•

Kiedy czerwony „Król Słońce" podniósł publiczne media do rangi konstytucyjnej, „za" głosowała wówczas największa partia opozycyjna, chrześcijańscy ludowcy – ÖVP. Czy dziś byłoby tak samo? Wobec mocy, jaką mają media, także te publiczne, wciąż silne i szanowane w Austrii, nie wiadomo.

Jeśli rząd się zmieni i wejdą do niego prawicowi ekstremiści z FPÖ, publiczne media ORF, które trwają od 50 lat, mogą przejść do historii. Wielu Austriaków ma tego świadomość, co rodzi obawy.

Dziennikarze, zwłaszcza w programach informacyjnych ZiB 1 i 2, poruszających tematy polityczne, podkreślają swoją konstytucyjnie gwarantowaną niezależność, co jeszcze bardziej rozsierdza tych polityków, którym bliższe są wzorce „niezależności" mediów węgierskich czy słowackich. Toth z tygodnika „Falter" uważa, że media publiczne wymagają większej ochrony niż kiedykolwiek wcześniej, bo zasada demokratycznej i niezależnej informacji jako mandatu publicznego jest zagrożona. Popularni, szanowani dziennikarze, twarze ORF, jak nielubiany przez FPÖ, ale i polityków z innych stron Armin Wolf, nieraz musieli się mierzyć z partyjnym hejtem czy groźbami, wyrażanymi wprost np. przez europosła Haralda Vilimsky'ego z FPÖ. Reprezentant tej partii w Radzie Fundacji ORF, Norbert Steger, radził nawet życzliwie Wolfowi przerwanie kariery...

•

Bruno Kreisky ponad pół wieku temu zrewolucjonizował sposób, w jaki politycy traktowali media i dziennikarzy. Dostrzegł szansę, zwłaszcza telewizji, na sposób dotarcia z przekazem politycznym do wyborców. Te doświadczenia zebrał wcześniej m.in. podczas podróży jako minister spraw zagranicznych. Oczywiście przy całej popularności potrafił być niecierpliwy, nieprzyjemny, np. rzucając dziennikarzowi ORF w 1981 r.: „Naucz się trochę historii, to zobaczysz, panie reporterze, jak wtedy rozwijała się sytuacja w parlamencie!", ten cytat przeszedł zresztą do legendy. Bruno Kreisky w kręgu dziennikarzy ostrzegał przed kryzysem konstytucyjnym podobnym do tego z lat 30. w związku z wypowiedziami prezydenta Rudolfa Kirchschlägera. Potrafił wybuchać, narzekać, robić wykłady z historii, ale ludzie mu to wybaczali. Dziennikarze pamiętają staremu kanclerzowi, że czuli, iż traktuje ich poważnie i dba o otwarte relacje z nimi, a to była absolutna nowość i jakość. Akceptował, że dziennikarze muszą rozmawiać ze swoimi źródłami, zorganizował słynne foyer prasowe, podczas których odpowiadał na pytania po posiedzeniach Rady Ministrów, co stało się elementem sprawozdawczości politycznej. Cieszył się przydomkiem „Kanclerza Dziennikarzy" czy „Kanclerza Mediów".

•

We wspomnianym rocznicowym materiale ORF sami dziennikarze przypominają, że zobowiązani są do przekazywania informacji obiektywnie i rzeczowo, co nie czyni ich sądów niepodważalnymi. Niezależność zakotwiczona w konstytucji oznacza troskę o to, by polityka partyjna lub rządowa nie wpływała nadmiernie na treści, a także dbałość o różnorodność opinii.

Technologia i programy przez pół wieku uległy zmianie, zapisy dotyczące wolności mediów są dostosowywane albo wymagają przeformułowania, np. Trybunał Konstytucyjny orzekł w 2023 r., że powoływanie niektórych organów ORF jest częściowo niezgodne z konstytucją. Obecny rząd najwyraźniej się tym jednak nie zajmuje, co może czynić ORF bezbronną wobec nacisków w kampanii wyborczej do parlamentu we wrześniu tego roku.

Brakuje obiektywnej dyskusji o tym, jak zorganizować nową ORF w taki sposób, aby utrzymała niezależność wobec odczuwalnych starań różnych partii o większe wpływy. 50. rocznica niezależności ORF może być zatem wezwaniem i sygnałem alarmowym dla społeczeństwa, by zachować to, co udało się przez pół wieku utrzymać.

Jeśli rząd w Austrii się zmieni i wejdą do niego prawicowi ekstremiści, publiczne media ORF mogą przejść do historii.

Austriacy wciąż ufają radiu („radio tak powiedziało"), programom takim jak „Zeit im Bild", „Bundesland heute" i wielu innym, także ORF Online, zaznacza Margit Schuschou. Szczególnie dziś, zagubieni w cyfrowym świecie, szukają punktu odniesienia, a ten wciąż zapewnia nadawca publiczny. Wiarygodna informacja i bezpłatnie dostępne treści dobrej jakości sprawiają, że niezależny publiczny nadawca może być kotwicą dla obywatela w bezkresie informacyjnego śmietnika i w hałasie awantur politycznych.

Austriacy, gratulacje z okazji 50-lecia zapisania w konstytucji niezależności mediów publicznych, bo orbanizacja mediów następuje bardzo szybko. Straty są trudne do odrobienia. Niezapomniany Bruno Kreisky, „Król Słońce" i „Kanclerz Mediów", dobrze wiedział, co znaczy niezależność.

■

eprasa.pl 52d086bfa9

Wojciech Kuczok

Polki potrafią

Jeśli jest o czym gadać przy okazji tych igrzysk, to za sprawą naszych sportowczyń – z chwalebnym wyjątkiem siatkarzy polscy panowie nie bardzo sobie radzą

„Ona szybciej się wspina niż ja spadam" – nie wiem, kto to powiedział, ale lepiej nie da się opisać wyczynów Aleksandry Mirosław, naszej medalistki z Paryża. Broniłaby w tym roku olimpijskiego złota, gdyby nie absurdalna decyzja organizatorów sprzed trzech lat – połączenie w wielobój konkurencji na trudność z czasówką. Wyobraźmy sobie, że Armand Duplantis dostaje medal tylko pod warunkiem udowodnienia, że i bez tyczki daje sobie radę.

Albo dwubój sprintersko-maratoński, tudzież naprzemienny rzut oszczepem i młotem. Nie zrozumiem nigdy, dlaczego tak efektowny, także telewizyjnie, sport doczekał się olimpijskiego debiutu dopiero na 22. igrzyskach, spotykając się z ignorancją i arogancją komitetu olimpijskiego, który uznał, że wspinaczom wystarczy jeden medal, żeby nie mieli much w nosie. Teraz poszli po rozum do głowy, dzięki czemu byliśmy świadkami najbardziej bezdyskusyjnej dominacji polskiej sportsmenki od lat. Mirosław jest na ściance jak Katie Ledecky w basenie – nie ulega wątpliwości, że wygra zawody, jedyną niewiadomą jest, czy pobije rekord świata. W ostatnich latach uczyniła to dziewięciokrotnie, z czego dwa razy w ciągu jednego dnia na tych igrzyskach!

Czasówka jest dyscypliną specyficzną, najodleglejszą od źródeł wspinania, czyli atawistycznego pragnienia zdobycia najwyższego punktu w okolicy bez względu na jego niedostępność. Rozwiązywanie wciąż nowych i trudniejszych problemów wspinaczkowych ma charakter eksploracyjny, jest górską lub przynajmniej skałkową przygodą; pokonywanie dziewiczych ścian to wszakże walka z naturalnymi trudnościami, połączenie pasji sportowej i odkrywczej. Tymczasem nasze medalistki – Aleksandra Mirosław i Aleksandra Kałucka wciąż odbywają tę samą drogę, identyczny układ chwytów i stopni, zaprojektowany przez najsłynniejszego routesettera Jacky'ego Godoffe'a raz na zawsze jako trasa standardowa. Nie bez przyczyny nazywają swoje starty „biegami" – one biegają po znanej na pamięć 15-metrowej ścianie, doskonaląc technikę tak, by znaleźć się u góry jak najszybciej. Szanuję i podziwiam, ale z niejaką konfuzją, bo to tak, jakby mi się kto pochwalił, że był tysiąc razy na Żabim Koniu; zdecydowanie wolałbym wejść na tysiąc różnych turni tatrzańskich. Czas upadku swobodnego z wysokości 15 m wynosi 1,7 sekundy, męski rekord świata w czasówce to 4,7. Najnowszy żeński 6,05 sekundy – zostało zatem jeszcze trochę do nadrobienia, aby ostatecznie zadrwić z grawitacji. Trzymam kciuki.

Złota medalistka Aleksadra Mirosław w ostatnich latach dziewięciokrotnie pobiła rekord świata, z czego dwa razy w ciągu jednego dnia na tych igrzyskach.

Ubiegła środa, 7 sierpnia, wreszcie przyniosła ulgę polskim kibicom, a i komentatorom telewizyjnym, którzy musieli wznosić się na eufemistyczne wyżyny, żeby seryjnych rozczarowań nie nazywać wprost sportową klęską. Zanim nasze spiderwomen wspięły się na podium, spadliśmy na 53. miejsce w klasyfikacji medalowej, co kanapowym zrzędom dało paliwo do szyderstw. Po dziewczynach z magnezją na dłoniach wzięli się do roboty siatkarze i wygrali

eprasa.pl 52d086bfa9

półfinał z USA mimo nokautu w trzecim secie i sporej straty w czwartym. Amerykanie już witali się z gąską, a czynili to tak irytująco, że w końcu Tomasz Fornal z koszarową reprymendą zmotywował kolegów do walki. Do oglądania naszych siatkarzy potrzeba silnych nerwów lub mocnego alkoholu – jednym nie dysponuję, drugiego używać mi nie wolno, zatem w szczegóły wdawał się nie będę: przetrwałem, zobaczyłem, zwyciężyli.

W środę na dobranoc wygrała jeszcze Julia Szeremeta, nasza pięściarka przez złośliwców nazywana „tańczącą konfiarą" ze względu na efektowny sposób walki oparty na fantastycznej pracy nóg z opuszczoną gardą, a także na skrajnie prawicowe preferencje. Znajoma, nieprzejednana feministka, zauroczyła się naszą zadziorną bokserką, wybaczając jej polityczne zaangażowanie po złej stronie mocy („Młoda jest, przejdzie jej, poza tym zmieni poglądy po pierwszej kontuzji i leczeniu na NFZ") – przyjmijmy, że to bardziej dowód na uroczo nonszalancki styl Szeremety w ringu niż na podwójne standardy obowiązujące w ramach tzw. siostrzeństwa.

Tak czy owak, z feministkami zawyłem jednym głosem przeciw bezpardonowemu patriarchalizmowi memosfery, kiedy „podbił internety" turecki strzelec. Pokątny podziw korpoludków dla Jeffa „Kolesia" Lebowskiego najwyraźniej nie słabnie – marzenie o tym, by mieć wywalone i od niechcenia odnieść sukces w wymiętym tiszercie z ręką w kieszeni sprawiło, że Yusuf Dikec stał się bohaterem ponad podziałami. Tyle że srebrny medal zdobył w parze mikstowej z koleżanką Şevval Ilaydą Tarhan, która występowała w zewnętrznych słuchawkach, zatem nie pasowała do obrazka z wyluzowanym mistrzem. Owóż, pół świata dało się nabrać na wizerunek „księgowego z pistoletem", zapominając, że obok niego stała kobieta, bez której medalu nawet by nie powąchał. To najwyraźniej ta połowa świata, która hołduje przaśnej maksymie o tym, że „za sukcesem mężczyzny zawsze stoi kobieta. Stoi i p…doli".

O tym, że wiecznie wygrywać nie można, a piękno sportu polega także na tym, że murowani faworyci przegrywają, przekonała się Iga Świątek w półfinałowej walce z wschodzącą gwiazdą światowego tenisa, Chinką Zheng Qinwen. Natychmiast odezwały się głosy wyjaśniaczy świata, tłumaczących, że Świątek przegrała sama ze sobą, nie uniosła presji, poległa z powodów psychologicznych – tymczasem trafiła po prostu na rywalkę grającą równie fantastyczny tenis, a tego dnia lepiej dysponowaną. Jestem przekonany, że to Chinka, młodsza od Igi o dwa lata, w najbliższym czasie stanie się najgroźniejszą kandydatką do zdetronizowania naszej tenisistki w rankingu WTA.

Skądinąd, jeśli jest o czym gadać przy okazji tych igrzysk, to za sprawą naszych sportowczyń – z chwalebnym wyjątkiem siatkarzy polscy panowie, mówiąc delikatnie, nie bardzo sobie radzą, za to w tłumaczeniu swoich niepowodzeń są bezkonkurencyjni. Młociarz Paweł Fajdek stwierdził wręcz, że nie zdobył miejsca na podium, bo się do igrzysk przygotował… za dobrze. Szkoda zatem, że medali nie przyznają za samopoczucie. Finał młota już pierwszym rzutem pozamiatał Kanadyjczyk Ethan Katzberg, w którym mój dziewięcioletni syn zobaczył szpaka Mateusza z najnowszej ekranizacji „Akademii Pana Kleksa" (zaiste, podobieństwo łudzące). Polakom, łasym na złoto, być może odechciało się walczyć o niższe stopnie podium. Zatem nawet obok niego nie stawali, zwykle przepadali w eliminacjach lub zawodzili w finałach. Tymczasem i największe przegrane wśród pań budziły emocje do końca, do sukcesów brakowało im tysięcznych sekundy lub centymetrów. Gdyby mierzyć zdolność obronną kraju sukcesami w sportach indywidualnych, to w szeregowej Mirosław reprezentującej Centralny Wojskowy Zespół Sportowy i walecznych dziewczętach możemy upatrywać nadziei. Panowie być może są mocni w bieganiu za cywilami po puszczy, ale trudno to uznać za chrzest bojowy.

Mocni są także w gębie besserwisserzy, którzy jak co cztery lata z pasją wykazują się językoznawczym zaangażowaniem i poprawiają wszystkie osoby oglądające olimpiadę – „toż to skandal i nieuctwo, olimpiada to okres pomiędzy igrzyskami". Tymczasem przyjęło się już dawno używanie tych pojęć zamiennie, oba są poprawne, nie ma żadnej sprzeczności w czekaniu na olimpiadę, występowaniu na olimpiadzie – jak mi kto tłumaczy, że to igrzyska, wiem, że mam do czynienia z nieuleczalnym naprawiaczem świata, pasjonatem trucia dupy ergo wiecznym malkontentem i wpisuję go na listę osób, od których najzdrowiej stronić.

Telewizja publiczna siłą rzeczy musi się skupiać na występach reprezentantów Polski, tymczasem w najbardziej efektownych dyscyplinach nas brakuje. Jeśli zatem ktoś chce oglądać sport olimpijski z pobudek estetycznych, musi się trochę naszukać po kanałach. Występ amerykańskich pływaczek synchronicznych, które zatańczyły Jacksonowski „Moonwalk", unosząc się w wodzie do góry nogami, stał się już viralem. Wyczyny filigranowej multimedalistki Simone Biles, legendy gimnastyki sportowej, przyprawiają o zawrót głowy i zachwyt możliwościami ciała, drwiącego z grawitacji, może jeszcze namiętniej, niż to czynią wspinacze. Patrzę i uwielbiam, olimpiada jest wszakże festiwalem cielesności, choć cieszy mnie i to, że niekoniecznie o młodość chodzi – rzeczony „turecki księgowy" załapał się na medal po pięćdziesiątce, Isabell Werth, reprezentująca Niemcy w ujeżdżaniu, zdobyła złoto olimpijskie wkrótce po 55. urodzinach. Dopóki na igrzyskach triumfują ludzie starsi ode mnie, nie wszystek zgrzybiałem. ■

Do oglądania naszych siatkarzy potrzeba silnych nerwów lub mocnego alkoholu, w szczegóły wdawał się nie będę: przetrwałem, zobaczyłem, zwyciężyli.

FOT. ŁUKASZ KALINOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 52d086bfa9

GRA STALINA

POWSTANIE WARSZAWSKIE A SŁOWACKIE POWSTANIE NARODOWE

Piotr Kimla

Powstanie warszawskie i słowackie powstanie narodowe to dwa wydarzenia, które odegrały i odgrywają istotną rolę w kształtowaniu się politycznej świadomości Polaków i Słowaków. Za obydwoma powstaniami kryje się skomplikowana historia polityczna, której wszystkich niuansów nie sposób zaprezentować w artykule. Pozostaje syntetyzowanie wątków, co wiąże się z ryzykiem nadmiernego upraszczania. Temat jawi się wszakże na tyle frapująco, że warto go podjąć w wymiarze publicystycznym z nadzieją, że doczeka się pogłębionego, naukowego rozwinięcia.

Wiedza na temat zrywu militarnego na Słowacji w 1944 r., kierowanego przez opozycyjne wobec Josefa Tiso i III Rzeszy siły polityczne, nie jest w społeczeństwie polskim, ale także w zachodnich społeczeństwach, rozpowszechniona. W błędzie tkwią wszakże ci, którzy uważają, że na Zachodzie powszechna jest wiedza o powstaniu warszawskim. Dobitnie przekonałem się o tym, wygłaszając wykład dla doktorantów na uniwersytecie w Heidelbergu. Tamtejsi doktoranci nauk politycznych nigdy nie słyszeli o powstaniu warszawskim. Byli natomiast zaznajomieni z powstaniem w getcie. Tak czy inaczej, wydaje się, że w świadomości większości Polaków ciągle przeważa przekonanie, że władze Czechosłowacji, kapitulując przed Hitlerem, zapewniły swoim obywatelom w miarę spokojny byt w trakcie zmagań wojennych. Przekonanie to nie jest bezpodstawne. Wystarczy porównać najbardziej rudymentarne dane: w trakcie II wojny światowej zginęło ok. 350 tys. obywateli państwa czechosłowackiego (ok. 2% ogółu populacji) i ok. 6 mln polskich obywateli (ok. 17% ogółu populacji). Za samo powstanie warszawskie Polacy zapłacili życiem 200 tys. ludzi.

Słowakom natomiast udało się stworzyć własne państwo. Naturalnie za cenę wprzęgnięcia się w awanturniczą, imperialistyczną politykę III Rzeszy. Dobitny przykład owego wprzęgnięcia to udział słowackich wojsk w niemieckim ataku na Polskę we wrześniu 1939 r. oraz w niemieckim ataku na ZSRR w czerwcu 1941 r. Wypada również podkreślić niezachwianą wierność Tisowskiej Słowacji wobec niemieckiego patrona. Praca na temat słowackich sił zbrojnych w latach 1939-1945 nosi tytuł „Germany's First Ally: Armed Forces of the Slovak State 1939-1945" – autorzy Ch.K. Kliment, B. Nakládal (Pierwszy sprzymierzeniec Niemiec). Tiso uczynił ze Słowacji także ostatniego, najwierniejszego sojusznika III Rzeszy, nie podejmując w żadnym momencie próby zerwania tego sojuszu.

Sytuacja Słowaków i Polaków w 1944 r. była radykalnie odmienna.

Słowacja bez Tiso

W Słowackie Powstanie Narodowe zaangażowany był czechosłowacki rząd na uchodźstwie Edwarda Beneša (dążący, rzecz oczywista, do restytucji wspólnego państwa Czechów i Słowaków, nie zaś istnienia dwóch oddzielnych bytów państwowych), słowackie partie obywatelskie opozycyjne wobec reżimu księdza Tiso, z Partią Demokratyczną na czele (dążące do restytucji demokratycznej Czechosłowacji), oraz komuniści (dążący do stworzenia sowieckiej Słowacji w ramach ZSRR lub w federacji z ZSRR), a nawet ludzie z otoczenia księdza Tiso, którzy odwrócili się od niego. Przypomina o tym J.M. Ward w świetnej, niespolszczonej pracy „Priest, Politician, Collaborator: Jozef Tiso and the Making of Fascist Slovakia" (Ksiądz, polityk, kolaborant), (New York 2013).

Należy oczywiście podkreślić, że słowackie powstanie narodowe było tak istotne dla powojennego komunistycznego państwa czechosłowackiego, gdyż ułatwiało odcięcie się od Tisowskiej, pronazistowskiej Słowacji. W tym sensie spełniło ono swoją funkcję. Nic zatem dziwnego, że komunistyczne władze upamiętniały powstanie na różne sposoby. Najbardziej spektakularnym pomnikiem owego zrywu jest może najsłynniejszy most w Bratysławie, noszący nazwę Słowackiego Powstania Narodowego (z przerwą na lata 1993-2012, kiedy przemianowano go na Nowy Most).

Ponieważ słowackie powstanie narodowe oraz powstanie warszawskie zbiegają się praktycznie w czasie, rodzi to pokusę dokonania zestawienia tych dwóch akcji militarnych. Rzecz jasna sytuacja Słowaków i Polaków w 1944 r. jest radykalnie odmienna. Ci pierwsi, jak wspomniano, mają własne, choć niesamodzielne państwo. Przez pierwsze cztery lata swojej państwowości przeżywają, najogólniej rzecz biorąc, okres prosperity związany z rozwojem gospodarczym powiązanym z sukcesami wojennymi Niemiec. Polacy z kolei przeżywają najstraszniejszą okupację w dziejach, uprzednio przegrywając wojnę. Jest to istotny fakt, ponieważ dla Słowaków

eprasa.pl 52d086bfa9

Adolf Hitler wita Josefa Tiso na dworcu w Berlinie. Z tyłu szef protokołu dyplomatycznego Alexander von Dörnberg. Październik 1941 r.

wzięcie udziału w powstaniu było jednocześnie wypowiedzeniem posłuszeństwa własnemu rządowi. W przypadku Polaków dylemat taki nie istniał. Powstanie warszawskie od strony militarnej wymierzone było w niemieckich najeźdźców, sprawców krwawej kaźni Polaków. W pełni współgrało zatem z rozpowszechnionym w polskim społeczeństwie pragnieniem zemsty. Pośród obrońców zbrojnego zrywu Polaków w Warszawie stale zresztą powraca argument o nieuniknioności powstania z uwagi na nastroje społeczne. Naturalnie nie miejsce tu na rozpatrywanie tego argumentu. Odnotujmy zatem, że nawet to najbardziej rzucające się w oczy podobieństwo zrywów powstańczych dwóch narodów – próba zrzucenia niemieckiego jarzma – ma inny wymiar. W przypadku Polaków jest to ważny etap walki toczonej na śmierć i życie (nie ma w tym stwierdzeniu żadnego wyolbrzymienia), a w przypadku Słowaków jest to próba zerwania przez obóz opozycyjny wobec Tiso nici kolaboracji. Ich przejścia do kręgu zachodnich aliantów, ewakuowania się z tonącego okrętu, ratowania słowackiego państwa i narodu przed odpowiedzialnością bycia nie tylko pierwszym, ale i najwierniejszym sojusznikiem Hitlera. Miał to być kolejny element domina w zmianie sojuszy. Pierwszym było odwrócenie się Rumunii od Niemiec Hitlera w sierpniu roku 1944.

Porównanie strat

Sytuacja Polaków i Słowaków jest radykalnie odmienna także z tego powodu, że ci ostatni, z racji posiadania państwa, posiadają własną, dość dobrze uzbrojoną armię, nie zaś źle uzbrojoną, ale bardzo patriotycznie nastrojoną armię podziemną. Możliwości operacyjne tych dwóch armii wyglądają zupełnie inaczej. Powstanie słowackie jest nieraz określane po prostu mianem buntu słowackiej armii. Ma to ogromne znacznie. Ponieważ w powstaniu słowackim po jednej i po drugiej stronie walczą przeszkoleni i uzbrojeni żołnierze, straty obu stron są podobne. W walkach w okresie słowackiego powstania narodowego od końca sierpnia do końca grudnia 1944 r. zginęło 10 tys. żołnierzy po stronie słowackiej i tyle samo po stronie niemieckiej. Tymczasem w powstaniu warszawskim zginęło 2 tys. Niemców i, jak wspomniano, 200 tys. Polaków, wliczając w to oczywiście ofiary cywilne. Oznacza to, że aby zabić jednego Niemca, oddać życie musiało stu Polaków. Naturalnie powstanie słowackie toczyło się na sporym obszarze centralnej Słowacji, powstanie warszawskie – w gęsto zaludnionym mieście, stąd straty musiały być przygniatające i każdy wyszkolony oficer musiał być ich świadom przed rozpoczęciem powstania. Tak wielka liczba poległych po stronie polskiej jest również wynikiem kolosalnej różnicy w uzbrojeniu i przygotowaniu do walki

Dla Słowaków wzięcie udziału w powstaniu było jednocześnie wypowiedzeniem posłuszeństwa własnemu rządowi.

eprasa.pl 52d086bfa9

formacji niemieckich i polskich. Nie wdając się w szczegóły, dość przypomnieć, że uczestnik powstania i autor najlepszej chyba politycznej analizy powstania warszawskiego Jan Ciechanowski, gdy zgłosił się do punktu zbiorczego, otrzymał od przełożonych nóż oraz opaskę. Miał wtedy 13 lat.

Fakt, że istniało państwo słowackie, jest istotny także w kontekście losu pokonanych. Tiso próbował załagodzić sytuację w popowstaniowej Słowacji, winą za zryw obarczając Czechów i Żydów. Tak można odczytać odznaczenie przez słowackiego prezydenta niemieckich żołnierzy za zdławienie powstania na głównym placu Bańskiej Bystrzycy i odprawienie mszy świętej. Niewykluczone, że uratował on w ten sposób przed niemiecką zemstą dwa słowackie miasta.

Wielką różnicę między omawianymi zrywami powstańczymi stanowi fakt, że w słowackim powstaniu bardzo aktywnie uczestniczyli Żydzi. Słowacka Rada Narodowa – ciało ukonstytuowane w grudniu 1943 r. i w założeniu skupiające w swoich rękach władzę ustawodawczą i wykonawczą do czasu restytucji Czechosłowacji – zaraz po wybuchu powstania zniosła wszelkie przepisy prawne skierowane przeciwko Żydom. Na terenach opanowanych początkowo przez powstańców znajdowały się trzy obozy: Sereď, Vyhne i Nováky. Część uwolnionych z nich Żydów przyłączyła się do walki po stronie powstania. W sumie było to ponad 1,5 tys. osób. „Spośród 46 większych jednostek partyzanckich Żydzi walczyli w 32. Stanowili 10% liczby 16 tys. partyzantów. Co więcej, ok. 250 mężczyzn z obozu Nováky utworzyło żydowską jednostkę partyzancką" (H. Kubátová, „Jewish Resistance in Slovakia 1938-1945" [w:] „Jewish Resitance Against the Nazis", pod red. P. Henry'ego, Washington 2014, s. 516).

Powstanie słowackie trwało od 29 sierpnia do 28 października 1944 r.

Celem militarnym słowackiego powstania narodowego było utworzenie i zabezpieczenie przejścia w Karpatach dla Armii Czerwonej na wysokości miejscowości Dukla i Lupkov. Chodziło o to, by w trakcie jednej nocy możliwe było wejście sowieckiej armii na Słowację i przesunięcie linii frontu o 250-300 km na zachód. Zadanie to miały wykonać dwie dobrze uzbrojone słowackie dywizje piechoty. W tym celu zostały one przeniesione do Prešova wraz ze wschodnimi słowackimi siłami powietrznymi. Było to w sumie 32 tys. ludzi, 50 czołgów, 42 samoloty, 300 dział i moździerzy. Jednakże płk Viliam Talský – szef sztabu obu dywizji – wraz ze wschodnimi siłami powietrznymi odleciał 30 sierpnia 1944 r. (powstanie wybuchło 29 sierpnia) na lotnisko na terytorium dzisiejszej Ukrainy opanowane przez Armię Czerwoną. Talský odleciał, aby przyłączyć się do Armii Czerwonej. Gen. Peter Vlčko nie pozostawia wątpliwości, że Talský padł ofiarą sowieckiej gry i jako polityczny oportunista wierzył bardziej w zwycięstwo duetu Stalin-Svoboda aniżeli duetu Beneš-Golian. Swoim odlotem spowodował chaos wśród wspomnianych dwóch dywizji piechoty, które bez jednego wystrzału zostały rozbrojone przez Niemców. W ten sposób pogrzebano powstańcze nadzieje na Słowacji.

Inny punkt widzenia prezentuje historyk M.D. Brown, który stoi na stanowisku, że fiasko powstania, czyli de facto fiasko udzielenia pomocy powstańcom przez Armię Czerwoną, miało obiektywne, militarne podstawy. Czerwonoarmistom oraz żołnierzom armii czechosłowackiej walczącym u ich boku nie udało się po prostu przebić przez Karpaty, chociaż próbowali. Bitwa o przełęcz w Dukli – trwająca od 8 września do 28 października 1944 r. – kosztowała życie ponad 85 tys. sowieckich i czechosłowackich żołnierzy. Brown nie wspomina wszakże o dwóch dywizjach piechoty rozbrojonych przez Niemców, które mogły wpłynąć na opanowanie przełęczy.

Za samo powstanie warszawskie Polacy zapłacili życiem 200 tys. ludzi. Słowakom natomiast udało się stworzyć własne państwo.

Podobny błąd

Nasuwa się pytanie, czy elementem podobieństwa – podobnym błędem – obu zrywów nie jest pomyłka co do słabości Niemiec w 1944 r.

FOT. NAC, DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 52d086bfa9

Postępy Armii Czerwonej miały być tego dobitnym dowodem. Wypada jednak odnotować, że oba powstania rozgrywają się po konferencji w Teheranie, na której Stalin otrzymał zgodę Roosevelta oraz Churchilla na swoją strefę wpływów. Nie ulega wątpliwości, że powstanie warszawskie, choć militarnie wymierzone w III Rzeszę, politycznie skierowane było przeciwko zdominowaniu Polski przez mocarstwo komunistyczne. Stalin, rzecz jasna, świetnie to rozumiał i nie miał najmniejszej ochoty na świadczenie jakiejkolwiek pomocy polskim powstańcom. Słynny amerykański dyplomata George F. Kennan relacjonuje w swoich pamiętnikach to, co amerykański ambasador w ZSRR William Averell Harriman i gen. John Russell Deane usłyszeli od Stalina i Wiaczesława Mołotowa w związku z prośbami o pomoc dla Warszawy: „Zamierzamy opanować Polskę w całości. Guzik nas obchodzą polscy żołnierze podziemia nieakceptujący władzy komunistycznej. Dla nas nie są oni lepsi od Niemców i jeśli oni i Niemcy wyrżną się nawzajem, tym lepiej. Nie obchodzi nas, co wy, Amerykanie, myślicie o tym wszystkim. Od teraz nie będziecie mieć udziału w kształtowaniu spraw w Polsce i czas najwyższy, żebyście to sobie uświadomili" (G.F. Kennan, „Memoirs 1925-1950", s. 211).

Słowackie powstanie narodowe przedstawia dla Stalina bardziej skomplikowaną kwestię. Nie tylko dlatego, że komuniści czechosłowaccy stanowią część sił powstania. I nie tylko dlatego, że trudno byłoby mu zaprezentować w stosunku do Słowaków analogiczną postawę, jak wcześniej wobec Polaków, z uwagi na niezadowolenie, jakie wywołał wcześniej w oczach przywódców Zachodu i zachodniej opinii publicznej, przyczyniając się do zagłady stolicy Polski poprzez odmowę udzielenia pomocy Armii Krajowej. Trzeba jednak pamiętać, że po ujawnieniu przez Niemców zbrodni w Katyniu nastąpiło zerwanie polsko-radzieckich stosunków dyplomatycznych i Stalinowi o wiele łatwiej było przyjąć stanowczo wrogą postawę wobec Polski. Tymczasem 12 grudnia 1944 r., w obecności Stalina i prezydenta Edwarda Beneša, Mołotow i ambasador czechosłowacki w Moskwie Zdeněk Fierlinger podpisali Umowę o przyjaźni, wzajemnej pomocy i powojennej współpracy między Związkiem Sowieckim a Czechosłowacją, która miała obowiązywać 20 lat. W świetle powyższego mogło się wydawać, że istnieją realne szanse na to, by Armia Czerwona faktycznie przyszła z pomocą słowackim powstańcom, a dowodzący na tym odcinku frontu marszałek Iwan Koniew nie pozwoli na ich zagładę. Nie będzie więc powtórki bierności wojsk ZSRR spod Warszawy, która oznaczała jej zniszczenie. Przy całej wszakże odmienności stosunków sowiecko-czechosłowackich od stosunków sowiecko-polskich, tak przed II wojną światową, jak i w jej trakcie, Stalin nie udzielił odpowiedniego wsparcia słowackim powstańcom, chociaż poinformowany przez Beneša w grudniu 1943 r. o planowanym powstaniu odniósł się do tego planu bardzo pozytywnie. Wydaje się, że przesądziła o tym kalkulacja ściśle polityczna, nie zaś, jak chcą niektórzy badacze, przeszkody natury militarnej.

To prawda, że Sowieci lądowali na lotnisku opanowanym przez słowackich powstańców. Jednak dostawy były prawie wyłącznie kierowane do sił partyzanckich, zdominowanych przez komunistów. To prawda, że stoczono krwawą bitwę o przełęcz w Dukli. Jednak ostatecznie Stalin nie chciał się zgodzić, by jakiekolwiek inne siły polityczne i militarne – poza komunistami i Armią Czerwoną – dokonały wyzwolenia Słowacji. To ostatecznie przesądziło o klęsce powstańców na Słowacji i o ostatnim w gruncie rzeczy istotnym zwycięstwie Niemców w II wojnie światowej.

I o tym warto pamiętać, porównując oba powstania.

Piotr Kimla

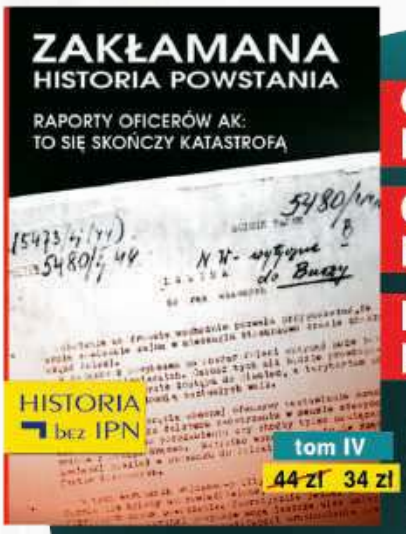

ORYGINALNE DOKUMENTY!

CYNIZM I GŁUPOTA DOWÓDCÓW!

MĘSTWO POWSTAŃCÓW!

Meldunki, rozkazy i relacje dokumentujące, że powstanie od początku było skazane na klęskę. Wiedzieli o tym dowódcy AK. Raporty i memoriały oficerów brzmią jak akty oskarżenia.

Pięć tomów Zakłamanej Historii Powstania dostępnych w formie e-booka

Zamów książkę na sklep.tygodnikprzeglad.pl
lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

eprasa.pl 52d086bfa9

Filmy dokumentalne zmieniają ludzkie losy

Kiedy jesteśmy z kimś w ekstremalnych momentach, szybko tworzy się więź silniejsza niż inna relacja

Rozmawia
Wojciech Tutaj

Dlaczego temat kryzysu na polsko-białoruskiej granicy ucichł na wiele miesięcy? Chodzi o społeczną obojętność, zdystansowanie mediów czy może interesy polityczne?

– Dobrze zdiagnozowałeś wszystkie problemy. Konflikt w Strefie Gazy też zniknął z pierwszych stron gazet. Łatwo uodparniamy się na niewygodne tematy. W przypadku kryzysu na granicy zaważyła jeszcze jedna rzecz. Szybko został wyparty przez wojnę w Ukrainie, bo wsparcie dla napadniętego sąsiada zjednoczyło Polaków. Ocena sytuacji z granicy polsko-białoruskiej wywołuje odwrotny efekt. Właśnie dlatego niewielu dziennikarzy i filmowców chciało zajmować się tym tematem. Społeczna obojętność nie może oczywiście usprawiedliwiać działań polityków. Nowy rząd, który sama wybierałam, bardzo mnie zawiódł, i to na wielu frontach. Reżyser nie może być jak polityk, musi wchodzić i mówić „sprawdzam". Nie powinno się też przystępować do realizacji dokumentu z gotową tezą, bo wtedy trafimy na mieliznę. Przewagą kina dokumentalnego nad mediami informacyjnymi jest fakt, że można się zatrzymać. Nie trzeba galopować za kolejną wojną, za kolejnym nośnym tematem. Przebywamy z naszymi bohaterami długo i naprawdę próbujemy ich zrozumieć.

AGNIESZKA ZWIEFKA
– reżyserka, scenarzystka i producentka filmowa

Agnieszka Zwiefka – (ur. w 1978 r.) ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim. Obroniła doktorat w Instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej na tej samej uczelni. Członkini Europejskiej Akademii Filmowej, EWA European Women's Audiovisual Network i Stowarzyszenia Filmowców Polskich. Film „Drzewa milczą" zdobył Złotego Lajkonika w Konkursie Polskim i wyróżnienie w Międzynarodowym Konkursie Dokumentalnym na Krakowskim Festiwalu Filmowym. Został też uhonorowany Nagrodą „Beyond the Screen" na DocAviv Film Festiwal w Tel Awiwie.

Wierzysz w interwencyjną moc kina dokumentalnego, w to, że może zmieniać rzeczywistość?

– Wierzę, że możemy przekonać chociaż kilku ludzi do zmiany zdania. Pokazałam film „Drzewa milczą" dwóm osobom o skrajnie prawicowych poglądach, które twierdziły, że w lesie na granicy są tylko młodzi, agresywni mężczyźni. Ci widzowie płakali przez cały seans i potem przyznali, że rzeczywistość wygląda inaczej. Wierzę też w interwencyjną siłę dokumentu, który wcale nie stara się być interwencyjny, tylko pokazuje konkretną osobę i jej historię. W „Drzewa milczą" anonimowe dane statystyczne zyskują twarz, imię i biografię. Poza tym dokumenty nieraz zmieniają ludzkie losy. Kiedy zrealizowałam film „Królowa ciszy" o Romach z nielegalnego koczowiska, okazało się, że koczowisko nie zostało eksmitowane. A sprawa wydawała się już przesądzona. Dzięki „Drzewa milczą" chcemy zaś doprowadzić do tego, że Runa pójdzie na wymarzone studia prawnicze. Zaczynamy zbiórkę pieniędzy, aby jej to umożliwić.

Gdzie trafiłaś na Runę i jej rodzinę?

– Razem z przyjacielem, operatorem Kacprem Czubakiem, pojechaliśmy na granicę w ciemno. Chcieliśmy zobaczyć sytuację na własne oczy i pomóc. Wzięliśmy kamerę, bo w głowie filmowca zawsze pojawia się myśl „a może coś zmienię", ale nie mieliśmy presji, by wrócić z gotowym tematem na dokument.

eprasa.pl 52d086bfa9

Zatrzymaliśmy się w pozarządowym ośrodku dla uchodźców w Białymstoku, który prowadzili ludzie z Fundacji Dialog, pracowaliśmy tam jako wolontariusze. Pewnego dnia przyjechała rodzina Runy. Odebrałam to jako impuls. Wierzę, że w kinie dokumentalnym istnieje coś takiego jak miłość od pierwszego wejrzenia. Zaczęliśmy kręcić, kiedy mama Runy jeszcze żyła i nie mieliśmy jasno sprecyzowanej koncepcji filmu. Interesowała mnie przede wszystkim perspektywa nastoletniej uchodźczyni. Obserwując wiele rodzin z Azji Zachodniej, zwłaszcza z Iraku i Iranu, zauważyłam powtarzający się schemat. W ekstremalnych sytuacjach mężczyźni rozpadają się na kawałeczki, a kobiety, w dużej mierze nastoletnie dziewczyny, zaczynają rządzić i biorą odpowiedzialność na swoje barki.

Czy Runa nie przejęła po prostu ról, za które odpowiadała jej matka?

– Tak, Runa kontynuuje to, co robiła jej mama. Avin była pomysłodawczynią podróży do Europy, ona wszystko zorganizowała i chciała, żeby rodzina znalazła się w bardziej liberalnym zakątku świata, gdzie jej córka ma szansę na edukację. Wszyscy nauczyciele podkreślają, że Runa jest ponadprzeciętnie inteligentna. Avin była więc głową rodziny, a jej mąż Baravan nie ma problemu, żeby to przyznać. W krajach Bliskiego Wschodu to kobiety najczęściej kierują domem, ale zostawiają mężczyzn z poczuciem władzy. Teraz Runa też rządzi w sposób bardzo dyskretny. Dodam, że nawet nie mieliśmy okazji poznać Avin, bo kobieta prosto z granicy trafiła do szpitala i leżała w śpiączce. Tyle jednak o niej się dowiedziałam, że stała się dla mnie człowiekiem z krwi i kości. Od dnia, w którym zjawiliśmy się w ośrodku, do śmierci Avin minęły zaledwie trzy tygodnie.

Oprócz Baravana i Runy obserwujemy też jej czterech młodszych braci. Jak nawiązała się między wami nić porozumienia?

– Paradoksalnie pomogła trudna sytuacja. Kiedy jesteśmy z kimś w ekstremalnych momentach, szybko tworzy się więź silniejsza niż każda inna relacja. Zazwyczaj realizuję filmy przez cztery lata. Pierwszy rok to czas na zdobycie zaufania bohaterów, bo długo trzeba ich oswajać z naszą obecnością i z kamerą. Pracując nad „Drzewa milczą", w trzecim tygodniu uzyskaliśmy już pełny dostęp do kurdyjskiej rodziny i nawiązaliśmy z nią bliski kontakt. Uczestniczyliśmy razem w tak trudnych emocjonalnie wydarzeniach, że udało się błyskawicznie zbudować zaufanie.

„Drzewa milczą"

Język nie był wielką przeszkodą?

– Musieliśmy im wyjaśnić, czym jest film dokumentalny i jak długo planujemy z nimi zostać. Połączyliśmy się telefonicznie z tłumaczem, bo nikt poza mną i operatorem nie mógł przebywać w pilnie strzeżonym białostockim ośrodku. Poza tym porozumiewaliśmy się intuicyjnie, czasem na migi. Ale Kacper trafnie odgadywał, kiedy i w jakim kierunku zwrócić kamerę. Chodzi przecież o uniwersalny język emocji, który nie ma nic wspólnego z językiem mówionym. Kiedy Runa i jej bliscy zaczęli się uczyć polskiego i angielskiego, a ja kurdyjskiego, posługiwaliśmy się językiem, który sami stworzyliśmy. Nazwaliśmy go pol-kurd-english.

A może bariera językowa czasem pomagała, bo bohaterowie nie pilnowali się tak bardzo, gdy mówili przed kamerą?

– Tego pytania nikt Runie nie zadał i sama jestem ciekawa jej odpowiedzi, bo uczestniczy ze mną w wielu wywiadach. Na podświadomym poziomie coś takiego może działać. Ludzie pewnie bardziej otwierają się przed kimś, kto nie zna ich języka. Jednocześnie bohaterowie rozumieją, że wszystko jest rejestrowane i łatwo przetłumaczyć każde zdanie. Jestem świadoma, że obdarzyli nas ogromnym zaufaniem.

„Drzewa milczą" są tak naprawdę trzecim filmem, w którym zaczęłam obserwować bohaterów, nie znając ich języka. „Królowa ciszy" dotyczyła Romów, a „Blizny" przybliżały sylwetki Tamilskich Tygrysów. Paradoksalnie braki językowe nieraz pomagają, bo zwraca się uwagę na mniej oczywiste detale i zyskuje się zewnętrzną perspektywę. Szybciej wyłapuje się gesty, emocje i mimikę, które w kinie dokumentalnym wydają się ważniejsze niż słowa. Nieznajomość języka może oczywiście prowadzić do komicznych sytuacji. W „Królowej ciszy" myśleliśmy, że nagrywamy efektowną scenę kłótni, po czym okazało się, że bohaterowie krzyczeli: „Czemu ta durna baba filmuje nasze dywany?!".

> Reżyser nie może być jak polityk, musi wkraczać i mówić „sprawdzam".

Zdecydowałaś się na użycie animacji, żeby zobrazować lęki i wspomnienia Runy.

– Chciałam zrobić tradycyjny dokument, ale lubię hybrydy gatunkowe i zabawę formą. Sam pomysł zrodził się po pierwsze, z bariery językowej, a po drugie, ze świadomości, że Runa

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 52d086bfa9

jest bardzo skryta. Gdy działy się najgorsze rzeczy, rysowała naprawdę niepokojące obrazy w swoim zeszycie. To był sposób na radzenie sobie z traumą. W końcu pomyśleliśmy, co by było, gdyby te rysunki ożyły.

Co było najtrudniejszym emocjonalnie doświadczeniem w pracy nad „Drzewa milczą"?

– Pogrzeb Avin – filmowałam go sama, bo mój operator przebywał za granicą, a nie mogłam wprowadzać do ośrodka kolejnych osób. Normalnie nie mam żadnych problemów z filmowaniem, często staję za kamerą. Tym razem nie wytrzymałam emocjonalnie. Zapomniałam o stronie technicznej i nie kontrolowałam, czy zdjęcia są ostre, czy nie. Scena, która ostatecznie znalazła się w dokumencie, nie jest popisem sztuki operatorskiej. Zwłaszcza że musiałam jednocześnie wspierać Runę i trzymać jej braci za ręce.

W takich okolicznościach trudno zachować dystans do filmowanych obrazów.

– Przez cały czas szukaliśmy z operatorem balansu. Wiedzieliśmy, że mamy filmować, ale musieliśmy po prostu być obok bohaterów. Płakać i śmiać się razem z nimi. Dzięki „Drzewa milczą" dowiedziałam się, że najlepszym, co może czasem zrobić dokumentalista, jest odłożenie kamery na bok. I to będzie dobra decyzja. Podczas realizacji nigdy nie żałowałam, że na chwilę przestawaliśmy kręcić. Nie trzeba filmować umierających ludzi albo innych drastycznych obrazów. Warto zadawać sobie pytanie, czy sami chcielibyśmy być filmowani w takich sytuacjach. Choć dokument jest wchodzeniem z butami w intymność, wszystko ma swoje granice.

Proces adaptacji uchodźców w Polsce jest skuteczny, czy nie działa?

– Wygląda to trochę tak, jak wrzucanie dziecka do basenu i mówienie, że ma się nauczyć pływać. W przypadku Runy sytuacja zadziałała mobilizująco. Utożsamiam się bardzo z jej historią, bo jako ośmioletnia dziewczynka wyjechałam do Stanów Zjednoczonych. Nie znając języka, dołączyłam do normalnej klasy w Houston w Teksasie. Kiedy jesteś gdzieś obcy i niczego nie rozumiesz, możesz przeżyć traumę. Polska jest nieprzygotowana na przyjmowanie uchodźców, bo stanowimy jednolity etnicznie naród. Jedyni przybysze, których u nas widać, to ludzie z Ukrainy. Polak i Ukrainiec dogadają się nawet bez znajomości języka, bo wychowują się w podobnym kręgu kulturowym. Gdy pomyślimy o uchodźcach z Bliskiego Wschodu, zaczyna się poważna rozmowa o różnicach kulturowych i językowych. Polski system tego nie uwzględnia i chyba nawet nie szuka optymalnych rozwiązań.

Dostrzegasz nadzieję dla ludzi na granicy polsko-białoruskiej? A może kategorie takie jak nadzieja nie pasują do tak poważnych kryzysów międzynarodowych?

– Lubię słowo nadzieja. Kiedy kręciliśmy „Drzewa…", powtarzaliśmy też hasło „światło w mroku". Na przekór wszystkiemu szukaliśmy pozytywów. Inna sprawa, że w naszych bohaterach jest dużo światła i nadziei. Co do szerszego spojrzenia na kryzys, rozczarowałam się obecnym rządem. Forteca zwaną Europą coraz bardziej się zamyka, a mury wokół niej stają się coraz wyższe. Osoby, które teraz przylatują z Bliskiego Wschodu na Białoruś, muszą wiedzieć, co się dzieje na granicy. Większość z nich stanowią jednak prości ludzie, bez odpowiedniej wiedzy i edukacji, które pozwoliłby im podjąć rozsądną życiową decyzję. Nie oznacza to, że mają umierać w lesie.

Pierwsze osoby, które przybyły na granicę, myślały, że bezpiecznie dotrą do Unii Europejskiej?

– Pierwsza fala uchodźców, w tym rodzina Runy, nie wiedziała, że czeka ich tu piekło. Sprzedano im tę podróż jako bezpieczną opcję, w przeciwieństwie do przeprawy morskiej. Potem leśne trasy okazały się pułapką. Runa nigdy nie widziała drzew i nagle musiała spędzić 18 dni i nocy w lesie. Jej matka kupiła wizy i bilety lotnicze w biurze turystycznym, nie przewidywali więc komplikacji. Wiedzieli, że proceder nie jest do końca legalny, ale byli pewni, że jest bezpieczny. Ci, którzy teraz decydują się wyruszyć do Europy, nie mają podobnej pewności. To tylko pokazuje, jak zdesperowani są ludzie.

Wojciech Tutaj

Dokument jest wchodzeniem z butami w intymność, ale wszystko ma granice.

eprasa.pl 52d086bfa9

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Olimpijskie mordobicie

I znowu rocznica powstania warszawskiego. O godzinie 17 wyją syreny, słychać je nawet u nas, chociaż mieszkamy z boku miasta. Próbuję tym jakoś poruszyć moje dzieci, nie dają się. A sam mam mieszane uczucia, pisałem już o tym nieraz. W końcu to było krwawe głupstwo, jedno z największych w naszej historii, w której głupstw nie brakuje. Mimo że zdarzenie oddala się w czasie, skala żalu i celebracji narasta. Bo wszystko jest sztucznie napędzane w ramach walki politycznej, by pokazać, kto jest większym patriotą. Nie ma wątpliwości, że rocznica powinna być obchodzona, ale czy na taką skalę? Politycy mówią o powstaniu jako o wielkiej lekcji historii. Ale jeśli tak je potraktować, to myśląc trzeźwo… powstanie było straszliwym błędem, nie miało szans, żadnych, było więc bohaterskim głupstwem – piszę teraz banały – zginęło 200 tys. ludzi, a piękne miasto zostało obrócone w ruinę. Czyli to karygodny błąd, który doprowadził do katastrofy. Jaka z tego lekcja? Nigdy więcej takiego bohaterstwa. Solidarność wyciągnęła z tego wnioski i przejęcie władzy po 1989 r. było pokojowe. Teraz na naszych oczach doczołgują się do mety życia najstarsi uczestnicy powstania, z tego zdarzenia robi się spektakl. Kto będzie ostatnim? Dostanie złoty medal po tamtej stronie.

Moja mama pracowała chwilę w szpitalu powstańczym, ale ciągle mdlała, więc przeniesiono ją do kuchni. Byliśmy niedawno rodzinnie na dachu biblioteki uniwersyteckiej, jest na nim piękny i słynny ogród. Z tego dachu widziałem pobliski klasztor sióstr Urszulanek, tam mieszkała w czasie okupacji mama, tam znajdował się szpital polowy i wydawano posiłki. Mama zawsze uważała powstanie za kompletny nonsens.

Powstanie było straszliwym błędem, nie miało szans, żadnych, było więc bohaterskim głupstwem.

•

Na olimpiadzie coraz więcej osobliwych, kontrowersyjnych konkurencji. Na pewno taką jest boks kobiet. Okładanie się kobiet pięściami po twarzy – jakie to nieestetyczne. Ale feminizm chce, by kobiety mogły robić wszystko to, co faceci. Oglądałem walkę Polki z Włoszką, mikrofon czasami wychwytuje niedyskrecje z zaplecza. Gdy nasza zawodniczka po przerwie wychodziła z narożnika na ring, trener wykrzyczał: „A teraz k… rozp… ją". No, bardzo pięknie.

•

Porażka Świątek w półfinale mnie strapiła. Generalnie bardzo kibicuję naszym olimpijskim sportowcom, tylko polskiej piłkarskiej drużynie narodowej nie potrafię, ale to wina kiboli.

•

Czytam biografię Walta Whitmana, słynnego amerykańskiego poety z XIX w., ojca współczesnej poezji, który jako pierwszy pisał energiczne wiersze bez rymu, o różnej długości wersów. Autorem biografii jest Juliusz Żuławski, już od dawna nieżyjący pisarz, mieszkał w naszym domu na Iwickiej. Przyjaźnię się od dziecka z jego córkami. W książce jest obszerny opis słynnej wojny domowej w latach 1861-1865, wojny Południa z Północą. W uproszczeniu Północ to byli demokraci, Południe – republikanie. Zginęły setki tysięcy ludzi. Masakra. Jak wiadomo, szło o zniesienie niewolnictwa. Południe na to się nie godziło, ale były też pewnie inne przyczyny. Uderzyło mnie, jaki drastyczny podział na dwa osobne plemiona już wtedy istniał – nie tylko Południe i Północ, ale też miasta i prowincja bogata w pola bawełny. Potrzebne im były ręce niewolników. W Stanach nadal są żywe echa tamtego podziału.

U nas jest bardzo podobnie, też mamy dwie Polski, wschodnią i zachodnią, miejską i wiejską. Amerykańskie Południe to matecznik Trumpa, północna część jest liberalna. Nawet rozważa się, czy w Stanach możliwa jest wojna domowa. Powstał udany film „Civil War" z taką wizją konfliktu.

•

Nagle cisza wokół wojny na Ukrainie, tylko cyklicznie krótkie informacje jak prognozy pogody; znowu zginęło kilku mieszkańców domu, w który trafiła rosyjska rakieta; rachunek zestrzelonych dronów. Liczby ginących na froncie na wszelki wypadek się nie podaje. Nienormalna normalność wojny. Pisze do mnie ukraińska tłumaczka, że chce przełożyć wiersze z ostatniego mojego tomiku „Epoka wymierania", może się uda wydać na Ukrainie książkę. Już ukazały się tam niedawno wiersze wybrane mojego ojca. Że też oni mają jeszcze głowę do poezji. U nas przecież bardzo trudno wydać tomik. Miła niespodzianka, Czytelnik zgodził się opublikować wybór moich wierszy. Teraz wydawcy panicznie boją się drukować poezję. A przecież mnóstwo ludzi pisze wiersze. Od dawna jestem jurorem literackiego konkursu dla dzieci w wieku szkolnym, który już od kilkudziesięciu lat odbywa się w Bielsku-Białej. Przychodzą tysiące wierszy i opowiadań małych dzieci i nastolatków. Bardzo nas interesują własne wiersze, mało wiersze innych, stąd brak popytu na książki poetyckie. To kolejny znak narcystycznej osobowości naszych czasów. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 52d086bfa9

Wojciech Fangor,

czyli sztuka malowania bez opamiętania

Daniel Wójtowicz

Wystawa obrazów Wojciecha Fangora pojawiła się jak diament w środku Wrocławia. Odbywa się przy Rynku, w charakterystycznej starej kamienicy, kryjącej w swoich murach nowoczesną galerię sztuki: Krupa Art Foundation – symbol czasów współczesnych. Nowatorskie prace malarza, również w nowoczesnej aranżacji, kontrast ten wzmacniają.

Wojciech Fangor wykształcił się i ukształtował artystycznie w Polsce, ale w naszej rzeczywistości początku lat 60. jakoś się nie pomieścił. „W Polsce mam wszystko, co niezbędne do życia. Brakuje mi tylko jednego: nadziei, że moja twórczość będzie się mogła swobodnie rozwijać i że będzie komuś potrzebna", wyznawał przyjaciołom. Pełnię talentu i twórczych możliwości rozwinął na Zachodzie, głównie w USA.

Wystawy Wojciecha Fangora należą do rzadkości – jego prace są rozsiane po świecie. Zgromadzenie ponad 50 obrazów o tak wielkiej wartości, powstałych poza Polską, wypożyczonych z różnych muzeów i kolekcji prywatnych, trzeba uznać za wielkie osiągnięcie organizatorów i przykład wspaniałego mecenatu sztuki polskich biznesmenów, wrocławian. Ekspozycja ma ogromne znaczenie dla ukazania pełnej mocy i wymowy twórczości Fangora. Prace prezentowane w takim nagromadzeniu, w tak perfekcyjnej aranżacji tworzą swoją metarzeczywistość. Ogarniają zwiedzającego i działają na zmysły zdecydowanie wyraźniej i silniej niż pojedynczo. Niektórzy, jak słyszałem, doznają nawet szczególnych złudzeń wzrokowych, typowych dla op-artu. Ja tego nie doświadczyłem, ale pozostawałem w tym wnętrzu pod niezwykłym, trochę nieziemskim wrażeniem.

Obrazy Wojciecha Fangora, różnokolorowe kręgi, fascynują, wyraźnie bowiem wyprzedzają bieg historii malarstwa i pewnie również ludzkiej percepcji. Ich tematem i głównym bohaterem jest światło. Niektórzy zatem są skłonni powiedzieć, że to nic, inni mogą uznać, że to wiele: największa tajemnica świata. Jakże często łączono obraz i istotę światła z tym, co boskie. Sam Albert Einstein, twórca różnych teorii światła, miał przed śmiercią wyznać, że pozostało ono dla niego niewyjaśnioną zagadką. Czy największa tajemnica naszego świata zasługuje na to, aby być tematem obrazów? I czy mogą to być obrazy nieskończenie ciekawe? Wrocławska wystawa nie pozostawia wątpliwości, że tak.

Barwne koła Fangora, niczym otuliny planet, czy zwiewne, faliste płaszczyzny poukładane jak galaktyki, wyprowadzają spojrzenia i myśli daleko w kosmiczne przestworza, uświadamiając, że to one stanowią nasz dom. Kolorystyka kręgów jest płynna, miejscami

eprasa.pl 52d086bfa9

rozmyta. Płaszczyzny składają się z milionów różnokolorowych punktów i miejsc zaznaczonych przez fakturę płótna. Żadnemu z nich nie można nadać szczególnego znaczenia, choć razem tworzą ważną i przejmującą całość. Jak we wszechświecie.

Fangor uważał, że malowanie jest dla człowieka formą oswajania, okiełznywania nieznanej rzeczywistości. Czy zatem jego dzieła są formą eksploracji wszechświata? W każdym razie ja, w pełnym otoczeniu „planet" Fangora i emanującego z nich różnokolorowego światła, czułem się trochę jak w kosmicznej podróży.

Światło jest nieodłącznym elementem malarstwa, często było przedmiotem specjalnych studiów i warsztatowych zabiegów. Zwykle jednak występowało jako oświetlenie tego, co obraz wypełniało. Dopiero wiedza o jego istocie znacząco zmieniła ten gatunek sztuki. Najmocniej chyba w spojrzeniu impresjonistów, którzy tworzyli pod wrażeniem odkrycia różnokolorowego widma światła i nabierali przekonania, że zmienia ono więcej, niż można było sądzić. I że ostatecznie nic nie pozostaje na zawsze takie, jakim to widzimy.

Kolory i różnobarwne kręgi na obrazach Fangora nie mają granic, jedne płynnie przechodzą w drugie. Kolorystyka sama w sobie jest cudem komunikacji międzyludzkiej. „Istnieje w nas coś, co nazywam słuchem kolorystycznym. W najpełniejszym wymiarze jest on jak słuch absolutny w muzyce. Niektórzy potrafią doskonale identyfikować nawet najbardziej złożone barwy i ich współbrzmienia", tłumaczył artysta. I w ślad za tym wysublimowanym stopniowaniem swoich kolorów, ich różnorodnością i kompozycją przekazuje nam własną unikatową wizję świata i swoje idee. Laik taki jak ja, o niewyrobionym oku, przyjąć może tylko okruchy tej opowieści.

Wojciech Fangor jest dziś ogromną dumą polskiej kultury, nigdy nie wyparł się pochodzenia, ani o nim nie zapomniał. I na starość do kraju powrócił. Zmarł w wieku 93 lat w 2015 r. Zanim odszedł, zostawił poświęcony współczesnej Warszawie pogodny, nowoczesny wystrój stacji drugiej linii metra, pełen kolorów, które codziennie przemawiają do tysięcy oczu.

Fangor uważał, że malowanie jest dla człowieka formą oswajania nieznanej rzeczywistości.

Stworzył malarską opowieść o wszechświecie i wypełniającym go świetle. Jest jedynym polskim malarzem, którego wyróżniono (w 1970 r.) indywidualną wystawą w słynnym Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku. Dziś uznawany jest za jednego z największych polskich malarzy współczesnych. Jego obraz „M22" został sprzedany w 2020 r. za ponad 7 mln zł.

Prezentowana na wrocławskiej wystawie Polska Kronika Filmowa z 1956 r. kpiąco relacjonowała ówczesną wystawę Fangora, dając mu życzliwą radę: „Wojteczku, opamiętaj się". Na szczęście nie posłuchał.

Wypowiedzi Wojciecha Fangora pochodzą z materiałów organizatorów wystawy oraz z wywiadu, który ukazał się w 2012 r. w „Zwierciadle".

Wojciech Fangor. American Dream
Wrocław, Krupa Art Foundation, Rynek 27/28
do 20 października

kuratorka: Dorota Monkiewicz
scenografia: Robert Rumas

FOT. DANIEL WÓJTOWICZ

eprasa.pl 52d086bfa9

Kariera Romana Wilhelmiego

Oglądana po latach „Kariera Nikodema Dyzmy” przynosi coraz to nowe, aktualne znaczenia

Magda Jaros

Pomyśleć, że mógłby nie zagrać roli, która okaże się jedną z najważniejszych w jego artystycznym życiu. Kiedy reżyser Jan Rybkowski zwraca się do Wilhelmiego, ten się waha, zastanawia i hamletyzuje. W wywiadzie tłumaczył to następująco:

„Kiedy mi zaproponowano rolę Nikodema, dwukrotnie odmawiałem i przyjąłem dopiero za trzecią namową. Uważam, że aktor powinien dawać z siebie wszystko, co może, ale mnie strasznie przeraził już rozmiar serialu – 11 tys. m taśmy – oraz sam Dyzma – postać w powieści dość prymitywna – praktycznie nieschodzący z ekranu przez siedem godzinnych odcinków. Wątpliwości były duże. Jak rozdzielić wszystkie środki aktorskie, by się nie powtarzać, by uczynić tę postać niejednoznaczną, jak ukazać wnętrze człowieka obracającego się w środowisku dlań obcym? Chyba się udało…”.

Wilhelmi nie mówi o tym, że w dużym stopniu przyjął rolę Nikodema Dyzmy dzięki reżyserowi Maciejowi Domańskiemu.

Z Grażyną Barszczewską w serialu „Kariera Nikodema Dyzmy”.

Grażyna Barszczewska: Romek mówił: „Dopóki Dyzma żyje, my też żyjemy”. Nie pomylił się.

„Powiedziałem, że zgodził się zagrać Jerzy Stuhr, choć było oczywiste, że rola jest dla Romana – opowiada Domański. – Ale bał się wchodzić w serial, co jest zrozumiałe. Po »Czterech pancernych«, którzy na lata włożyli go do szuflady, miał awersję do seriali. Nie chciał się zmierzyć z legendą postaci, którą zagrał przed nim Adolf Dymsza”.

Pierwsza ekranizacja powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza powstaje w 1956 r., reżyseruje także Jan Rybkowski, a oszusta Dyzmę gra wielki aktor i komik przedwojennego kina Adolf Dymsza. Dla Wilhelmiego to wyzwanie, które chyba mu się podoba. Przecież uwielbia udowadniać, że jest najlepszy, pierwszy, jedyny. Wchodzi też w już raz włożone buty, co dla aktora może okazać się ryzykowne. Uśmiecham się na myśl o tym, że Domański podszedł Wilhelmiego jak dziecko. Ale to ponownie dużo mówi o jego charakterze. Ktoś inny miałby zagrać taką rolę? Do tego dopuścić nie może.

Andrzej Haliński, który odpowiada na planie za scenografię, w książce „10 000 dni filmowej podróży” wspomina przygotowania do rozpoczęcia zdjęć:

„Reżyser Jan Rybkowski leżał w szpitalu, i to w nie najlepszym stanie, a tymczasem termin zdjęć zbliżał się nieuchronnie. Janek Szymański [kierownik produkcji – przyp. M.J.] zadzwonił do mnie, że wypada odwiedzić pana Jana, tym bardziej że ten chciał się podzielić z nami czymś naprawdę rewelacyjnym. Pojechaliśmy do rządowej lecznicy na Emilii Plater. Na początku wizyty chętniej nam pokazywał próbki jakiegoś żółtego i mętnego płynu z nerek, który wyciągnął spod łóżka w szklance do herbaty, niż rozmawiał o filmie. Przyciśnięty jednak przez Janka, mrugnął kilka razy (miał taki śmieszny tik) i rozglądając się konspiracyjnie po sali, wyszeptał:

– Mam Dyzmę! Będzie rewelacyjny! Widziałem go w jednym filmie, ale nie pamiętam, jak się nazywa. Trochę za młody, ale jaka zdolna bestia!

Spojrzeliśmy bezradnie po sobie, a ja się wyrwałem:

– W jakim filmie, panie Janie?

eprasa.pl 52d086bfa9

– Cholera wie, nie pamiętam tytułu. Był o kelnerach! I on grał główną rolę. Janek, jak mnie tylko wypuszczą, zaraz do niego dzwonimy.

Spojrzeliśmy po sobie bezradnie. Nie przesłyszeliśmy się, pan Rybkowski mówił o Marku Kondracie w »Zaklętych rewirach« Janusza Majewskiego. To rzeczywiście była wspaniała kreacja. Pracowałem z Markiem przy wielu filmach i mam dla jego aktorstwa ogromny szacunek, ale wtedy pomysł pana Rybkowskiego, żeby młodzieniec o twarzy cherubinka zagrał chamowatego karierowicza z przypadku, był tak absurdalny, że aż trudno było znaleźć jakieś racjonalne kontrargumenty. […]

Były więc bardzo różne kandydatury do roli Nikodema Dyzmy. Janek Szymański optował za Leonardem Pietraszakiem, a pierwszym kandydatem Marka Nowickiego [który współreżyserował serial – przyp. M.J.] był Krzysztof Majchrzak. Albo odwrotnie, już nie pamiętam dokładnie. Po raz pierwszy w życiu byłem dopuszczony do takich rozważań, a to przypuszczam tylko dlatego, że z powodu choroby reżysera zapanowała daleko posunięta demokracja. Długo też trwały korowody, aż w końcu moja kandydatura Romana Wilhelmiego zwyciężyła".

•

Serial powstał w 1980 r., a Warszawę międzywojnia udają m.in. Łódź i Pabianice. Na ekranie widzimy wnętrza Akademii Muzycznej, willę Zygmunta Richtera, pałac Alfreda Biedermanna, a także pałac w Zaborowie.

Pierwszą realizowaną sceną jest raut, na który Nikodem Dyzma trafia przez przypadek. Dla niego, bezrobotnego urzędnika, to okazja, żeby się najeść. Jak wielu miłośników serialu, znam tę scenę na pamięć. Nigdy bym jednak nie przypuszczała, że jej powstanie wiązało się z niemałymi kłopotami.

Oddajmy głos Andrzejowi Halińskiemu, który był na planie, więc wszystko widział:

„Zainscenizowaliśmy ten raut w Łodzi, w willi należącej do ZHP. Wszystko zostało starannie przygotowane, a współpracująca ze mną wtedy po raz pierwszy dekoratorka Ewa Braun z wielkim pietyzmem zastawiała stoły zamówionymi w restauracji Grand Hotelu wspaniałymi rybami, pieczonym drobiem i pięknie udekorowanymi półmiskami z innymi potrawami. Niestety, przez przypadkowe przeciwności losu zdjęcia nie mogły się rozpocząć przez dwa kolejne dni. A żeby ten cały wspaniały stół zachował świeżość, produkcja sprowadziła ciężarówkę chłodnię. Kiedy trzeciego dnia wszystko wskazywało, że zdjęcia mogą ruszyć, rekwizytorzy zaczęli wynosić te wspaniałości z przymusowej przechowalni. Wszystko wyglądało wspaniale, zwłaszcza skrzące się od szronu ryby, a także zamarznięta na kość sałatka z kawałkami lodu, zmieszanymi z majonezem. Oczom naszym ukazały się też szeregi butelek rozsadzonych przez lód. Na nic się zdały próby przyśpieszonego odgrzania przynajmniej części smakołyków. Zdesperowany rekwizytor wyciął tasakiem kawałek zamarzniętej na kość sałatki, pokruszył i z powrotem ułożył w salaterce, pieczołowicie ugniatając palcami. Miejsce to zostało zaznaczone kawałkiem marchewki, aby Dyzma trafił we właściwy kawałek. Roman stanął na wysokości zadania, nabrał elegancko srebrną łyżką spreparowaną część i bohatersko zjadł z apetytem. Szkoda, że nie zachowano choćby częściowo prawdziwego dźwięku – widzowie mieliby szansę usłyszeć trzeszczenie lodu w zębach, co w zestawieniu z błogim wyrazem twarzy aktora dawało niebywale zabawny efekt".

W „Mazepie" Juliusza Słowackiego w reżyserii Jana Kreczmara, spektaklu dyplomowym studentów IV roku PWST w Warszawie, 1958 r.

Takich scen, w których Wilhelmi wspina się na aktorski Mount Everest, jest wiele. Udaje mu się coś wyjątkowego. Tworzy postać Dyzmy na charakterystycznych gestach, minach, ruchach. Jest tak sugestywny, dziś powiedzielibyśmy: ikoniczny, że żaden inny Dyzma nie wchodzi w grę. Choć kto wie, może serial podzieli los „Znachora" i doczeka się innej, niekoniecznie lepszej wersji na platformie streamingowej. Choć nie wyobrażam sobie śmiałka, który zmierzyłby się z postacią cudownego oszusta.

•

„Kariera Nikodema Dyzmy" nie byłaby taka sama, gdyby nie aktorzy. Grażyna Barszczewska, czyli Nina Ponimirska, która wychodzi za mąż za dorobkiewicza Kunickiego, jest zabawna, zmysłowa i lekka jak poranna mgiełka. Choć aktorka także zastanawiała się, czy wystąpić w serialu.

Grażyna Barszczewska:

– Na początku miałam wątpliwości. Przeczytałam znakomitą zresztą powieść, ale Nina Ponimirska wydawała mi się zbyt amancka, mało charakterystyczna, po prostu niewiele do zagrania. W tym czasie rezygnowałam już z ról dekoracyjnych amantek,

eprasa.pl 52d086bfa9

pociągały mnie bardziej skomplikowane, charakterystyczne postacie. Moim wątpliwościom zaprzeczył reżyser Jan Rybkowski, mówiąc: „Pani jest amantką, ale z pieprzem".

Celne spostrzeżenie. Tak zatytułowała pani swoją biografię. A jak do Dyzmy podchodził Wilhelmi?

– Myślę, że mimo pewnych zawirowań Romek od początku wiedział, że to jest rola dla niego. Czuł to. Zresztą Nikodema Dyzmę zagrał genialnie. To jedna z jego wielkich ról.

Ta rola była wyzwaniem, które Wilhelmiemu chyba się podobało. Przecież uwielbiał udowadniać, że jest najlepszy, pierwszy, jedyny.

Jaka atmosfera panowała na planie? Współpraca z Wilhelmim układała się dobrze?

– Było bardzo pracowicie, ale sprawnie, miło. Nie słyszałam, żeby pojawiały się jakieś problemy z kondycją Romka. Poza tym sekretarką planu była Liliana, partnerka Romka, i go pilnowała. Wiele zdjęć kręciliśmy w Zaborowie, czyli w moim pałacu – pałacu Niny Ponimirskiej. Tam też ekipa spędzała czas po zdjęciach. Pamiętam jeden dyskotekowy niemalże wieczór z wyluzowanym Bronkiem Pawlikiem, moim filmowym mężem. Ale to nie były przedłużone biesiady, bo rano należało wstać na zdjęcia i być w formie. Poza tym miałam wtedy małe dziecko. Kiedy tylko mogłam, wracałam po zdjęciach do Warszawy.

Kiedyś, pamiętam, zdjęcia się przedłużyły i musiałam nocować w pałacu, bo skoro świt zaczynałam pracę. Produkcja dała mi wytworny pokój i piękną, koronkową pościel. Tylko że kiedy obudziłam się rano… miałam odciśniętą koronkę na pół twarzy. A czekała mnie od razu scena z Romkiem, jak to mówił mój synek, miłościwa. Mieliśmy zacząć sceną pocałunku, potem był dialog. Kiedy pokazałam się na planie, Marek Nowicki, operator i reżyser „Kariery", był przerażony. Po chwili zdecydował, że na początku kamera będzie kadrowała tylko moją nieozdobioną koronką połowę twarzy, zanim ta „wyhaftowana" wróci do gładkości. Ale kiedy poszedł klaps, Romek w ferworze emocji zaczął mnie okręcać! Chciał, żeby jego twarz podczas dialogu była widoczna. Ale ja się nie dałam. Mocowaliśmy się więc tak to w jedną, to w drugą stronę, aż padło: „Zapaśnicy stop!". Ekipa się zagotowała. Powtarzaliśmy jeszcze raz.

Nawet podczas sceny z panią włączał się u niego gen rywalizacji? Przecież byliście zaprzyjaźnieni!

– To było silniejsze od Romka. Czasem trudno mu było powściągnąć emocje na planie. Ale generalnie na scenie, w pracy, był uczciwy.

Potrafił poskromić swoje wielkie ego i to było cudowne. Takie podejście zdarza się tylko wielkim aktorom, którzy do reszty utożsamiają się z graną postacią. Ważne jest, żeby te dwa aktorskie konie równo szły w zaprzęgu. Jeżeli mój partner kuleje, ja też jestem gorsza.

•

Izabela Trojanowska, czyli Kasia Kunicka, na planie ma 25 lat, jest niebywale atrakcyjna i przyciąga wzrok oryginalną urodą. Po latach wspomina:

„W »Karierze Nikodema Dyzmy« jest scena, w której moja bohaterka, Kasia, decyduje się przespać z Dyzmą, żeby chronić przed nim Ninę, swoją macochę, w której jest zakochana. Kasia chce bowiem, żeby Dyzma zostawił Ninę w spokoju. Scena wyglądała w ten sposób: siedziałam w jedwabnej piżamie na Romku Wilhelmim, ale tyłem do kamery, i mówiłam: »Popatrz, jakie mam piękne i jędrne piersi«. Ubrana byłam w dół i górę od piżamy, kamera pokazywała tylko moje plecy. Dla mnie było oczywiste, że zagram w staniku. Wilhelmi się wkurzył. Powiedział, że nie może wczuć się w rolę i jeśli nie zdejmę stanika, to on nie zagra tej sceny. Rozpłakałam się, zeszłam z planu, zdjęłam przyklejone rzęsy i zmyłam makijaż. Po chwili przyszedł kierownik planu i powiedział, że to był taki żarcik ze strony Romana. Gdy wróciłam na plan, był w świetnym humorze i bez problemu dokończyliśmy scenę. […]

Na początku naszej znajomości […] mnie trochę podrywał. Gdy zobaczył, że mu ze mną tak łatwo nie pójdzie, zaprzyjaźniliśmy się i zyskałam w nim bratnią duszę.

Czasami mieliśmy takie sytuacje, że chciałam dłużej popracować nad kolejnymi scenami, coś w nich jeszcze pozmieniać. Wtedy Roman brał to na siebie, bo ja dopiero zaczynałam, a dla niego czas zawsze musiał się znaleźć. Zazwyczaj szliśmy na spacer i do skutku przegadywaliśmy jakieś

eprasa.pl 52d086bfa9

ujęcie. Tak było też ze sceną, w której on stoi z wiosłami w łódce, ja mam w ręce kwiaty, podchodzi do nas Nina, ja otulam ją szalem i demonstruję jej swoją miłość, a do niego mówię, że nie jest w moim typie. Na początku byłam za ostra, ale po naszym wspólnym spacerze scena zrobiła się o wiele bardziej wyważona.

Roman często wracał na plan prosto z dyskoteki lekko »przykurzony«, ale wcale mu to nie przeszkadzało w grze i mieściło się w konwencji jego roli".

•

Z rodzicami.

Która scena z serialu najbardziej zapada w pamięć? Każdy ma własną. Ja uwielbiam dialog, kiedy Dyzma pyta rozmarzoną Ninę, co gra na fortepianie. Odpowiada: „Barkarola Czajkowskiego. […] G-moll". Na co on: „A dlaczego nie d-mucha?". Świetny jest, kiedy ubrany w atłasowy tużurek wykonuje na mandolinie i nuci przewodni motyw serialu „za zu zi zu zi zaj". Muzykę skomponował Piotr Marczewski (1938–2022), który odpowiadał za przepiękne dźwięki m.in. w „Znachorze", „Blisko, coraz bliżej", „Trędowatej", „Wakacjach z duchami". Wtręt osobisty: pan Piotr był przez lata moim sąsiadem w Łodzi, a dźwięki jego fortepianu rozbrzmiewały, kiedy otwierał latem drzwi pracowni do ogrodu. Czy mogłam wtedy przypuszczać, że dzięki serialowi i Wilhelmiemu nasze losy ponownie jakoś się splotą? Zdecydowanie nie.

A wracając do pamiętnych scen… Zwłaszcza jedna do dziś rozpala wyobraźnię widzów. Atmosferę podgrzała Ewa Szykulska, czyli hrabina Lala Koniecpolska. To ona cudownie kaleczy język polski i mówi do Dyzmy: „Pan to jest cudowna mężcizna". Przyznała, że odcinek piąty, a w nim sceny z Wielkim Trzynastym, ocenzurowano ze względu na zbyt śmiałą orgię. „Nagrywanie tych scen było niezwykłe – opowiadała. – Wpuszczono tabun bab w przezroczystych ubraniach, bez staników – a wszystkie byłyśmy wtedy w kwiecie naszej kobiecości – i… zaczęła się rywalizacja, która wygląda lepiej. Myśmy wtedy naprawdę nie brały żadnych używek, a bawiłyśmy się, jakbyśmy były na niezłym haju. Czułyśmy się takie wyzwolone! Podobno ktoś wziął sobie te wycięte kadry ze sceny orgii. Jeśli tak właśnie zrobił, do dziś może podziwiać wspaniałe biusty wielu naszych gwiazd".

Do pikantnej sceny wracam w rozmowie z Lilianą Głąbczyńską-Komorowską, hrabianką Mariettą Czarską. Oczywiście pamięta dzień, w którym powstawała słynna scena:

„Byłam wtedy dobrze wychowaną dziewczyną, więc patrzyłam na inne, żeby się zainspirować. A było tam bardzo dużo wspaniałych koleżanek. Zrzuciłam więc płaszcz Liliany Głąbczyńskiej i weszłam w rolę. Z Romkiem to było proste, bo był totalnie otwarty. Grę z nim porównałabym do ciepłego oceanu, w którym chce się zanurzyć, a potem płynąć i płynąć. Mówił: »Dziewczyny, róbcie, co chcecie«. Pozwalał, więc leciałyśmy. Każda z nas chciała pokazać coś innego, zaprezentować siebie. Ja miałam charakterystyczny śmiech, więc poleciałam śmiechem.

Romek oczywiście pamiętał, że spotkaliśmy się kilka lat wcześniej na planie »Czarownic z Salem«. Był bardzo miły, serdeczny. Ale jak to on: »Buźka, buźka, co się u ciebie dzieje, wszystko w porządku, fajnie. No to się rozbieramy«. Jednocześnie obowiązywały granice i on ich nie przekraczał. Nie było w nim wulgarności, obsceniczności. Natomiast kiedy patrzył na kobietę, która mu się podobała, jestem przekonana, że mógł ją posiąść ot tak. Między nami na planie była chemia, ale nigdy jej nie skonsumowaliśmy".

Romkowi czasem trudno było powściągnąć emocje na planie. Ale na scenie, w pracy, był uczciwy. Potrafił poskromić swoje wielkie ego.

Oglądana po latach „Kariera Nikodema Dyzmy" bawi i ma coraz to nowe, aktualne znaczenia. Każdy świat jest przecież pełen chamów, którzy niespodziewanie jadą windą do nieba. Potem tylko nie wiedzą, jak się w tym niebie poruszać, co wypada, a co nie. I nie ma znaczenia, czy dzieje się to prawie 100 lat temu, w czasach opisanych przez Tadeusza Dołęgę-Mostowicza, czy dziś. Bezsprzecznie serial doczekał się fanów w każdym wieku. Wracają do ulubionych bohaterów enty raz, znają na pamięć dialogi i mówią Dyzmą w życiu.

Kiedy zastanawiam się, na czym polega ten fenomen, myślę, że nie chodzi tylko o wspaniałą grę najlepszych polskich aktorów czy błyskotliwy scenariusz. „Kariera Nikodema Dyzmy" powstawała w czasach, kiedy każda sztuka, także filmowa, mogła pozwolić sobie na bezkompromisowość. Było na nią odpowiednio dużo czasu, wystarczające środki i talent wspaniałych twórców, którzy mogli się skupić tylko na pracy. Okazuje się, że to daje efekt ponadczasowy.

„Romek mówił: »Dopóki Dyzma żyje, my też żyjemy« – wspomina z uśmiechem Grażyna Barszczewska. – Nie pomylił się".

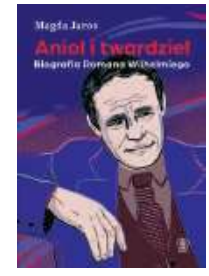

Fragmenty książki Magdy Jaros *Anioł i twardziel. Biografia Romana Wilhelmiego*, Rebis, Poznań 2024

FOT. EAST NEWS/INPLUS, ARCHIWUM PRYWATNE (2)

eprasa.pl 52d086bfa9

FESTIWAL

30. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce Fabrizio Bosso Quartet We-Wonder

Fabrizio Bosso uważany jest za jednego z najlepszych międzynarodowych trębaczy, a we Włoszech za jednego z najwybitniejszych współczesnych muzyków jazzowych. Otwartość na różnorodne style muzyczne z jednej strony, a szacunek dla tradycji jazzu z drugiej są cechą charakterystyczną tego artysty. Ma nieskazitelną technikę i wyjątkowy, osobisty dźwięk. Ze swoim topowym kwartetem składa hołd ikonie soulu, Steviemu Wonderowi. Rekonstruują słynne utwory artysty w równowadze między szacunkiem dla oryginałów a własną kreacją. Energia i witalność, niepowtarzalny liryzm trąbki, oryginalne aranżacje i wielowymiarowość muzyki czynią ten koncert wyjątkowo ekscytującym. *(ap)*

Więcej na: www.jazznastarowce.pl, www.facebook.com/festiwaljazznastarowce.

NA EKRANACH

W irańsko-izraelskim klinczu

Szok. Izraelczyk i Iranka zrobili razem film. I do tego bardzo udany. Opowiada o dżudoczce Leili (Arienne Mandi), która na olimpiadzie w Tokio walczy o medal. Idzie jej dobrze, ale radość z kolejnych zwycięstw przerywają instrukcje z Teheranu. Ma sfingować przegraną w następnej walce, żeby nie doszło do jej

starcia z reprezentantką nieuznawanego przez Iran Izraela. Klincz bohaterki, która nie chce rezygnować z marzeń, a jednocześnie boi się o siebie i swoją rodzinę, Arienne Mandi wygrywa tak przekonująco, że w pewnym momencie człowiek nie wie już, czego jej życzyć. Czy lepiej iść za pragnieniem zwycięstwa i własną godnością, czy za bezpieczeństwem i wygodą? Dylemat stary jak świat, ale twórcom udaje się go podać w interesujący sposób. Guy Nattiv i Zar Amir Ebrahimi kreślą sytuację, w której nie da się podjąć dobrej decyzji, żeby pokazać, jak na zmaganiach jednostki cierpi całe jej otoczenie. Przejmujące, duszne kino ze wspaniale nakręconymi pojedynkami dżudo. Obejrzyjcie koniecznie, nie tylko jeśli za mało wam olimpiady.

Artur Zaborski

„Tatami", reż. Guy Nattiv, Zar Amir Ebrahimi, prod. USA/Gruzja, w kinach od 16 sierpnia

KURTYNA W GÓRĘ

Szekspir instant

Reżyserując spektakl dla młodzieży inspirowany szekspirowską „Burzą", Joanna Zdrada postanowiła pokazać na scenie życie wyspy i jej mieszkańców, zanim zjawili się na niej bohaterowie dramatu.

Malina Prześługa, „Burza. Prequel", na motywach Szekspira, reżyseria Joanna Zdrada, Gdański Teatr Szekspirowski, premiera 25 lipca 2024

W tej opowieści Prospero jest wpływowym, acz smutnym biznesmenem, deweloperem, pragnącym zemścić się na bracie za odebranie fortuny, zmieniając tajemniczą wyspę w luksusowy kurort. Miranda zakochuje się nieszczęśliwie w „dzikim chłopaku" Kalibanie, który pomaga jej odkryć leśny świat natury, zupełnie inny od tego, do którego przywykła dziewczyna z dużego miasta. A niewola Ariela okazuje się uzależnieniem od magicznej sieci, czyli internetu. Na scenie plastikowo-neonowa dżungla sąsiaduje z nowoczesnymi pawilonami ze szkła. Postacie tańczą i śpiewają zgrzebne piosenki, sporo tu slangu i tego, jak dorośli wyobrażają sobie „problemy młodych". Szekspira słychać z rzadka, ale i tak wyraźnie odcina się jakościowo od infantylnego chwilami tekstu Maliny Prześługi. Jest w tym widowisku sporo ciekawych wątków i ważnych treści proekologicznych, niestety sporo też w nim siermiężnych rymów i słabego aktorstwa.

Choć gdańska „Burza" ma pewien walor edukacyjny, jako dzieło sztuki wypada raczej blado.

Michał Centkowski

Opera feministyczna

W Muzeum Powstania Warszawskiego na 80. rocznicę sierpniowego zrywu przygotowano niezwykłe widowisko. Inspiracją była historia Joanny d'Arc, która poprowadziła wojsko do boju o Francję. W Warszawie w 1944 r. takiej kobiety nie było, decyzję podjęli politycy, mężczyźni. Niemniej twórcy przedstawienia postawili na pochwałę żeńskiego żywiołu, wliczając w to nawet Marię Skłodowską-Curie i aktywistki Ostatniego Pokolenia.

Bronisław Tumiłowicz

„D'Arc", reżyseria, scenariusz, scenografia Krystian Lada, dyrygentka Lilianna Krych, Muzeum Powstania Warszawskiego, premiera 1 sierpnia 2024

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. DAWID LINKOWSKI, ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS, FORUM FILM, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 52d086bfa9

Do lasu (odc. 7)

Wojciech Kuczok

Delirio amoroso

Narty mu się wypięły, jedna pociągnęła w jar, druga się zakleszczyła między konarami. Powinien był Eryś w najlepszym razie nieprzytomny leżeć, w najgorszym martwy, z karkiem złamanym, tymczasem nawet ojla nie miała mu z czego wyskoczyć, choć w buczysko mierzył w pozycji zjazdowej z głową pochyloną.

Siedział tak i przyglądał się bukowi, jego korzeniom, co oplotły omszałe kamole, dziupli głębokiej a dziwnej, bo nie wydrążonej dziobem ani próchnicą, tylko wyrośniętej razem z pniem. A i jeden z korzeni odrósł tak dziwacznie, że stworzył nieckę, w której się zbierała deszczówka. Napił się Eryś wody z buczyska, gębę sobie opłukał, drzewu przyjrzał i wciąż nie mógł pojąć, jakim cudem się nie rozbił. Dopiero kiedy promień się przebił przez korony i błysnął, zauważył sieć łowną rozpiętą na wejściu do dziupli. Nici przędnej o takiej mocy nie wytworzyłby żaden pająk, Eryś, choć głupi, znał się na rzeczy, a nawet na rzeczach, o których się nie śniło filozofom (choć śpią ci miglance więcej niż zwykli śmiertelnicy).

Z drzewa wyłaziła jeszcze jako zwierzyna i dopiero w świetle dziennym tak skobieciała w mgnieniu oka.

Gdyby pozostać przy twardym realizmie, przygrzmociłby Eryś w buka, srogi zawód miłosny przypłacając, lecz przecież *delirio amoroso* wytrąca człowieka z równowagi. To gorączka krwotoczna duszy, zaburzenie postrzegania wielkiego kalibru, płomień od lędźwi rozpościerający się ku zmysłom. I oto następuje radykalna zmiana konwencji: w dziupli coś się poruszyło, zajęczało i westchnęło. I byłby Eryś przysiągł, że zanim stanęło przed nim dziewczę – w może dość wymiętym, może i nieco poplamionym kabotku, ale dorodność i słuszność biustowną opinającym – że zanim stanęła przed nim kobita źrała i obfita, lecz wciąż jeszcze dziewucha nie baba, dałby rękę sobie uciąć, że nie z guni się wyswobodziła, a z sierści. Że z drzewa wyłaziła jeszcze jako zwierzyna i dopiero w świetle dziennym tak skobieciała w mgnieniu oka.

Eryś nie był aż tak głupi, żeby nie domniemywać dwóch możliwości. Albo się jednak zabił i właśnie zaczął życie pośmiertne, zwane tu i ówdzie wiecznym, a zaczęło się niezgorzej i swojsko, bo zamiast cherubińskich chórków stanęła mu przed oczami istota z tych, o których nieokrzesani koleżkowie w akademiku mawiali, że na nie to „chuj boli patrzeć". Albo Eryś grzechotnął głową na tyle mocno, że mu się pod kopułą poodklejało i halucynuje. Wylazło z jego podświadomości niezaspokojenie, ucieleśniając się właśnie w tej, co to miała we włosach igliwie, dłonie jej się kleiły od żywicy, pachniała lisią norą i przygwoździła Erysia nie tylko spojrzeniem władnym, lecz zasiadła na nim jak na tronie i ukoronowała jego konfuzje. Zanim zdołał słowem się odezwać, zapytać „cotojaktoaczemutak", już leżeli obok siebie spoceni zawrotnie. A kiedy podniósł się Eryś, wsparł na łokciu i przyjrzał uważniej, zobaczył, że dziewczynie krowi ogon wystaje, że macha nim ona z wprawą, oganiając się od gzów i strzyżaków.

– Acha – rzekł Eryś, jak ma w zwyczaju człowiek, do którego rozum znienacka wróci i nagła jasność zaświeci, w tym przypadku nazwana jasną cholerą. – Cholera jasna, szczęście w nieszczęściu. Ne mamuna, tylko nordycka przybłęda.

Dawno już bowiem było wiadomo, że prócz odwiecznie karpackich dziwożon, w puszczy gnieździły się także inwazyjne gatunki demonów, jak to z pozamorskiej północy przybyłe stworzenie. Huldry leśne, mieszkające w skandynawskiej dziczy, niegdyś żyły z ludem za pani siostra, pomocne budnikom i uczynne w polu. Ich pech, że miały postać dziewczęcą a ponętną, co nie mogło podobać się żeńskiej części ludzkości. Plotka raz zasiana wykiełkowała masowo i huldry zaczęły być tępione jako krwiożercze trollice, co porywają młodzieńców i dzieci, a potem wysysają z nich dusze. Musiały więc szukać nowych rewirów. I choć beskidzka kraina była dla nich raczej przechodnią, bo zmierzały na południe – tam, skąd przybyli Wołosi i gdzie leśnicy mają dość kłopotów z pożądliwymi misiołakami, żeby się hulderkami przejmować, to nie wszystkim starczało sił na ucieczkę do Rumunii.

W śląskim Beskidzie o huldrach gadano jak o wilkach, niby co chwila ktoś widział jak zachodzą do osad, ale ostatniego ustrzelił myśliwy pod Bukową jeszcze przed Pierwszą Wojną. Odkąd lasy państwowe rżnięto na potęgę, terytorium dla gadziny matecznikowej się kurczyło, zatem jeśli Eryś trafił na huldrę w tak niewielkim drzewostanie, musiało być to stworzenie wiekowe, zbyt słabe, aby powędrować w rumuńskie knieje. Takie huldry jeden miały sposób, by przetrwać: usidlić chłopca, tak aby zechciał je poślubić. Wtedy ogon im odpadał i schodziły z nim do wsi, żyjąc po ludzku. Lecz nie po bożemu, bo musiały unikać kościoła – po przestąpieniu progu święconego spalały się błyskawicznie, woda święcona je parzyła, diable nasienie w nich jednak drzemało, cóż począć (cdn.). ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 52d086bfa9

Carole Hooven

Hormon, który przyćmiewa inne

Testosteron obecny jest w naszej krwi w mikroskopijnej ilości. Produkują go wszyscy, ale mężczyźni mają go 10-20 razy więcej niż kobiety

Małpie harce

Gdybyśmy nie znajdowali się pod gniazdami szympansów w chwili, gdy się budziły, przegapilibyśmy ich siuśki – a to najważniejsze przy badaniu stężenia testosteronu u tych zwierząt. Dlatego niemal codziennie przez osiem miesięcy, które spędziłam z szympansami, na spacer przez dżunglę wyruszałam jeszcze przed świtem.

Ewolucja opracowała elegancki system motywujący nas do tego, by zaczynać dzień wtedy, gdy zyskamy najwięcej światła (i ciepła) emitowanego przez naszą gwiazdę. Jak wszystkie zwierzęta o dziennym trybie życia dopasowujemy nasz cykl dobowy do obrotu Ziemi wokół własnej osi. Gdy fotoreceptory w siatkówce oka wyczuwają poranne światło, informacja ta zostaje przekazana do szyszynki, gruczołu o niewielkiej masie i kształcie szyszki w głębi naszego mózgu. Szyszynka reaguje zmniejszeniem wydzielania „hormonu snu", melatoniny, co z kolei popycha nas do konkretnego zachowania – budzenia się.

W każdym razie tak to działało, zanim my, ludzie, przyzwyczailiśmy się do sztucznego światła. Ponieważ jednak szympansy trzymają się starego planu, musiałam zwlec się z łóżka, choć stężenie melatoniny było u mnie jeszcze wysokie. (…) Uzbrojona w kalosze, które miały mnie chronić przed mrówkami, błotem i czarnymi mambami, latarkę oraz maczetę (do przedzierania się przez zarośla) ruszyłam na spotkanie z moimi ugandyjskimi asystentami polowymi. Był to dla mnie kolejny dzień w tropikalnym lesie deszczowym, który spędzałam na wałęsaniu się za szympansami i robieniu notatek o ich życiu i zachowaniu w Parku Narodowym Kibale w zachodniej części Ugandy.

Po jakiejś godzinie wędrówki usiadłam pod jednym z drzew, na których w skonstruowanych wysoko poprzedniego wieczoru gniazdach spały szympansy. Próbowałam chłonąć każdy szczegół olśniewającej przemiany, jaka zachodziła właśnie w nocnym lesie. (…) Wyczekiwałam konkretnego dźwięku – charakterystycznego szelestu w górze, pierwszych ruchów budzących się szympansów.

Pod względem pierwszych porannych potrzeb szympansy niewiele różnią się od ludzi – muszą się załatwić. Ale podczas gdy my wychodzimy z łóżka i wleczemy się do łazienki, szympansy po prostu wystawiają tyłki poza gniazdo. Starałam się, jak mogłam, wyciągnąć rękę tak sprytnie, żeby schować się przed spływającym przez liście z wysokości ok. 10 m moczem, a jednak zebrać próbkę. Nie zawsze mi się to udawało. Moim narzędziem był długi kij z rozwidlonym końcem, do którego dowiązywałam plastikową torebkę. W ten sposób wnosiłam swój skromny wkład w pracę Kibale Chimpanzee Project polegającą na zbieraniu behawioralnych i psychologicznych danych na temat szympansów. Ta skarbnica informacji pozwala naukowcom zrozumieć źródła najróżniejszych zachowań. Najbardziej jednak interesowały nas takie zjawiska, jak seks, agresja i dominacja, czyli zachowania, na które wpływa testosteron, czy też, jak się o nim mówi w branży: T. (…) Pipetką ostrożnie przenosiłam tę odrobinę siusków, jaką udało mi się złapać, z torebki do probówki, która wracała do naszego obozu, żeby później powędrować do laboratorium endokrynologicznego na Harvardzie. (…)

Brutalne pobicie

Szympansy żyją w gromadach, które zwykle składają się średnio z 50-80 osobników. Do pewnego stopnia każda taka społeczność jest jak grupa ludzi mieszkających w miasteczku o jasno określonych, bronionych przed intruzami granicach i wrogich relacjach z sąsiednimi miasteczkami. Imoso, samiec alfa, był niczym burmistrz tego miasteczka. Społeczność

eprasa.pl 52d086bfa9

Najbardziej interesujące w badaniach Carole Hooven nad szympansami były seks, agresja i dominacja, czyli zachowania, na które wpływa testosteron.

Kanyawara była tylko jedną z wielu podobnych znajdujących się w przepastnym lesie nieopodal granicy z Demokratyczną Republiką Konga. Imoso był wybuchowy i despotyczny – z gatunku tych przywódców, którzy wywołują raczej strach niż sympatię. Na co dzień szympansy funkcjonują w mniejszych grupkach zwanych „partiami". Do moich zadań należało śledzenie jednej z takich partii. Kiedy w tej, za którą szłam, znajdował się Imoso, wiedziałam, że będzie dużo stękania, pokrzykiwania, zastraszania, uderzania, ciskania kijami i walenia się w pierś. Istniał jeden pewny sposób na podkręcenie atmosfery – płodna samica (w rui) w grupie. Mnóstwo seksu i jeszcze więcej agresji, gdy samce konkurowały o prawo do kopulacji.

W inne dni dramaty zdarzały się rzadziej, a czas upływał mi na obserwowaniu czułości i zabawy. Małe tuliły się, jadły, goniły rodzeństwo i krewnych albo z wyżyn pleców matek spoglądały sobie po królewsku na okolicę, gdy grupa przechodziła od jednego miejsca popasu do drugiego. Tak wyglądały dni, gdy szłam za partiami, w których nie było dorosłych samców.

Pewnego styczniowego dnia Imoso zdawał się spokojniejszy niż zwykle. Podjął nietypową dla siebie decyzję, że spędzi czas tylko z jedną samicą i dwojgiem jej małych dzieci. Opierając się o wysoki figowiec, otworzyłam notes. Outamba siedziała za Imosem na dużym zwalonym drzewie na polanie. Z wielką wprawą przeszukiwała jego gęste, ciemne futro, rozdzielając i przyklepując włosy, żeby znaleźć zanieczyszczenia i pasożyty, które zgrabnie usuwała, co smaczniejsze kąski pakując sobie do ust. Niemowlę Kilimi i jej starsza siostra Tenkere baraszkowały na rozgrzanej słońcem trawie.

Ogłuszający wrzask Outamby wyrwał mnie z letargu, serce zaczęło mi walić jak szalone. Zerwałam się na równe nogi. Imoso podskoczył, tak że teraz stał na zwalonym drzewie, okładał Outambę pięściami i kopał. Samica runęła na ziemię, a mała Kilimi czmychnęła w jej ramiona. Outamba przytuliła córkę, żeby ją uchronić przed ciosami, przez co odsłoniła grzbiet przed Imosem. Usiłowałam dokładnie zarejestrować, co się dzieje – co kto komu robi i jak długo (…). Po kilku minutach brutalnego ataku – najdłuższego i najpoważniejszego, jaki kiedykolwiek widziałam – Imoso chwycił wielki kij i zaczął nim okładać Outambę po głowie i grzbiecie. Tenkere, zaledwie trzyletnia szympansica, która miała mniej niż 60 cm wzrostu, podbiegła do Imosa i w obronie matki zaczęła piąstkami atakować olbrzyma. Lecz Imosowi wciąż było mało – nie wystarczyło kopanie, boksowanie i kij – zdobył się na jeszcze większą pomysłowość. Chwycił się gałęzi, tak że nogi zwisały mu swobodnie. Teraz mógł kopać samicę z o wiele większą siłą. Po dziewięciu szokujących wszystko minęło.

Outamba miała zakrwawione ciało na wrażliwym łysym zadku, ale przynajmniej nic się nie stało jej dzieciom i mogła z nimi odkuśtykać.

Mimo że wiedziałam, iż inni badacze byli świadkami długich – czasami nawet prowadzących do śmierci – ataków, dla mnie była to nowość. To, co widziałam, było druzgoczące, lecz jednocześnie – z naukowego punktu widzenia – ekscytujące i dezorientujące. Tak, duże samce rutynowo znęcają się nad dorosłymi samicami, ale dotąd widywałam tylko krótkie wybuchy agresji, które w porównaniu z tym zajściem wydawały się łagodne.

Richard Wrangham, światowej sławy prymatolog, który założył nasz obóz i nim zarządzał, akurat przyjechał do nas w tym tygodniu. Przebiegłam więc 3 km przez las, dopadłam do naszej stacji i opowiedziałam mu, co widziałam. Zasapana i przejęta zarzuciłam go pytaniami, ale on tylko wyciągnął rękę i uścisnął mi dłoń. Potem powiedział, że jestem pierwszym badaczem, który był świadkiem użycia takiej broni przez naczelnego innego niż człowiek w naturalnym otoczeniu. „Time" napisał o tym artykuł, dodając duże zdjęcie Richarda, mnie i już słynnego kija (który z łąki zabrał później asystent polowy). Tytuł artykułu brzmiał „Wife Beaters of Kibale" (Damscy bokserzy z Kibale). Wzdrygałam się na ten antropomorficzny nagłówek, a jednak trudno było zaprzeczyć podobieństwom między niepokojącym zachowaniem Imosa a przemocą domową wśród ludzi. Dlaczego to zrobił? Tamtego dnia nie potrafiłam znaleźć żadnej odpowiedzi na to pytanie. Znalazłam ją jednak później w badaniach na temat testosteronu i rozmnażania.

Demoniczne samce

Moja wyprawa do Ugandy bynajmniej nie przebiegała w linii prostej. Zainteresowanie ludzkim zachowaniem już w college'u pchnęło mnie w stronę psychologii. (…) Jak to bywa, gdy się ma licencjat z psychologii, wylądowałam w pracy z software'em finansowym. Powiedziałam sobie, że przycupnę tam na parę lat, żeby dać sobie czas na opracowanie wielkiego planu na życie. Wiele jeszcze musiałam się nauczyć, a ta praca była wygodna. I tak dwa lata przeszły w 10. Tymczasem chodziłam na wykłady, które przegapiłam podczas studiów – biologię molekularną i genetykę – i odkryłam, że wbrew temu, co mi się ubzdurało podczas wcześniejszych lat edukacji, naprawdę uwielbiam biologię. Podróżowałam po takich krajach jak Izrael, Tanzania, Kostaryka i Chiny i coraz bardziej ciekawiło mnie, skąd się bierze różnorodność kultur i ekologii na całym świecie. Czytałam też książki popularnonaukowe, w tym „Samolubny gen" Richarda Dawkinsa, dzięki któremu zrozumiałam, jak teoria ewolucji może pomóc mi odpowiedzieć na pytania o życie na Ziemi.

Głównym zadaniem testosteronu jest zapewnianie takiej anatomii, fizjologii oraz zachowania, które zwiększają szanse na rozmnażanie.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 52d086bfa9

Te doświadczenia sprawiły, że tym bardziej pragnęłam znaleźć głębokie, solidne wyjaśnienie ludzkiego zachowania, i w końcu zlały się w jedno wielkie pytanie: w jaki sposób ewolucja ukształtowała ludzką naturę? A potem przeczytałam książkę, która zasugerowała mi ścieżkę do znalezienia odpowiedzi – „Demoniczne samce. Małpy człekokształtne i źródła ludzkiej przemocy". Zafascynowała mnie nie tyle przemoc, ile podejście autorów, którzy postawili sobie ważkie pytania o to, jak to się stało, że jesteśmy tacy, jacy jesteśmy. Postanowiłam, że chcę robić to, co główny autor tej książki, czyli badać szympansy, żeby zrozumieć nas, ludzi, i nasze pochodzenie ewolucyjne. Rzuciłam więc pracę i złożyłam podanie na studia doktoranckie.

Pierwszym autorem książki, którą tak się zachwyciłam, był Richard Wrangham. Tak się szczęśliwie składało, że wykładał na Harvardzie, w moim rodzinnym mieście Cambridge w Massachusetts. Wysłałam mu więc entuzjastycznego mejla z podaniem. Pracował wówczas na wydziale antropologii biologicznej. Odmowna odpowiedź była dla mnie ogromnym rozczarowaniem. (…) Nie odpuściłam i w końcu Richard – teraz już byliśmy po imieniu – zaproponował mi wyjazd na rok do Ugandy, czyli udział w Kibale Chimpanzee Project. Założył ten obóz badawczy w 1987 r., żeby obserwować zachowania, psychologię i ekologię dzikich szympansów. Ja miałam zarządzać obozem i nauczyć się przeprowadzać samodzielne badania.

Seks i przemoc u dwóch gatunków naczelnych

I w ten właśnie sposób tamtego styczniowego dnia w 1999 r. znalazłam się w środku tropikalnego lasu deszczowego, łapiąc mocz szympansów i patrząc, jak wielki samiec bije drobną samicę, która usiłuje ochronić młode. Ta interakcja była dramatycznym przykładem kontrastowych wzorców zachowania, na które już przedtem zwróciłam uwagę – samice są stosunkowo spokojne i opiekuńcze, podczas gdy samce są agresywne i mają obsesję na punkcie seksu i hierarchii.

Patrzyłam, jak dorosłe samce uciekają się do agresji w rozmaitych sytuacjach i celach, ale tylko część tych przypadków dawała się łatwo wyjaśnić. Przemoc służyła im do tego, żeby pokazać, kto rządzi, i zdobywać coś, co określilibyśmy mianem szacunku. Jego brak mógł z kolei prowadzić do podważenia dominującej pozycji w stadzie. Przemoc stanowiła sposób na zwiększenie szans na należyty respekt w przyszłości. Dwa samce o zbliżonej pozycji mogły się pobić o okazję do seksu – wygraną stanowiła kopulacja z seksualnie atrakcyjną samicą (samice w rui, czyli te, które mogą zostać zapłodnione, stanowią centrum zainteresowania samców) – albo po to, by odstraszyć innych od swojej samicy (tzw. pilnowanie samicy).

Ale co z atakiem Imosa na Outambę w czasie, gdy nie była ona w rui? Jak później doszukałam się w literaturze przedmiotu, taka agresja zwykle zwiększa szanse na seksualną uległość samicy w przyszłości. Samce mają tendencję do atakowania tych samic, które są najbardziej atrakcyjne pod względem reprodukcyjnym, a samice preferują kopulację – a co za tym idzie, zachodzą w ciążę – z samcami, które były szczególnie względem nich agresywne. (Nie oznacza to, że przemoc mężczyzn wobec kobiet ma podobne podłoże ewolucyjne, a tym bardziej że takie zachowanie jest nieuniknione lub wybaczalne).

Duże samce szympansów rutynowo znęcają się nad dorosłymi samicami.

Nie znaczy to też, że każdy samiec szympansa jest tyranem albo że są one agresywne 24 godziny na dobę. Szympansy mają różne osobowości – niektóre są nieśmiałe, inne miłe, jeszcze inne brutalne. Duże samce, w tym Imoso, potrafią być łagodne i cierpliwe. Bawią się z młodymi, delikatnie się z nimi mocując i je podgryzając, tak że ich ciała stają się leśnymi odpowiednikami siłowni, i to nawet wtedy, gdy właśnie jest pora na drzemkę. Spędzają mnóstwo czasu w grupach z samicami, dziećmi i innymi samcami, wędrując z nimi, odpoczywając, jedząc i iskając się bez żadnej, albo prawie żadnej, przemocy. I choć nie zaobserwowałam dużo agresji u samic, wśród nich również ona występuje i bywa intensywna.

U ludzi sytuacja wygląda podobnie – są zdolni do bohaterskich czynów, czułości i szczodrości, ale również do przemocy i okrucieństwa. Każdego dnia spędzałam długie godziny w grupach tubylczych mężczyzn, w których byłam jedyną kobietą. Zawierzałam im moje życie. W tym samym czasie inni mężczyźni w tym samym regionie Afryki dopuszczali się brutalnych aktów przemocy. Co wieczór śledziłam w BBC World Service wiadomości ze świata. Roztrząsano wówczas historię samca alfa naszej planety – prezydenta Billa Clintona – i jego romans z młodą praktykantką w Białym Domu. Jak wielu mężczyzn przed nim i po nim Clinton zaryzykował wszystko dla kilku przelotnych doświadczeń seksualnych. Poza tymi ekscytującymi wątkami głównie jednak nasłuchiwałam wzmianek o kongijskich rebeliantach, bo usiłowałam oszacować, czy nie zbliżają się aby do naszego obozu badawczego. Tuż za miedzą, w Kongu, trwała wojna domowa, a cała okolica aż kipiała od przemocy. (…) W moim domku czułam się nocami średnio bezpiecznie, a własna maczeta pod poduszką stanowiła niewielkie pocieszenie.

Pewien straszny i nagłośniony atak w marcu 1999 r. spowodował w końcu ewakuację większości osób z Zachodu (w tym z Korpusu Pokoju). Rwandyjscy rebelianci wkroczyli do ugandyjskiego parku narodowego, ok. 400 km na południe od nas, zaatakowali granicę z Demokratyczną Republiką Konga. Udało mi się zostać w obozie badawczym jeszcze kilka miesięcy, w końcu jednak ambasada amerykańska zaleciła mi opuścić ten region ze względu na nasilenie się pogróżek oraz ruchy rebeliantów.

Po doświadczeniach w Ugandzie została mi ambicja, by dowiedzieć się więcej o wspólnej biologii ludzi i innych zwierząt w nadziei, że to pomoże mi wytłumaczyć, dlaczego samce i samice często tak bardzo

eprasa.pl 52d086bfa9

się od siebie różnią. Zapragnęłam zrozumieć mężczyzn. Testosteron wydawał się tu kluczem. (…)

Kilka słów o T

Testosteron obecny jest w naszej krwi w mikroskopijnej ilości. Produkują go wszyscy bez względu na płeć, ale mężczyźni mają go 10-20 razy więcej niż kobiety. Mimo tak nieznacznej obecności T zdołał zyskać imponującą reputację – przyćmiewając wszelkie inne substancje chemiczne w naszym organizmie. W końcu to T jest głównym androgenem, z greckiego *andros* – mężczyzna, i *genos* – pochodzenie, potomstwo. Podczas gdy chromosom Y determinuje płeć męską, T jest esencją męskości – w każdym razie w popularnym mniemaniu. Wszyscy zakładali, że Bill Clinton ma go mnóstwo. W przypadku Donalda Trumpa znamy nawet konkretne dane. (…) Zdaniem lewicowego „Huffington Post" prezydentura Trumpa jest „napędzana testosteronem", przez co jest „wyjątkowo niebezpieczna" i może prowadzić do wojny. Zdaniem prawicowego „American Spectator" problemu nie stanowi nadmiar testosteronu, ale jego niedobór u niektórych prominentnych konserwatystów: (…) W artykule z „Psychology Today" autor pisze o „klątwie testosteronu", gdy wysokie stężenie T powoduje „biologiczną potrzebę, która prędzej czy później będzie musiała zostać wyrażona". Według tego autora, choć nie możemy wybaczać seksualnych wybryków takim celebrytom, jak Harvey Weinstein, Bill Cosby i inni, musimy zrozumieć, że „mężczyźni to tylko zwierzęta, które, gdy są pod wpływem T, mają dużą trudność z postrzeganiem kobiet inaczej niż jednowymiarowo, jako przedmiot lubieżnej gratyfikacji".

A więc nie dość, że potężni mężczyźni obarczeni są klątwą hipermęskości, która prowadzi do wojny i gwałtu, wszystko to wina T, a my, kobiety, nic na to nie potrafimy poradzić, bo i tak to uwielbiamy! Wygląda na to, że zbyt wysokie stężenie T jest toksyczne, a zbyt niskie – kastrujące; jedynie idealne zapewnia wigor i sukces. Czy te stwierdzenia są w ogóle bliskie prawdy?

Testosteron bez wątpienia odpowiada za fizjologię i anatomię rozrodczą mężczyzn. To, czy odpowiada za coś więcej, stanowi przedmiot zażartych dyskusji. Eksperci zgadzają się co do tego, że głównym zadaniem testosteronu jest zapewnianie takiej anatomii, fizjologii oraz zachowania, które zwiększają szanse na rozmnażanie – przynajmniej w świecie zwierząt. Mężczyźni nie są wyjątkiem od tej reguły – T pomaga im się rozmnażać i pożytkować energię w taki sposób, żeby mogli konkurować o partnerki.

Testosteron odpowiada za fizjologię i anatomię rozrodczą mężczyzn. Czy odpowiada za coś więcej, stanowi przedmiot zażartych dyskusji.

Różnice między płciami

Różnice płciowe to po prostu różnice między samcami a samicami – wśród ludzi, szympansów czy innych gatunków – przy czym odnotowanie różnicy nie mówi nam nic o jej przyczynie. Niektóre różnice są niewielkie czy wręcz bez znaczenia. Inne różnice są zarówno duże, jak i znaczące. Mężczyźni mają o wiele silniejszą niż kobiety tendencję, by odczuwać pociąg seksualny do kobiet. Są bezsprzecznie bardziej agresywni fizycznie, i to w każdym zakątku ziemi i w każdym wieku. Przykładowo, są odpowiedzialni za ok. 70% wypadków samochodowych ze skutkiem śmiertelnym, 98% masowych strzelanin w Stanach Zjednoczonych oraz za 95% zabójstw i przemocy wszelkiego rodzaju, w tym napaści na tle seksualnym. Ważne, by zaznaczyć w tym miejscu, że prawie żadna cecha, która różni płcie, nie jest cechą zastrzeżoną wyłącznie dla samców lub samic. Kobiety także mordują, dopuszczają się napaści seksualnych. (…)

Różnice płciowe są wszędzie. Dużą różnicę płciową stanowi stężenie testosteronu na różnych etapach życia. Jaką rolę – jeśli w ogóle – ta różnica odgrywa względem innych? Jedną z niekontrowersyjnych ról T jest jego wpływ na wysokość ciała mężczyzn, czyli na to, że są oni średnio wyżsi od kobiet. Rola testosteronu w różnicach między płciami w bardziej złożonych zachowaniach, takich jak przemoc, jest jednak bardziej kontrowersyjna. W książce z 2019 r. Rebecca Jordan-Young, specjalizująca się w sprawach kobiet i seksualności profesorka gender studies, oraz antropolożka kulturowa Katrina Karkazis wyraziły sceptycyzm co do idei, jakoby testosteron miał znaczący wpływ na cokolwiek, co ma związek z różnicami płciowymi w zachowaniu. Według nich przekonanie, że „T napędza ludzką agresję", to „fakt-zombi", hipoteza, która zmartwychwstaje, mimo że zabito ją już wielokrotnie. W innej publikacji Jordan-Young pisze, że zdemaskowanie tego mitu jest kluczowe dla „zdenaturalizowania przemocy i otworzenia się na rozwiązania, do których będziemy mogli dążyć lub które będzie w ogóle można sobie wyobrazić".

Jeśli to nie wina T, oczywistą alternatywną hipotezą jest ta, która mówi, że wyższy poziom męskiej agresji jest głównie wynikiem socjalizacji. Jak ujmuje to Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne: „Socjalizacja pierwotna w zakresie społeczno-kulturowych ról płciowych dąży do podtrzymania kodów patriarchalnych poprzez oczekiwanie od mężczyzn zachowań dominujących i agresywnych". (…) Im dłużej analizowałam kwestię testosteronu u ludzi i innych zwierząt, tym bardziej umacniałam się w przekonaniu, że socjalizacja stanowi jedynie część historii. Doszłam do wniosku, że T odgrywa u ludzi główną rolę w różnicach między płciami, i nie mówię tu tylko o cechach fizycznych. Lecz, jak miałam wkrótce się przekonać, wyrażanie takiego poglądu też wiąże się z pewnymi niebezpieczeństwami.

Fragmenty książki Carole Hooven *T jak testosteron*, przeł. Maria Smulewska, Rebis, Poznań 2024

eprasa.pl 52d086bfa9

U Madziarów na Żytniej Wyspie

W poszukiwaniu utraconej węgierskości

Chrystian Ślusarczyk
Korespondencja ze Słowacji

Lato u Madziarów jest naprawdę ciepłe, a słoneczna i upalna pogoda czynią z węgierskich kurortów namiastkę krajów śródziemnomorskich. Ale część turystów, nie tylko znad Wisły, od jakiegoś czasu omija Węgry z powodów polityczno-finansowo-moralnych. Zdarza się, że kluczową rolę w wyborze „jechać czy nie jechać" odgrywa polityka i wizja świata Viktora Orbána, którą trudno zaakceptować. Mimo że Budapeszt kusi akcjami promocyjnymi, niechęć przed zostawianiem na Węgrzech pieniędzy okazuje się dla części z nas na tyle silna, by – przynajmniej na jakiś czas – bratanków nie odwiedzać.

Kierunek węgierski zastępujemy więc innymi, w stronę krajów o podobnym klimacie i zbliżonych walorach turystycznych. A te znajdziemy m.in. na Słowacji, konkretnie na Żytniej Wyspie. W rejonie, który wbrew pozorom nie jest miejscem styku kultury słowackiej i węgierskiej. To praktycznie węgierska wyspa, gdzie silne tradycje macierzy mogą zadziwiać.

Między Dunajami

Słowacja jest bardzo urozmaicona krajobrazowo. Wysokie Tatry i górzysta północ kontrastują z południem i Niziną Naddunajską. Nad największą, międzynarodową rzeką Europy czekają na nas takie same widoki i klimat jak na Węgrzech czy na pograniczu rumuńsko-bułgarskim. Bezkresne pola słoneczników, przeplatane winnicami oraz coraz częstszymi figowcami każą sądzić, że Csallóköz, czyli Żytnia Wyspa, to niemal południe Europy.

Wyspa leży pomiędzy Małym (na północy) a Wielkim Dunajem, stanowiącym granicę z Węgrami. Ta największa rzeczna wyspa w Europie z północy na południe ma 15-30 km szerokości i ciągnie się przez 84 km. Nie brakuje tam kanałów, rzecznych odnóg i jezior przyciągających wiele gatunków ptaków.

Tessék albo prosím

Całe niemal południe Słowacji, od Bratysławy po Koszyce, zamieszkiwane jest przez Węgrów – najliczniejszą tam mniejszość narodową. Według ostatniego spisu powszechnego (2021) język węgierski jako ojczysty zadeklarowało 456 154 obywateli Słowacji (7,75%). Nowość – 34 tys. mieszkańców stwierdziło, że „czują się mieszanką narodowości węgierskiej i innej", czyli zapewne romskiej.

Całe niemal południe Słowacji, od Bratysławy po Koszyce, zamieszkiwane jest przez Węgrów – najliczniejszą mniejszość narodową.

Na Żytniej Wyspie znacznie częściej słyszymy węgierski niż słowacki. Dotyczy to zarówno osób starszych, jak i młodych. Dziś ten obszar Słowacji może stanowić wzór, jak skutecznie i bezkonfliktowo realizować potrzeby dwujęzyczności. Tym bardziej że w niektórych miejscowościach na wyspie musimy mówić o potężnej węgierskiej… większości. W Gabcikowie (Bős) odsetek osób uznających się za Węgrów przekracza 90%. W Wielkim Mederze (Nagymegyer) – 85%, a w Dunajskiej Stredzie (Dunaszerdahely) – 80%. Choć wydawać by się mogło, że Bratysława realizuje potrzeby Węgrów, ci i tak od lat domagają się poprawy finansowania węgierskiego szkolnictwa (w regionie działają dziesiątki szkół z węgierskim językiem wykładowym), kultury, związków zawodowych i ugrupowań politycznych.

Od 2012 r. na Żytniej Wyspie i całym niemal południu Słowacji obowiązują dwujęzyczne tablice. Muszą się pojawić, gdy dana miejscowość zamieszkiwana jest przez ponad 20-procentową mniejszość. Gdy w 2012 r. podjęto decyzję o wprowadzeniu dwujęzycznych tablic drogowych, te w języku węgierskim miały mniejsze wymiary od słowackich. Protesty mniejszości węgierskiej uwzględniono w roku 2018, ujednolicając wielkość tablic.

Warto jednak pamiętać, że mniejszość węgierska bywała zarzewiem sporów między władzami Węgier i Słowacji. W roku 2006 dochodziło do utarczek słownych między politykami obu państw i do odwoływania wzajemnych wizyt. A w związku z obawami o węgierski separatyzm rząd Roberta Ficy postanowił nie uznawać Kosowa. Stałym problemem jest kwestia podręczników do geografii, które – wskazują Węgrzy – nie zawsze zawierają nazwy węgierskie.

Ale na Żytniej Wyspie z dwujęzycznością mamy do czynienia na każdym kroku. Gdy wchodzimy do sklepu czy pytamy o drogę, nasz rozmówca zagadnie nas po węgiersku, czyli *tessék*, albo słowacku – *prosím*. Dla większości miejscowych forma węgierska jest łatwiejsza. I bliższa ich sercu.

Baseny, rowery, csárdy

Żytnia Wyspa zwana jest też Kukkonią. Według legendy była często najeżdżana przez Tatarów. Odgłos

eprasa.pl 52d086bfa9

Jeden z basenów we wsi Topoľníky na Żytniej Wyspie.

Typowa węgierska csárda na wyspie.

Pomnik przed stadionem w Dunajskiej Stredzie nawiązuje do tragicznego dla Węgier traktatu z Trianon.

kukk miał być wydawany przez żabę o imieniu Bombina. Mieszkańcy próbowali „kukkać", czyli naśladować jej głos, ostrzegając o zbliżającym się wrogu. Żab i innych wodnych lokatorów na Kukkonii nie brakuje. Bo codzienność mieszkańców wyspy od zawsze była związana z wodą. Mały Dunaj i właściwa, większa odnoga dostarczały wody pitnej, pożywienia, ułatwiały transport. Wyspa to raj dla amatorów sportów wodnych, a czyste wody odnóg kuszą kajakarzy. Region przyciąga także rowerzystów. Trasy wzdłuż Dunaju o zerowej różnicy wzniesień nadają się właściwe dla wszystkich. To samo dotyczy cyklostrad w głębi wyspy, np. trasy rowerowej wokół Dunajskiej Stredy, nawet latem niezbyt licznie uczęszczanej.

Wyspa oferuje kilka świetnych ośrodków z wodami termalnymi. Latem warto korzystać przede wszystkim z basenów zewnętrznych. Atrakcyjny pod wieloma względami jest Thermalpark w Dunajskej Stredzie. W wielohektarowym parku znajduje się 10 basenów, zarówno zwykłych, jak i tych z leczniczymi wody termalnymi (pobieranymi z głębokości 1,6 km) i czyste jezioro – w sierpniu nagrzane do 30 st.!

Większym i bardziej znanym kompleksem basenów (choć Polaków trudno tam spotkać) jest Thermal Corvinus Veľký Meder – największe kąpielisko termalne na Słowacji. Od Dunajskiej Stredy dzieli je zaledwie 15 km. Rozwijający się kompleks, który otacza 100-hektarowy dębowy las, zajmuje powierzchnię ponad 10 ha. Thermal Corvinus, który już na wejściu zaskakuje budowlami przypominającymi świątynie różnych religii, to aż 13 basenów. Mimo że w lipcu i sierpniu z kompleksu jednocześnie korzystają tysiące letników, nikt nie narzeka na ścisk. Szczególnie dotyczy to basenu o wymiarach olimpijskich, w którym nawet w sierpniowe dni pływa po kilka osób.

Ale ci, którzy chcieliby poczuć, że wypoczywają w kompleksie basenów przeznaczonym wyłącznie dla nich, powinni się wybrać do wioski Topoľníky (Nyárasd), także 15 km od Dunajskiej Stredy. Tłumy,

eprasa.pl 52d086bfa9

brak wolnego leżaka czy parasola to w tym miejscu sytuacja nieznana. Kilka basenów z wodą leczniczą, otoczonych zielenią i kwiatami, rzadko bywa obleganych. A nowy spory basen ze sztuczną falą na drugim końcu kąpieliska to raj dla najmłodszych. Nawet w środku lata może się zdarzyć, że będziemy jego... jedynymi użytkownikami. W tym sezonie basen zyskał prawdziwie śródziemnomorski charakter – posadzono przy nim 10 palm.

Dwujęzyczność – wyróżnik Żytniej Wyspy.

A co robić, kiedy na południu Słowacji mimo wszystko trafi się dzień z gorszą pogodą? Można wybrać się do Gabčíkova. W pobliżu tego naddunajskiego miasteczka w roku 1992 została otwarta zapora wodna. Ma ona chronić przed powodzią oraz wytwarzać energię elektryczną. Turyści z podziwem patrzą na przepływające przez śluzy statki wycieczkowe, które raz znajdują się kilkadziesiąt metrów pod nami, by pod chwili wraz z poziomem podnoszącej się wody pojawić się wyżej.

Inną propozycją na pogodowe grymasy w rejonie Żytniej Wyspy może być wizyta w Danubianie. Na sztucznie zbudowanym na Dunaju półwyspie, na południe od Bratysławy powstało Danubiana Meulensteen Art Museum, jedno z najbardziej romantycznych muzeów sztuki współczesnej w Europie. Jego założycielami są holenderski kolekcjoner sztuki Gerard H. Meulensteen oraz słowacki marszand Vincent Polakovič. Od roku 2000, w którym otwarto muzeum, zaprezentowano w nim dziesiątki wystaw. Unikatowe położenie, z widokami na rozszerzający się w tym miejscu Dunaj czyni z Danubiany jedno z najciekawszych miejsc w rejonie Żytniej Wyspy.

Jednym z wyznaczników węgierskości Żytniej Wyspy są wszechobecne csárdy, czyli lokale ludowe z typowo madziarskim menu, rzecz jasna w dwóch językach. Ich wystrój sprawia, że czujemy się niczym w sercu Węgier. Takie csárdy znajdziemy zarówno przy głównych drogach, jak i przy starych młynach wodnych w okolicach Małego Dunaju. Zupy rybne, paprykarz z suma czy ostry perkelt to tylko skrawek bogactwa węgierskiej kuchni na południu Słowacji.

Prowęgierska piłka

„Més que un club", czyli „Więcej niż klub" – tak brzmi hasło FC Barcelony. Istotnie, rola Barçy wybiega daleko poza jej funkcje i znaczenie sportowe. Tak też dzieje się w przypadku znacznie mniej znanego klubu DAC 1904 Dunajska Streda w sercu Żytniej Wyspy. Powstał w roku 1904 jako Dunaszerdahelyi Atlétikai Club, gdy Słowacja była częścią Austro-Węgier. Choć barwy klubowe to niebieski i żółty, kibice DAC 1904 często noszą też narodowe flagi węgierskie oraz szaliki w tych kolorach, a na banerach widnieją jedynie węgierskie hasła. Bywa, że na meczach słowackiej ekstraklasy kibice innych słowackich drużyn nie mają pojęcia, o co chodzi fanom z Dunajskiej Stredy! Dziś kierownictwo klubu to Madziarzy. Słowacy nie tak dawno byli świadkami prób zablokowania wszelkich dążeń fanów DAC 1904 do węgierskości. Poseł Słowackiej Partii Narodowej Dušan Tittel, gdy usłyszał, że 10 tys. kibiców w Dunajskiej Stredzie odśpiewało hymn Węgier, wystąpił z propozycją ustawy, która śpiewanie zagranicznych hymnów na zawodach uzna za przestępstwo. Na to prezes DAC 1904 Oszkár Világi oświadczył, że będzie wspierał i kibiców, i ich prowęgierskie zwyczaje.

Od jakiegoś czasu media nie informują, by węgierskość fanów DAC 1904 stwarzała poważniejsze problemy. Nie zawsze tak było. Jesienią 2008 r. na stadionie w Dunajskiej Stredzie doszło do starć na tle etnicznym. W odpowiedzi na stłumienie zajść przez słowacką policję na kilka godzin zablokowano drogi z Żytniej Wyspy na Węgry.

Kibice DAC 1904 zasłynęli ze śpiewanej przed meczami pieśni „Nélküled" (Bez ciebie). „Bez ciebie", czyli „bez Węgier", bez ojczyzny, „matki", która została im zabrana. Fani klubu śpiewają także o miłości i tęsknocie do ojczyzny, którą nie jest Słowacja. „Nélküled" wybrzmiewa także przed meczami reprezentacji Węgier w Budapeszcie. Tak było też na ostatnim Euro w Niemczech.

O przywiązaniu władz, mieszkańców i kibiców do historii świadczy usytuowanie tuż przy stadionie DAC 1904 pomnika traktatu z Trianon z 4 czerwca 1920 r. To zdaniem Madziarów smutne i haniebne wydarzenie, na którego mocy terytorium Węgier zmniejszyło się o dwie trzecie, a ludność o 57% (z 18,2 mln do 7,9 mln). Dla nas traktat sprzed 104 lat to historyczna ściąga, wskazówka, że na Słowacji i w wielu innych miejscach Europy wciąż znajdziemy najprawdziwszą węgierskość.

Żytnia Wyspa może stanowić wzór, jak skutecznie i bezkonfliktowo realizować potrzeby dwujęzyczności.

Chrystian Ślusarczyk

FOT. CHRYSTIAN ŚLUSARCZYK

eprasa.pl 52d086bfa9

Opowieść o innej cywilizacji

Przetoczyła się przez media sprawa byłego pisowskiego wiceministra spraw zagranicznych Pawła Jabłońskiego. Otóż dowiedzieliśmy się, że Jabłoński łamał wewnętrzne rozporządzenia MSZ i samowolnie dysponował państwowymi pieniędzmi. Milionami. Konkretnie chodzi o program „Pomoc humanitarna 2023", który ogłoszono w kwietniu zeszłego roku, a w zarządzeniu ministra ustalono zasady przyznawania grantów. Do rozpatrywania wniosków została powołana komisja konkursowa i w lipcu 2023 r. wiceminister otrzymał od niej notatkę z rekomendacją na udzielenie dotacji dziesięciu projektom. Dlaczego Jabłoński? Z prostego powodu – jako wiceminister te sprawy nadzorował.

W zasadzie w tym momencie sprawa powinna zostać zamknięta. Na zachodzie Europy system przyznawania grantów, czyli dysponowania publicznymi pieniędzmi, jest bardzo restrykcyjny, podobnie jak rola nadzorującego. Ale to była Polska PiS. Więc Jabłoński, wiemy to z raportu NIK, wydał swojemu asystentowi polecenie, by zmienił wyniki pracy komisji. Żeby dotacje dostały inne podmioty. Asystent napisał zatem do komisji mejla – zaproponował w nim rozstrzygnięcie konkursu. Jakie? Umieścił w nim swoich zwycięzców (może nie swoich, tylko wiceministra Jabłońskiego). W tej nowej dziesiątce tylko trzy podmioty były wcześniej rekomendowane przez komisję.

I jak to się skończyło? Ano tak, że 7,2 mln zł otrzymały organizacje z mejla asystenta Jabłońskiego. Na przykład takie jak Stowarzyszenie Bezpieczna Lubelszczyzna, które w konkursie dostało od komisji 0 punktów na 100 możliwych. Dodajmy, owo stowarzyszenie zasłynęło z akcji billboardowej przedstawiającej polityczki PiS. Inni „zwycięzcy" konkursu to Fundacja Klaster Innowacji Społecznych, kierowana przez działacza nieistniejącej już partii Adama Bielana (dostała 412 tys. zł na projekt dotyczący Ukrainy) czy też Stowarzyszenie Katolickie Przyjaźń Jaworznicka.

W tej sprawie pojawia się więc kilka pytań, w tym zasadnicze: po co minister Rau pisał regulamin konkursu, powoływał komisję konkursową itd., skoro wiceminister wydał pieniądze po uważaniu? On sam twierdzi, że po dokładnej analizie, co brzmi jak kolejna pisowska kpina.

Żeby była jasność – informacja o 7 mln (z kawałkiem), które Jabłoński rozdał, jak chciał, nikogo w MSZ nie zaskoczyła. To człowiek związany z Ordo Iuris, który z MSZ i dyplomacją ma tyle wspólnego, że był wiceministrem. Nie ma więc zielonego pojęcia o tym, jak pieniądze publiczne przyznawane są chociażby w Unii Europejskiej – że są komisje konkursowe, niezależni eksperci, a rolą nadzorcy (wiceministra, dyrektora generalnego itd.) jest pilnowanie, by wszystko było jak najbardziej correct. A takie rzeczy jak jakieś sugestie są w ogóle niedopuszczalne. Nie mówiąc o mejlach i samodzielnym układaniu listy „zwycięzców".

Cóż, panie były wiceministrze Jabłoński… Do pewnych spraw trzeba mieć wiedzę i ogólną ogładę (urzędniczą również). Przekonanie, że „mnie wszystko wolno i jestem bezkarny", to inna cywilizacja.

Attaché

Słoń nie w składzie porcelany, ale w szklanym basenie. Fuji Safari Park w japońskim mieście Susono. 8 sierpnia 2024 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 52d086bfa9

JOLKA

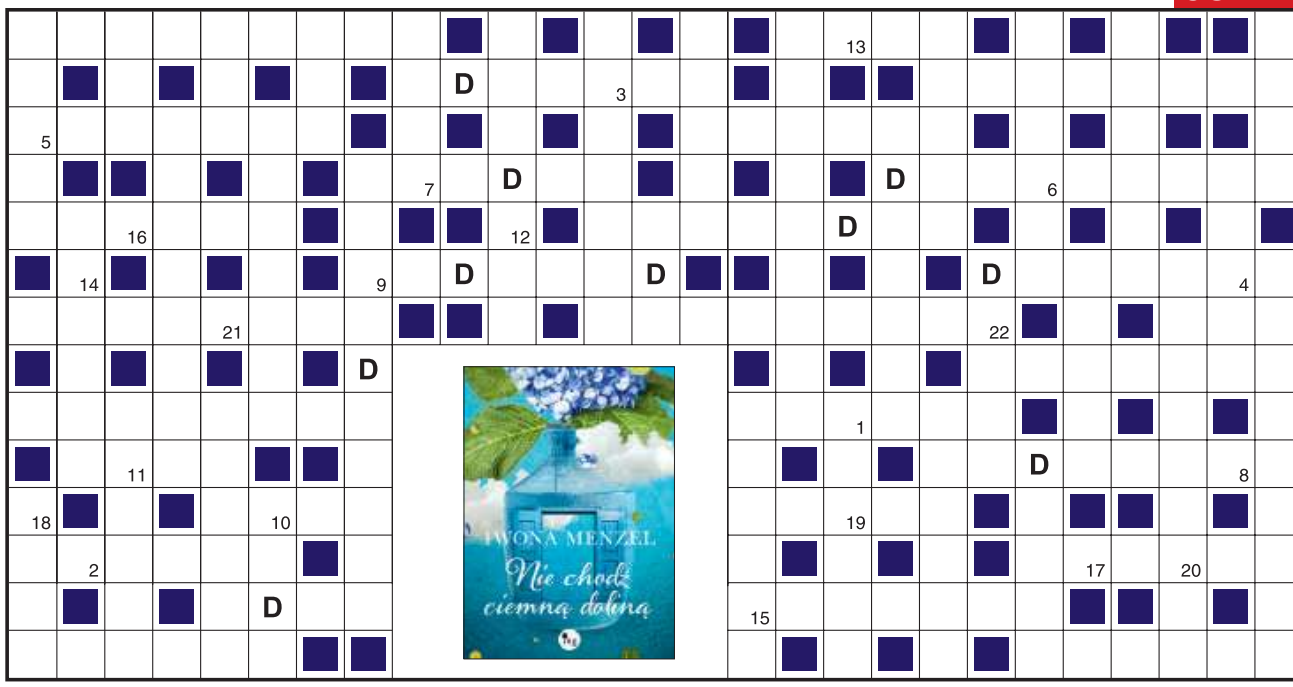

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery D ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- dziewczęca wersja Adasia Niezgódki
- starszy asystent po awansie
- płacone po rozwodzie
- równoległość cech, podobieństwo
- kwestionariusz
- masyw wulkaniczny na Wyżynie Armeńskiej
- z jej cierpkich jagód przetwory
- różanecznik
- z niego i wodoru amoniak
- miejsce bezpiecznego pobytu
- Atena lub Hekate
- wieloletnia roślina zielna
- unieważnienie zgody, akredytacji
- dawna czterogroszówka
- potrawa stawiana na stole
- nadwyżka wydatków nad przychodami
- szczegół, drobiazg
- kopalna małpa człekokształtna
- nauka o moralności
- dźwięk jako uzupełnienie wizji
- do bramki wbija krążek
- dla niej – dla wyższych celów
- kosaciec
- cienka, sucha kiełbaska
- klacz Piłsudskiego
- złota i tak jest więzieniem
- maleńka rozpórka
- przyprawa do kiszonej kapusty
- srebrne nitki na choince
- poradlne nim zastąpione
- malarz Rothko, polityk Rutte
- i wisior, i kotlet
- grążel spod pędzla Moneta
- mania, natręctwo
- pętle sieci
- papier listowy plus koperty
- małpa z wierszyka Brzechwy
- i muzyczny, i belka pod szynami
- mody, musztry, fajerwerków
- spodnie potocznie
- bar z piwem i zakąskami
- dobra lub Ministrów
- „…Bałtyku”, film Buczkowskiego
- z Lechem i Czechem
- pole po skoszeniu zboża
- podopieczny trenera Grbicia
- trofeum zdarte z głowy
- połączenie spod palnika
- trzódka, czeredka
- siedziba władz powiatu
- sportowiec kolega Aleksandry Jareckiej
- neapolitański taniec ludowy
- kartofli na placki lub chrzanu
- brzmienie głosu, instrumentu
- ognisko juhasów
- decyzja jurorów
- zakładane przez kłusownika
- okucie do mocowania okna
- bufor
- leśny kot

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1182”. Do rozlosowania książki „Nie chodź ciemną doliną” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 18 sierpnia 2024 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1179” z nr. 30: *Grzeczny ma wytrych do serca.* Nagrody otrzymują: Alicja Jasińska z Ełku, Beata Kordon z Tychów, Józef Maskiewicz z Rybnika.

eprasa.pl 52d086bfa9

ALBO-ALBO

Objaśnienia zostały podane pod wspólnym oznaczeniem. Zdecyduj, do którego diagramu wpisać odgadnięte słowo.

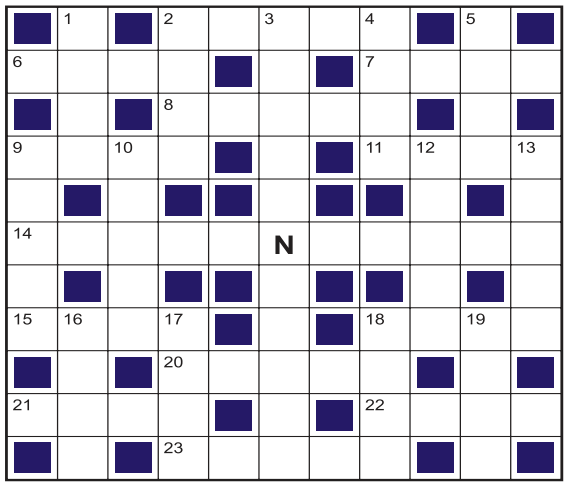

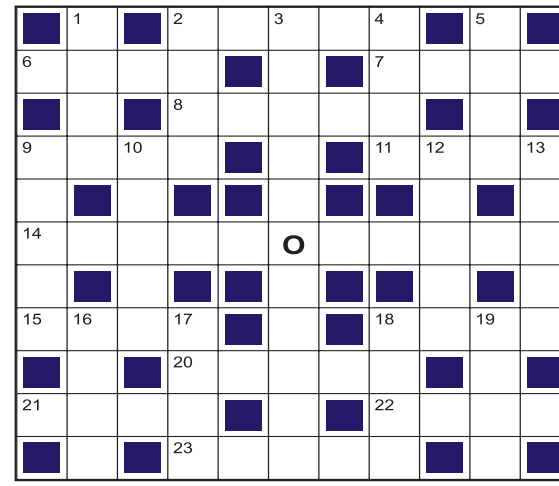

Poziomo:
2) torbacz na eukaliptusie ■ wodze
6) Marsowe w Paryżu ■ nad powieką
7) nieuprawiana ziemia, odłóg ■ klatka piersiowa
8) włókno na pończochy ■ z nim – silnie, gwałtownie
9) naszyta na dziurę ■ muzyka z USA po spolszczeniu
11) jak… w pacierzu ■ wybitny egzemplarz
14) element zwiększający wytrzymałość ■ wpisywanie wpływów i wydatków
15) z jądrem i elektronami ■ maszyna w tartaku
18) nurkowie szukają w nim skarbów ■ wódka z ryżu
20) nowo obrany na urząd ■ coś absolutnie doskonałego
21) do wody to nur ■ polska ciężarówka
22) znak i tytuł horroru ■ góry, gdzie latają kondory
23) ogórkowy w mediach ■ tkanina z Wawelu

Pionowo:
1) dzielnica stolicy lub Stalowa ■ broń, uzbrojenie
2) zgaduj-zgadula ■ pieniężna wartość czegoś
3) mierzy natężenie prądu ■ do mierzenia słabych prądów
4) wulkan na Sycylii ■ osobowe cztery kółka
5) piękną masz, matulu moja ■ trójkątny ser pleśniowy
9) truskawka jak złota moneta ■ „…androidów”
10) powolne lub zawrotne ■ imię Orzeszkowej
12) imię Rusin ■ zakłada ładunki wybuchowe
13) szkołoodporny ■ kurze… to pięciornik
16) jedna drugą myje ■ film Maliszewskiej z Lubosem
17) imię Zimińskiej-Sygietyńskiej ■ ciasto z bakaliami
18) …wyższej konieczności ■ o niego – omal, blisko
19) cynkowiec Cd ■ Fobos i Dejmos jego synami

SUDOKU

W każdym rzędzie, w każdej kolumnie i każdym kwadracie 3 x 3 powinno się znaleźć 9 różnych cyfr od 1 do 9.

ŁATWE

8							3	
			2			9		7
		2			3	1		
	3	8	4	9		7	5	
1		6	5					3
	4	9		3				8
9		5				2		4
	2	1		4				5
4						3		

ŚREDNIE

	2		5	8		9		
9							8	
				7				
4	9	6		2	7	1		
		8	1		5			6
			8		9	2		
8						7	2	4
			4	3		8	1	
				9	8			

TRUDNE

3		2						4
6		8				9		
				2	6		8	
7				9	3			6
		5	2					3
			5			8		7
			6		8			5
2			3	4				
		1				4		

20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo – to myśl, której autorem jest Tennessee Williams.

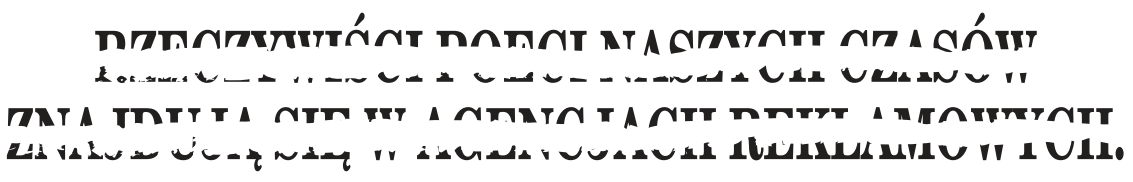

Rozwiązania na s. 65

eprasa.pl 52d086bfa9

PENETRACJE

CZESŁAW SIEKIERSKI,
MINISTER ROLNICTWA I ROZWOJU WSI

Zmiany w Zielonym Ładzie zostały wprowadzone dzięki naciskowi ze strony rolników w formie ich protestów. Dodać do tego trzeba nasze interwencje. Zmiany wychodzą naprzeciw postulowanym przez Polskę uproszczeniom oraz w dużej mierze odpowiadają na potrzeby rolników wyrażane w czasie protestów. Podczas naszej prezydencji, którą będziemy pełnić od 1 stycznia do końca czerwca 2025 r., będziemy zabiegać o dalszy przegląd wymogów Zielonego Ładu.

PROF. KRZYSZTOF WOŹNIAKOWSKI,
LITERATUROZNAWCA

Ukazanie się 100. numeru popularnonaukowego kwartalnika Rady Wojewódzkiej Towarzystwa Kultury Świeckiej w Krakowie „Forum Myśli Wolnej", obecnie jednego z nader dziś nielicznych periodyków otwarcie deklarujących się jako laickie, wolnomyślicielskie i antyklerykalne, skłania do refleksji rocznicowych. Autor tych słów, aktualnie przewodniczący Rady Programowej pisma, ciała doradczego wobec właściwej redakcji, od czasu objęcia tej funkcji w 2020 r. przygotowuje corocznie syntetyczne oceny kwartalnika. 25 lat jak dotąd, niekiedy trudnych i burzliwych lat obecności „Forum" na rynku wydawniczym niewątpliwie zasługuje na fachowe ujęcie historycznoprasowe i precyzyjne określenie miejsca kwartalnika na mapie powojennego czasopiśmiennictwa laickiego. (…) Wszystko zaczęło się od skromniutkiego 32-stronicowego zeszyciku wydanego w III kwartale 1999 r. pod redakcją znanego już wówczas krakowskiego literata, działacza kulturalnego i wydawcy Stanisława Franczaka.

MAREK PALCZEWSKI,
MEDIOZNAWCA

Piotra Nisztora, dziennikarza „Gazety Polskiej", można nazwać cynglem Kamińskiego i Wąsika, a także agentem CBA. Tak pisał o nim Jan Piński, redaktor naczelny Wieści24.pl. Nisztor oskarżył go o zniesławienie. Sąd w pierwszej instancji uznał, że Piński nie zniesławił Nisztora – tego samego, który roznosił taśmy kelnerów z restauracji Sowa i Przyjaciele po zaprzyjaźnionych redakcjach i który potem otrzymał nagrodę Watergate za dziennikarstwo śledcze od Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Wówczas protestowałem przeciwko tej decyzji, bo uważałem, że publikacja tych taśm nie miała nic wspólnego z dziennikarstwem śledczym, a z dzisiejszej perspektywy można podejrzewać, że była zaplanowaną operacją służb specjalnych. Nisztor znany jest również z taśm Obajtka, z których dowiadujemy się, że ówczesny prezes Orlenu zapewniał dziennikarza, że jego żona i ojciec dostaną pracę w koncernie.

AGNIESZKA GROCHOWSKA,
AKTORKA

Odważnie pokazujesz się w scenach seksu, nago. Myślisz czasem: gdzieś jest granica?

– Granica pokazywania ciała? Sprawa nie jest prosta. Długo nam wmawiano: sceny seksu? To normalne. Jesteśmy aktorami, dostajemy zadanie i wszystko okej. Potem pojawili się koordynatorzy i koordynatorki scen intymnych. Uznano, że pomoc jednak jest potrzebna. To wszystko wciąż jest niepozbierane, jeszcze nie znaleźliśmy odpowiedniej formuły. Ale… to jednak nie są zwykłe sceny. Choć w naszej pracy właściwie cały czas się obnażamy – w obecności innych pokazujemy, jak przechodzą przez nas emocje. Często balansujemy na emocjonalnej granicy. Robię to tyle lat, ale nie umiem powiedzieć, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy kreacja.

FOT. AMEM(3), KRAINA MEMAMI PŁYNĄCA

eprasa.pl 52d086bfa9

ROZWIĄZANIA

■	W	■	C	U	G	L	E	■	B	■
P	O	L	E	■	A	■	T	O	R	S
■	L	■	N	Y	L	O	N	■	I	■
Ł	A	T	A	■	W	■	A	M	E	N
O	■	E	■	■	A	■	■	I	■	I
W	Z	M	O	C	N	I	E	N	I	E
C	■	P	■	■	O	■	■	E	■	U
A	T	O	M	■	M	■	W	R	A	K
■	A	■	I	D	E	A	Ł	■	R	■
S	T	A	R	■	T	■	O	M	E	N
■	A	■	A	R	R	A	S	■	S	■

■	O	■	K	O	A	L	A	■	C	■
B	R	E	W	■	M	■	U	G	Ó	R
■	Ę	■	I	M	P	E	T	■	R	■
D	Ż	E	Z	■	E	■	O	K	A	Z
U	■	L	■	■	R	■	■	I	■	I
K	S	I	Ę	G	O	W	A	N	I	E
A	■	Z	■	■	M	■	■	G	■	L
T	R	A	K	■	I	■	S	A	K	E
■	Ę	■	E	L	E	K	T	■	A	■
S	K	O	K	■	R	■	A	N	D	Y
■	A	■	S	E	Z	O	N	■	M	■

ŁATWE

8	1	4	9	6	7	5	3	2
6	5	3	2	1	4	9	8	7
7	9	2	8	5	3	1	4	6
2	3	8	4	9	6	7	5	1
1	7	6	5	8	2	4	9	3
5	4	9	7	3	1	6	2	8
9	6	5	3	7	8	2	1	4
3	2	1	6	4	9	8	7	5
4	8	7	1	2	5	3	6	9

ŚREDNIE

6	2	4	5	8	3	9	7	1
9	5	7	2	1	6	4	8	3
3	8	1	9	7	4	5	6	2
4	9	6	3	2	7	1	5	8
2	7	8	1	4	5	3	9	6
5	1	3	8	6	9	2	4	7
8	3	9	6	5	1	7	2	4
7	6	5	4	3	2	8	1	9
1	4	2	7	9	8	6	3	5

TRUDNE

3	9	2	8	7	1	6	5	4
6	1	8	4	3	5	9	7	2
5	4	7	9	2	6	3	8	1
7	8	4	1	9	3	5	2	6
9	6	5	2	8	7	1	4	3
1	2	3	5	6	4	8	9	7
4	7	9	6	1	8	2	3	5
2	5	6	3	4	9	7	1	8
8	3	1	7	5	2	4	6	9

RZECZYWIŚCI POECI NASZYCH CZASÓW ZNAJDUJĄ SIĘ W AGENCJACH REKLAMOWYCH.

Aby język giętki…

ADAM MICHNIK O POWSTANIU WARSZAWSKIM
Sens tej lekcji polegał na klarownej wiedzy o osamotnieniu Polski. Lekcja nie została zapomniana.

IGA ŚWIĄTEK O OLIMPIADZIE
Presja i napięcie były ogromne. Nigdy czegoś takiego nie czułam.

JEAN-LUC MÉLENCHON O POLITYKACH AMERYKAŃSKICH
Jesteśmy naiwni. Większość amerykańskich przywódców nie wie nawet, gdzie leżą nasze stolice. To często prostacy.

AGATA PASSENT O OJCU DANIELU
Tata bojkotował jedzenie w czasie transmisji sportowych. Tam pot, krew i łzy, a my tu z sałatką owocową, skandal.

KRZYSZTOF PIASECKI O PUBLICZNOŚCI
Poziom cały czas idzie w dół. Wystarczy włączyć telewizję.

ANDRZEJ SEWERYN O MEDIACH
Zakładam, że w jakiejś mierze zawsze jestem manipulowany.

MAGDALENA POPŁAWSKA O PLANACH
Chcę bardziej siebie kochać, doceniać, nie osądzać, nie obwiniać.

JANUSZ CHABIOR O POCZUCIU HUMORU
Trochę się już w życiu nasmuciłem, teraz korzystam z każdej okazji, by się uśmiechnąć. Lubię podkolorować sobie świat.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Małgorzata Fiejdasz-Kaczyńska m.fiejdasz@tygodnikprzeglad.pl
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 52d086bfa9

WYBRANE DYPLOMY ASP W WARSZAWIE. Handle with care

Tegoroczna koncepcja kuratorska, przygotowana przez studentów II roku Wydziału Badań Artystycznych i Studiów Kuratorskich, nie skupia się na konkretnych tematach prac, lecz na ich wzajemnych relacjach i warstwach, ukazując nieustanny proces ewolucji. Centralnym pytaniem, jakie stawiają eksponowane dzieła, jest poszukiwanie własnego miejsca w dynamicznym świecie oraz przygotowanie się na nieuchronne zmiany.

Prace eksponowane na tegorocznej wystawie nie są jedynie rezultatem studiów na uczelni artystycznej, lecz stanowią integralną część twórczego życia absolwentów. Wystawa ma być postrzegana jako kolejny etap w ich rozwoju, który otwiera nowe możliwości. Podczas „UpComing 2023. Wybrane dyplomy ASP w Warszawie. Handle with care" pojawiają się motywy związane z nieskończonością i ograniczeniami, znaczeniem pamięci oraz badaniem relacji między ciałem a otaczającym światem.

Agencja Artystyczna ASP w Warszawie
Krakowskie Przedmieście 5
do 15 września

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Ewelina Kogut, Modlitwa

Aleksandra Nowicka, Życie stolicy

Aleksandra Nowicka, Na Krótkiej

Agnieszka Koronowska, bez tytułu

eprasa.pl 52d086bfa9

COHEN
i kobiety
DAMIĘCKA · KOMOSZYŃSKA
LIPNICKA · ŁOBASZEWSKA
PIETRUCHA · SIENKIEWICZ
WROŃSKA · ZAWIAŁOW
ZESPÓŁ POD KIEROWNICTWEM
LESZKA BIOLIKA
15 GRUDNIA 2024 · COS TORWAR

TEATR CAPITOL
NAJLEPSZE KOMEDIE • PIKANTNE FARSY • GWIAZDORSKIE OBSADY
UWIERZ W DUCHY
Autor PAM VALENTINE
Reżyseria MARCIN SŁAWIŃSKI
Przyjazne dusze
Przekład ELŻBIETA WOŹNIAK
PREMIERA
PAŹDZIERNIK
2024
• KUP BILET • www.teatrcapitol.pl •
Dagmara Bryzek Piotr Bulcewicz Sławomira Łozińska Tomasz Gęsikowski Jan Jankowski Bogdan Kalus Małgorzata Ostrowska-Królikowska
Stefan Pawłowski Katarzyna Polewany Jacek Rozenek Małgorzata Sadowska Krystyna Tkacz Magdalena Wójcik Magdalena Wołłejko
Patroni Medialni:
Partnerzy Teatru:
TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 52d086bfa9